

ATENEVM

IV

1903



T R E Ś Ć.

	Str.
I. ŚWIATŁO	przez <i>Jadwigę Marcinowską</i> 1
II. DRAMAT MŁODEJ ANGLII	" <i>Adolfa Newwerta-Nowaczyńskiego</i> 26
III. MYŚL	" <i>Andrejewa</i> <i>tom. R. F.</i> 41
IV. TRISMEGISTA	" <i>Tadeusza Micińskiego</i> 63
V. NA KRAŃCU ŚWIATA	" <i>Stefana Orlika</i> 65
VI. OKOŁO ŚMIERCI,	" <i>Feliksa Jabłczyńskiego</i> 68
VII. LINIE HOFERA	" <i>Jana Zarycza</i> 84
VIII. DWIE EPOPEE KUPIECKIE	" <i>Cezarego Jellentę</i> 92
IX. KRYTYKA:	
1. Edward Porębo- wicz o „Tradycjach Zyg. Krasińskiego“	" <i>P. Chmielowskiego</i> 108
2. Les soliloques du pauvres, les doléan- ces par Jehan Rictus	" <i>L.</i> 112
3. Juljana Kłaczki pisma polskie w u- kładzie i z objaśnie- niami Ferdynanda Hoesicka	" <i>Cezarego Jellentę</i> 113
X. KRONIKA SZTUKI:	
1. Konkurs im. Hen- ryka Sienkiewicza	" <i>A. Ławicza</i> 116
2. Wystawa Goyi	" <i>Cezarego Jellentę</i> 118
3. Teatr.—Odkupienie Macieja Szukiewi- cza.—Ostatnie spot- kanie Jana Augu- sta Kisielewskiego	" <i>Orpiona</i> 121
4. Grieg.—Berlioz.— Nina Faliero.—Ks. Perosi.—Komzak.— Breitenbach.—Ks. Gruberski.—Ni- kisch.—Koncert polski w Paryżu i „My“ zagranicą	" <i>Feliksa Jabłczyńskiego</i> 129
XI. PRZEGLĄD MIESIĘCZNY:	
1. Głosy prasy o naj- wyższym Manifeście 131
2. Akademia Umieję- tności w Krakowie 133
XII. MISCELLANEA:	
1. Walka z odszcze- pieństwem i sek- ciarstwem 136
2. Konkurs 143
3. Odezwa 144
4. Historje Naturalne przez <i>Jules Renard'a</i> , <i>tom. E. L.</i> 139
XIII. BIBLIOGRAFIA 145



ATENEUM.

WARSZAWA. TOM I. ZESZYT IV. KWIECIEŃ 1903.



Дозволено Цензурою.
Варшава, 12 Апрѣля 1903 г.

Światło.

SCENA IX.

Urbanus.

Pan się od tego odwrócił pokolenia!

Flegontes.

Za ciemny, straszny, bezdenny grzech Judasza!

Herodyon.

A wszakże zakon, tym dany, się nie zmienia!
Jeno przez zakon godna świętość nasza!

Urbanus.

Próżen jest zakon, gdzie zbawienie w wierze.

Onezyfor.

Wždy ma pierwszeństwo kto z zakonem bierze.

Urbanus.

Jarzmo dajecie i nieznośne trudy.

Herodyon.

Rzeczono: wyjdzie lew od domu Judy.

Nereus.

Nie są-ć nam wzory cnót — faryzeusze!
Te, nauczony w mędrkach wnet pokruszę!

Lucius.

Miałać Hellada mędrce, a blask Romy
w cnocie dni dawnych nie sądzon jest znikomy!

Alkmeon (wchodzi między zwaśnione).

Zaliście chwałą filozofów hardzi?
I cóż jest mądrość? — Na przepaści tęcze!
I cóż jest mądrość, gdy serce się zatwardzi
nieugaszoną nudą, a oddźwięcza
w pustce, jak wiecznie pustych głosów echo?
I cóż jest mądrość? Na pragnień żar pociechą?
Zaiste piłem! i usta mam otwarte,
a czcze i w sercu — nic! — jak białą kartę...

.....

Herodyon.

Zakon jeno, przymierze jeno, objawienie....

Alkmeon.

Cienie zowąd i wszędzie, i nic, jedno cienie!
A wy tu, przeciw sobie z pełnem skier obliczem
stojący w strony różne, czemżeście wy? — niczem!

Onezyfor.

Obrzezanych nie równaj z temi, które mogą
pogańskie uczyt widzieć i pożywać społu....

Flegontes.

Utrąpiona chętność ona; chcieć mozołu
przydawać świętym pańskim i otaczać trwogą!

Tryfena.

Zważcie azali klątwy nie ściągniecie sobie!

Pudencya.

Nie tak! lecz wy mieszkacie w klątwę własnych dobie!

Herodyon.

Izraelowi testament w straż oddany.

Urbanus..

Nie tak! ale Pan odjął; wzywa dziś pogany!

Feba.

Powstały serca braci i rozdarte w gniewie,
na usta świętych upadło pokalanie,
jako się każdy jątrzy, a nikt przed się nie wie,
komu prawdę przysądzisz, wszelkiej prawdy Panie!

Patroba (sędziwa niewiasta).

Uprosz Pana: niech córkę moją młodą chroni!

Sulpicya.

Ucisz się, matko drżąca, ucisz w sobie żale.

Patroba.

Córka moja wiosenna jako kwiat jabłoni!
Oby Pan jej przepuścił, gdy ja się doskonałą
na pokutach codziennych, a dojrzewam męcę,
ja męczeństwo dziecięcia mego k'sobie nęcę!

Sulpicya.

Matko! trwożą — osmęcasz mię i tem płakaniem!

Patroba.

Myślisz: czyniłam darmo, bowiem kat nie słucha!
Ja wierzę: męka — na zew przyjdzie ducha!

.....

Urbanus.

Pax tecum, siostrze! wszyscy w równi staniem
Przed Panem kiedyś, — w krwi wyrosłe palmy.

Patroba.

Wciąż powiadacie: Pana krwią pochwalmy.
Ja chwałę krzykiem, że miłuję dziecko!
chwałę go krzykiem swej żyjącej duszy,
aż się nade mną Jego słońce wzruszy!
A córkę chronię! A cicho, a zdradziecko
wołam: przyjdź na mnie, męko jej sądzona!
przyjdź! ciało starcze, ale wždy dokona!
Tak wołam chytrze, a dziewczynę kryję,
przed mieczem białą osłaniając szyję!

Nereus.

I choćby słowa jak jaskółki drżące
 latały, prosząc, po ulicach Romy,
 wiedz; nie uchronisz! siepaczów są tysiące
 i wyrok wydasz, wszem jawny, nie kryjomy.
 Wiedz, nie ulękną się twych łez siepacze;
 jest dopust Boży, ten nad nami płacze!

Lucius.

A my, czerwone krople tego łkania,
 wciąż upadamy, wsiąkający w ziemię.
 Tak żywot dawny krwawo się zasłania,
 aż wygorzeje wszystko grzechu plemię.

Salamid.

Wspomnim na siedmiu braci dawnych zgony.

Rufes.

Onym nie zbrakło serca, acz zjawiony
 jeszcze nie przyszedł święty dzień Mesjasza.

Salamid.

Jakoż nam bardziej, którym Pan ogłasza
 serc wniebowzięcie i zbawienie Judy.

Herodion.

Jak Machabeje więc—z cielesnej rudy
 wytopim kruszec serca.

Plaucya.

Który mordowan i kędyż jest morderca?
 (Pocyna między wzburzonymi chodzić, a ramion ich dotykać).
 Kto śmiercią znaczon? Idąc, patrzę w oczy;
 pytam się: nad kim skrzydła śmierć roztoczy?

Głosy w chórze.

Nad wszystkimi cień
 W powietrzu się chwieje,
 za grzech Adama
 w ostatni dzień.

Otom w czczości sama,
 ja, dusza żyjąca:
 Kto blizki prócz trwóg?
 Kto wespół jest dan?
 Strach w ciemni potrąca,
 krom bólu cóż zbiorę?
 Wejrzyj, Tyś Pan!
 Przepuść, Tyś Bóg!
 Miserere!

Plaucya (wciąż chodząc).

Ty umrzesz, oto widzieć mrok na czole!
 i ty zarówno, i ty trzecia młoda!
 Och! jak was tutaj klękających wiele,
 które śmierć ciemna kędyś w przepaść poda.

Julja.

Lecz w przepaść słońca, jeśli Bóg pozwoli!

Eubulus.

Oby już rychlej! oby rychlej, Chryste!

Plaucya.

Przecż? gdyś tak młody?

Eubulus.

Tak mię świat ten boli!

Flegontes.

O! i mnie w światło życia, wiekuiste,
 na jasne błonie Twojej świętej trzody,
 jeśli wziąć raczysz, to się śpiesz, o, Panie!

Linus.

Zcichaj w pokorze, aż gdy Pan zawoła.

Flegontes.

Nie wiem, czy kiedy duch mój przed Nim stanie?
 Płacę! i nie śmiem z prochu dźwignąć czoła.
 Może—po męce z dawnych win przyczyny
 Potępion będę i odrzucon, zgasnę?

Lecz Pan przede mną ztąd odwołał syny,
umiłowane syny moje własne,
więc krzyczę: męki niechaj mi podwoi,
a wspólni stawi, gdzie synowie moi!

Pudencya.

O, Jezu! Jezu! Och! zaczekaj jeszcze
z darem męczeństwa i katuszy chwilą
aż nad małżonkiem moim się przesilią
wbrew cieniem blaski, a ja w łzach obwieszczę:
iż nawrócenie swe okazał w twarzy,
gdy dotąd nad nim się niepewność waży! —

Plaucya.

Widzę czerwone na powietrzu plamy
jako spływają i na twarz się kładą,
na każdą głowę waszą smętnie blada.

Chór.

Jeśli chcesz, Panie, wszystką krew oddamy!

Plaucya.

Tak się wróżebnie błyska przestrzeń krwawa,
że czasem dziwno patrzeć, lecz czasami
myślę: któż wyście? podła śmierci strawa!
I mówię, serce mając w sobie szczere:
słuszne wam zmierać i ból — Pan nad wami.

Chór.

O, Chryste! Chryste! o Chryste! miserere!

Plaucya.

Lecz powiem, co mię przerażeniem smęci.
Patrzę w niedawne błyski, dni minione
i widzę coraz wstający trup w pamięci,
trup, który nie chciał trupem być; zmiążdżone
wciąż do się członki ściągają, a te dźwiękną:
jakoż nam konać, gdy w nas życia piękno!

.

O, jak to ciało w sobie rozkochane
i świetne było nad marmuru świetność,
i wszystkie członki w onych dni bezpieczeńć,
a wnet rozdarte wszystkie w jedną ranę.

.....
Więc niewymownym buntem ran gorzeje,
skargą okropną, swoich ran wymową,
że przedsię piękność zagasa w dal grobową,
nad życia siłą nicości są wierzeje!

Kajus-Tibullus.

Gorzko umierać dla igraszki błazna!
Strasliwie gorzko i bardziej jest przyjazna
śmierć wszelka inna, by w cnocie swej uczciwa.
Ale wstyd Romy zakrył sobie głowę,
na dawnej sławy grobowcu dogorywa
i sławy dawność jest nam piętno nowe!

Alkmeon.

Cóż wstyd? co sława? i cóż śmierć? Złudnemi!

Plaucya.

Krwi pełne oczy, —
krwawe przede mną rozwodzą się przestrzenie,
czerwono świat się mroczy.
Jeśli ów skonał, to wam stokroć trzeba,
podłe robaki, które matka — gleba
z nor swych wydała pokątnie i wzgardliwie,
a gdy znów poźre, nie spyta nikt: czy żywie
gad ciemny, brzydki, pełznący do pokory,
cichy, a zawsze jeszcze zcichnąć skory. —

.....
Niech śmierć się święci
w płynącej z żył purpurze
i niech to widmo wymyje z mej pamięci,
które wciąż widzą, chociaż oczy mrużę.
Już szmer, szept żył.
plugawi, gińcie snadnie!

Wnet krwi ulewa spadnie,
 usłyszę: będzie wyl
 wrzask kołem dartych kości,
 i wstanie plusk posoki,
 przerazi jęk głęboki
 i męka męce bliźniej pozazdrości.
(Wciąż dalej w głąb odchodząc, znika za kolumnami).

S C E N A X.

Rea-Maximia.

Jakiż świt zimny za tą cieniów chmurą,
 a łkanie brzasku przychodzi ztąd ponuro.

Kajus-Tibullus.

Stoję, patrzący tobie w twarz zmienioną
 i czekam: rychło, dość odrazą zdjęta,
 przyjdiesz w ucieczce na me żądne łono,
 w wielki, zawrotny krąg naszego święta.

Rea-Maximia.

O, Kajus, Kajus! zczerniał duch mój we mnie.
 Słyszcie, wy, którzy prawieć mieć nadzieję,
 czyli wam zawsze tak boleśnie dnieje?
 nadzieja zawdy szkli się nadaremnie?

Eubulus.

Boli nas każdy doczesny dzień żywota,
 Każda godzina znikoma tęsknie boli.
 Z serc — kadzielnica ku Panu jest tęsknota
 błagalna: wybaw, Panie, z ciał niewoli!

Julja.

Stos układajcie, syćcie płomień żywy;
 niech wstąpię, ognie zewsząd mię ochłoną;
 paloną ogniem, w krzyku mąk szczęśliwą,
 pozgonne skrzydła w krainę upragnioną,
 kędy z dusz świętych wykwiła gwiazd równianka,
 dźwignę — niosące — aż do stóp Baranka.

Kajus-Tibullus.

Zgasasz, Maximio, na tej cudnej twarzy.
Gaśniesz,... ja czekam,... ty się mroczyś cała.

Rea-Maximia.

Głodny krzyk życia w mojej krwi się żarzy,
skargą do słońca gada ziemi chwała.

Kajus.

Byłaś mi przedsię ta pogoda letnia,
te roztopione w złotem świetle zorze.

Rea-Maximia.

Jam jest jak puszczka, która się rozświetnia
błyskiem, jak w polu rozechwiane zboże.

Kajus.

Byłaś mi wielkie upojenie jasne,
w którym wzrok słońca i widnokrąg świata.

Rea-Maximia.

Po łanach zmrok przelata,
Powierzchnią, zda się, gasnę.
Ale tam w trzewiach mych jak w ziemi głębi
uderza tętno rozszalałej skargi,
więc zcichną w mroku wargi,
a ból się nie wyiębi.

Kajus.

Od ciebie wielkiej przyszły na mnie żądze
wielkie i bujność rozkoszy wszechżywiół.
Dziw jest, o którym rozkochany sędzę,
że ociążało serce me jak ołów
i żywiółowe zbiegły się rozkosze
w skarlone serce, które w sobie noszę.

.....
Gdybym był jako ojców twardych plemię,
mlekiem karmionych wilczem i krwią wrażą,
możebyś ciebie brał jak owi ziemię—
wszystką—w objęcia... Tak snąć moce każą.
.....

Lecz dziś obwisło krzepkiej Romy ciało,
 moc w puchu tonie,
 serce bijące w śpizowem ongi łonie,
 skarłowaciało.

.....
 Więc idą k'tobie od onego serca
 jeno płomienie po wierzchu, węża drogą;
 lecz taki płomień czasami głąb przewierca;
 nie tylko liżą, one kąsać mogą.

Rea.

A wszakże rozkosz twoja płytką zda się.

Kajus.

Złote wężyce o płomiennym czasie,
 strugi złociste, a wiesz-li, czy nie wsiąkną?

Rea.

Biada! znikome zdaje się to piękno!

Kajus.

Ścieśnione serce rzymskie zębem chwyta,
 ostały zęby wilcze, — te uchwycą.

Rea.

Zsuwa się rozkosz płytka, a zakryta
 głąb... i nietkniętą jestem miłośnicą.

Kajus.

Mroczyz się wielce, szyję noc owija —

Rea..

Drży głąb, uderza tętno.

Kajus.

Już się oślizga złotej żądzы żmija.

Rea.

Pod mocą warg tak smętno!

Kajus.

Wzmagam się, próżno wysilam dzień upalny.

Rea.

Upalny dzień, a jutro mu nie wstanie.

Kajus.

Całym chciwością wzdęty, proch niszczałny.

Rea.

Bez jutra dzień! z nicości jest posłanie.

Kajus.

Mroczyz się dziwnie, smętna w piersi praca.

Chuć ześliźnięta... węzem do mnie wraca.

Rea.

Gorze mi, Kajju, bo miłość twą oczami
 snadnie przemierzam i wiem; czczość nad nami.
 Kres widzę blizki i jałowość wielką
 i jestem kości swoich dręczycielką;
 kości me bowiem wszystkie szczęścia płaczą,
 lecz wiem, że chyżość dniowa jest rozpaczą
 i głośniejszą jeszcze niżli ciało targa
 jakaś duchowa, gdzieś zakłęta skarga,
 dziwna, a w przestrzeń lecąca po promieniu
 i aż wieczności żądna w nasyceniu.

Kajus.

Ściągam ognie i znowu w skąpe serce włożę.

Rea.

Gorze mi jest, o Kajju! Gorze mi jest! gorze!

Kajus.

Lecz już spodłone wrócą do mnie moce
 i ztąd wyległym jadem pierś obłocę,
 czerniałe chuci staną się trucizną,
 znów ogniem, ale ogniem innym bryzną!

.....
 Eugel Sporyonie! stań tu sam! a nuże!

Sporyon (starszy niewolnik Kajusa, wchodzi jak cień, bez szelestu).

Panie! wiesz, okiem, uchem zawdy służę.

Kajus.

Bacz! otom zmaçon; jeśli zgadniesz stronę,
w którą złe męty mojej duszy ciężą,
jeśli zgadnieniu twa wymyślność sprostą,
odzyszczesz wolność, — a inaczej chłosta!

Sporyon.

Panie! wejrzeniem w twoim gniewie tonę!
Gdyś szedł, widziałem, jak na czole krąży
dwoiste myśli i dwoiste chuci;
z tą wierność sługi twego się zasmuci
i umyśliłem sposobić ci zabawę,
na którą może... zmacone, a łaskawe...
w chwili przełomu twe upadnie oko...
Czarę rozkoszy gotuję ci głęboką,
gotuję w ciszy; jeśli pan mój skinie,
wnet go cudownym blaskiem raj opłynie!
Ani dyamentu pali się iskrzyca,
jako tych dziewczyn rozbłyśnione lica,
ni kiedy zapach bije z cudnej róży
nad woń rozkoszy, która cię odurzy;
moc płomienista! o tę ból się strzaska!
A mnie co czeka? powiedz, panie...

Kajus.

..... Łaska!

(Sporyon wychodzi).

Kajus.

Jest w Rzymie ciemna pochyłość upojenia,
w wymyślnym grzechu jeszcze władza Romy,
kędy natury prawo w krzyk się zmienia,
gdzie zgiełk ohydy w blaskach uczt widomy.

Śpiew daleki.

Evoe! nieście mi w darze
usta purpurą ziejące!
Evoe! piersi obnażę,
rozświetlę w błysków tysiące!

Śpiew się przybliża.

Evoe! wszystko mi będzie
wymyślnej żądny łechtaniem!
rozkoszy jestem narzędzie,
dna chuci wespół dostaniem!

(Rój niewiast i pacholąt prawie nagich, a uwieńczonych kwiatami wysypuje się nagłe do sali. Za nimi przez chwilę jedną mignęła twarz Sporyona).

Kajus.

Wiedźcie! stać Romeę na miarę tej rozkoszy,
gdzie i kres wszelki i pamięć wnet ustaje,
gdzie tajemnicze są upiorne raje,
gdzie chuć wciąż nowa dawną ćmi i płoszy...
Na to stać Romeę

(Rój ukwieconych przybyłych otacza go wieńcem zawrotnym).

Śpiew się rozlega (namiętny, przyspieszony).

Prędzęj! wir tętni, śpiew płynie!
chylej! niech świat się zapada!
na gruzach chwał, na ruinie
rozkosz kwiecista usiada! —
Evoe! żyjmy!

Kajus.

Ja, szczenię wilcze, w tym wirze się nasycę;
Pan i Kwiryta, w tej orgii się upoję;
codzień piękniejsze będę miłośnice
brał i odrzucał, zdobiąc łożę swoje.

.. . . .
Tak oszaleje w grzechu ono łożę...

.. . . .
Aż wyssam ciałem, co jest ciału dane,
w odmęt się stoczę, kędy wyuzdane
żądze — katownie... W przesył się zagrzebie
i tam, Maximio, czekać chcę — na ciebie!

(Otoczony rozszalałym, żywym wieńcem odchodzi).

Rea-Maximia.

Gorze jest wszelkiej żywiącej duszy! gorze!

S C E N A XI.

Alkmeon.

Rozkosz boleści równa się, więc obie
czem są? zaiste człowiekowi zdradą!
Tęczowe bańki w powietrzu się pokładą
i prysną!
Pójdźno, dziewczeczko, dam pieśczętę tobie!

Sulpicya.

Apagel!... Chryste! obroń czystość moją!

Patroba (do Alkmeona).

Odstap! bo choćbym w piekle zgorzeć miała,
klnę się, tę duszę sprośną wydrę z ciała!

Alkmeon.

Chuci tak barwnie jawią się i roją,—
i prysną!
Cha cha! niewiasty! próżne-ć to obawy!
jabym po żadną nie wyciągnął dłoni,
bowiem na wszystkie jużem—nie ciekawy,
na żywot wszystek aż—do smętnej toni!

Słuchaj mię, Reo: jedno Nic urasta
na wielką prawdę i powszechnę znamię.

Rea-Maximia.

Jam jest kolebka, rodzącam jest, niewiasta;
w obliczu śmierci strasznie żywot łamię...
Miłuję! nie chcę! łamać przymuszona,
skarżę się... nie wiem, nie wiem, nie wiem komu!

Alkmeon.

Zaprawdę! nikt się nie rodzi, ani kona
kolebek niemasz, pogrzebnych urn, ni domu,

Nic jest! Nic będzie i Nic zawdy było
nad męką rodzeń i nad snów mogiłą!

.....
Mieszkaniec Rzymu, z ducha wnuk Hellady,
wszystko mający, wszystkich złud świadomy,
z ksiąg wypijałem filozofów zdrady,
odkryć pozornych głębie i ogromy,
z życia wypilem wszelkich mar ponęty
i jestem w wiedzę ostateczną wzięty,
smutnie przeświadczon, a ból się ów nie leczy,
że—Nicość prawdą na onem dnie wszechrzeczy.

.....
Cha! cha! jak gardzę wami biedne ślepce!
Cha! cha! lecz oto własny śmiech podepcę;
śmiech niczem, wzgarda przedsię także niczem!
O! jak bezdennie w sercu chłodno, smutno!...
Lecz smętek czuciem równie jest zwodniczem...
A chłód? wszak marą jeno złą, okrutną;...
tę chciałbym próżno rękami zdjąć obiema...
Wreszcie chęć moja?... I mnie, i chęci—niema!

Urbanus.

Ponad grzeszniki straszny palec Boży!

Alkmeon.

Dozwól, Maximio, gościnnie dozwól, proszę,
abym tu spoczął chwilę... O! węzłowie,
snu i spoczynku rzekomego nosze...
Legnę, bom znużon, a z was tu nikt nie powie,
jako w mem sercu jeszcze ból się sroży.

.....
(kładzie się, głowę opuszcza).

Pomnę, na razie gdyście wrzask czynili
tak pełen płaczu, myślałem: snąć poruszy
cierpienie echo we mnie? lecz po chwili
widzę, że wszystko już drętwieje w duszy.

Sulpicya.

Zbaw się, człowiecze biedny, uwierz w Boga!

Alkmeon.

Precz! precz! ztąd wszyscy i ty, dziewczę—kwiecie,
kwiatu podobna maro złotowłosa!—
Wypiłem do dna czarę nudy w świecie...
Idzie sen chłodny jak w pomroce rosa,
idzie stygnąca kędyś w pustkę droga...

Opuszczam głowę, Nuda jest nade mną;...
Zgęszcza się, cięży... Teraz sen nadciąga
brata się z Nudą... Ciemnieje w krąg... Już ciemno!

Oneiros sen, Tanatos za nim może...
Krok cichy słyszę, głowę w dół położę...
Jeszcze mi w próżni błysk jakowyś mignie
Tanatosowi Morfeusz jest w usłudze...
Gdybyś widziała że me ciało stygnie,
Każ wziąć ztąd, Reo; już się—nie obudzę!

Cichość, i w próżni rozwidnia się coś... nieco...
Chłód, martwe pola, biaława przestrzeń pusta;
stężale myśli wciąż bez lotu lecą
i lodowato zastygają usta.
Żaden krzyk ludzki na polach tych nie gości,
krew zamrożona przystanąła cicha,
jedno ogromne przestworze pustką wzdycha...
Gdzie jestem?... Nie wiem! odszedłem do Nicości...

(zasypia).

S C E N A XI.

Flegontes.

Panie! jak straszna ta nieprawość świata!

Piastunka.

Z ust pobielających, zda się, nie ulata
oddech... Obaczcie! zda się, stygnie ciało.

Urbanus.

Utwierdzon sąd jest nad bezbożnych chwałą.

Rea-Maximia.

Wołaj, piastunko, niech me sługi śpieszą
w dom jego, krewne zwać i przyjaciele.

Piastunka.

Zbiegną się zwłoki imać wielką rzeszą,
sług i pokrewnych przyjść powinno wiele.

(wychodzi).

Eubulus.

Ucisk nam zewsząd jawą albo w śnie,
ślad wszeteczny po ziemi i kurzawa krwie...

*(Piastunka wraca, za nią idą dwaj niewolnicy niosący płaszcz szeroki, tym okrywają
ciało Alkmeona).*

Rea-Maximia.

Piastunko moja, jako jesteś stara,
długo żyjąca, długo okiem chciwa,
powiedz, gdzie równa tej w boleści wiara?
Słysz... krzyk, co w piersi onym się dobywał...

Feba.

Syn przeciw ojcu stawa,
ojciec wydaje syna,
dym k'niebu z krwi kurzawa,
widomie sąd się wszczyną,
już świadczą znaki na to przyjście Twoje!

Chór.

Dojrzały w pełni znoje;
przyjdź, Panie! śpiesz na żniwo!
W noc świata, w noc straszliwą,
przyjdź, Panie, z gwiazd szelestem,
z wielkiem wzruszeniem swych niebieskich mocy,

ze słońc padaniem, na które drżą prorocy,
przyjdź! w błyskawicy oznajmij światu: jestem!

Rea-Maximia.

Słysz! jak z wszystkich kresów ziemi
wstaje, idzie, płynie ból!
Z wieków wszystkich ból tu spływa,
z wszystkich cierpień są ogniwa,
sploty—snopy zżętych pól;
jęk po jęku wzwyż się plemi,
aż w śmiertelny krzyk stłoczona
boleść—zda się w krwawej cześci
samej sobie być korona,
straszny w sobie szczyt boleści...

Deus ignotus! przecz prawdę jawisz—w zgonie,
a ból żywota—li w bólu śmierci tonie?

Eubulus.

Nie zwlekaj! lituj! o, Panie! Panie! Panie!
bo wnet się zgrozą tu wszelkie ciało stanie,
bo wywiędnieją w ucisku srogim kości,
i wyschnie dusza, i przyjdzie kres w ciemności.

(Ręce wzwyż wyciągając, chrześcijanie upadają w krąg na kolana. Rozlega się płacz ogromny).

Chór.

Strach swe nocne wikła szpony
w gęstwę włosów i zjeżony
dreszczem trwogi włos podnosi.
Ból w nas szlocha krwią przez oczy,
ból nam piersi zębem toczy,
zgiął się życia bieg w swej osi.
Rozpacz ściaga nam ramiona,
rwie się zgrzytem i znów kona.
Tęskność stopy pędzi w drogę
czarną, nie wiem, czy iść mogę?

Ty zwlekasz, Chryste, kiedy my zbłąkani?
Ty ginąć dajesz, gdy krzyczymy z tej otchłani?

(Upadają na twarz łkający, krzyk napętnia powietrze).

SCENA XII.

(Zastona u wejścia rozchyła się powoli, dwaj żołnierze: Processus i Martynianus stają po obu stronach; w głębi i jakby ponad leżącym tłumem ukazuje się Piotr Apostoł).

(Chwila ciszy, leżący głów nie podnoszą).

Piotr apostoł.

(ze starości pochylon i jak gotąb biały, ponad głowami wyciąga drżące dłonie).

Pokój wam, synaczkowie! Przecz skarga utroskana?

(Tłum oczy podniósł i, nagle, wieloraki, rozszlochany krzyk wybucha:)

Abba!—Ojczel—Jest Cephass, który widział Pana!

(Porywają się, biegną, upadając na klęczki do nóg apostołskich się tulą, całują w koło ziemię).

(Słychać teraz już wspólny, rozpaczny krzyk pytający:)

Widziałeś? Powiedz, świadku! Mów nam słowo jedno!

Widziałeś? jakoś widział? Mów, bo twarze bledną...

Jakożeś mógł oglądać? i w jakimże sposobie?...

Piotr apostoł.

Bóg dał, zem widział, dziatki! i wielmożnej Chwały

głos słyssałem mówiący: ten Syn mój doskonały,

w Którym przedwieczne Serce me podoba sobie...

Tryfena.

Rabbi! Rabbi! ty powiedz, twarzą w twarz z Nim stałeś?

Piotr apostoł.

Pytał: miłujesz, Pietrze?

Tryfosa.

Rabbi! stworzonem uchem Jego głos słyssałeś?

Piotr apostoł.

Pytał: miłujesz, Pietrze?

Salamid.

Rabbi! i ludzkim sercem to objąłeś słowo?

Piotr apostoł.

Odrzekłem: Ty wiesz, Panie!

Persyda.

Święty! mów do nas o Nim! Mów, bo łaknąc mrzemy!

Piotr apostoł.

Ranek był cichy ongi i ciche wkrąg powietrze:
 myśmy spuścili w morze swoją łódź nie nową,
 rybitwi, łowiąc próżno przez noc i to zaranie...
 Aż kiedy świt pobiełał, a w nas szept był niemy,
 rzekł jeden: „Pan jest!“ Wówczas jako stałem nagi,
 przepasawszy się suknią, a nie czując wagi,
 ciała swego nie pomnąc, śpieszyłem się przez morze,
 z gotowością do brzegu, do Pańskich stóp w pokorze!

Eubulus.

Szczęśliwy, któryś dotknął i błogosławiony!

Piotr apostoł.

Dnia tego Pan mię spytał: miłujesz, synu Jony?
 Potrzykroć mówiąc, pytał, a miałem w Nim ostoję,
 więc rozkazał potrzykroć: „paś baranki moje!“

Feba.

Pozwól ślad stóp całować, które k'Niemu biegły...

Piotr apostoł.

Więcem ja pasterz odtąd, a byłem człek uległy,
 prosty i jeno dźwignion Jego mocą w świecie,
 którego wy, oczyma nie widząc, miłujecie,
 nie oglądając przedsię, a wiarą Weń wierzycie,
 i w wierze Was uwielbi Zbawiciel na rozświcie
 chwalebneho żywota.

Wierzącym moc i cześć!

Wiara was inna, jako w skrzydła bierze,
 lotem ogarnia, by do Pana wznieść.

.....
 I tak niesieni będąc w świętej wierze,
 ponad czas bliski i nad czas daleki,
 ujrzycie, kędy jest niewymówione
 wesele Jego i hojnie wam sprawione
 wniǳcie w Królestwo odtąd aż—na wieki!

Feba.

Błogosław!—cicho idą serca wzwyż.

Eubulus.

Ból blednie, już nie płami.

Persyda.

Święty w przestworzu jaśniejący krzyż.

Sulpicya.

Wstajem i cicho płyniemy doń sercami.

.....

Chór.

Pan mógł i dał.

Tęskność opadła z ramion i strach mdleje,
nie czuję wagi ciała,
widzim bezmierną nad sobą wszechnadzieję,
zbawienia szczęście nad wszelki blask jarzące
i jak promienie odpływamy — w słońce.

.....

Rea-Maximia.

Panie! a ciało jeno w mgle zostawa?

Piotr apostoł.

Najmils! ciało każde jako trawa,
cielesna chwała jako kwiat jest trawy;
gdy uschnie, kwiat jej pada.

Rea-Maximia.

Panie! głos dziwny i zasię nie łaskawy!
a ciało świadczy za mnie, a nie zdrada,
jeno stworzone pod słońcem — żywe ciało!

Urbanus.

Niewiasto, zamilcz, dopókiś rzekła mało
i bacz a nie grzesz więcej!

Piotr apostoł.

Pomnijcie, dziatki, cielesność—znak zwierzęcy,
cieleśni oto są bez wody stoki,

albo pędzone przez wichry są obłoki
nawprost ciemności, a ta im zachowana...

Rea-Maximia.

Nie sobą skarże, jeno broczy rana,
która ziejącą we mnie krzywdą życia.
Wspomnijcie każdy na się, a z ukrycia
wyjdzie jęk: oto skrzywdzeniśmy straszliwie!
imajmy członków; świadczą: ciało żywiele!

Feba.

Kuszając, nie miotaj słów, co świętych płoszą!

Rea-Maximia.

Wy kto? wzgardzony ból!
drżący w pomrokach, zbląkany, krzyk nieświadom!
Nie waszym będę, krwawiąca, ufać radom!

Lecz, starcze święty, zwó!

tyś onych pasterz; zna pasterz, wiedzie prędej,
więc się przed tobą pokłonię w świata nędzy
trwogą żywiołów i głodną ich rozkoszą...

Piotr apostoł.

Dzień Pański przyjdzie, w który z wielkim szumem
niebiosa te przeminą!

i rozpuszczone żywioły od gorąca,
spalona ziemia, wżdy dzieła swe rodząca,
spalona jest z dziełami!

Nieogarniony, nieścigły sąd rozumem!
a zważ, jakową to człeku jest przyczyną,
byśmy się w trwodze pokwapili sami!

.....
Wszystko znikome! wszystkiemu zepsowanie!
jakoż nam bardziej obcować w pobożności,
za wędrowniki mając się i gości?

W wielkim pośpiechu na Twe przyjście, Panie!

Rea-Maximia.

Nad stworzoną głową
wyrok potępienia!

A te piersi żądne wiele
tchu nieskończonego?
A ten żywot coraz szerzej,
w jasnej pełni żyć pragnący,
w pełni wszechstóneckiej?

Zda się, żem oto przestrzenia gdzieś zbożową
wielką, a którą jeszcze sen ocienia, —
ciche sny w słońcu, przedziwnych mar czciciele.
Zbudzi się kędyś powieka snu złotego;
kraj bardzo polny w świtanii dum swych leży
kwietny, jarzący
miodny i mleczny.

Piastunka.

Pani moja, dziwne słowa!
jakby kłóśne, wonne, zbożne,
nigdy w Rzymie niesłyszane,
nigdy z wiatry tu nie gnane;
chyba przywiał ten daleki?...
Pani moja, bądź mi zdrowa!
Pomnę, kiedy jeszcze trwożne
ciałko twoje do opieki
dano starej, jam patrzyła:
byłaś dziw mi, branka mała,
królewiatko, oczom dziwy!
Wiatr cię przyniósł z onej niwy
zbóż i szumów—jak od matki!
teraz wieje słów ostatki.

Rea-Maximia.

Moje łono jak ta ziemia
święta rodna, święta hojna!
moje łono — moc!
A przecz zagłada ponad tem i zaciemia
nieunikniona? a grozą niespokojna
idzie na wszystko władnąca w śmierci Noc?

Piotr apostoł.

Starte jej żądło, ale w drzewie krzyża.
Odtąd my światłem onych łask wezwani
rozkwitać Panu, łożąc siebie w dani...

.....

Bądźcież weseli, skoro się przybliża
ucisk Chrystusów, byście kiedy zasie
wzięli z Nim chwałę w ostatecznym czasie,
zbawieni ludzkich żądz i ponad pychę
wzniesione duchy, przeświète, jasne, ciche...

Rea-Maximia.

Ja ciebie pytam — rozciągłością Ziemi...

Processus.

Domine, wodą chrztu daj połać głowę!

Martynianus.

A duch oświeci i przejrzyś ze świętemi!

Feba.

Słysz! to strażniki więzienia, lecz Piotrowe
dłonie je wzięwszy, ku zbawieniu chrzcili!

.....

Rea-Maximia.

Wołam od głębi objawieniem siły!

.....

Na mnie jasne błyski słońca,
jak na polu, jak na glebie...
Puszcza w światło półdrzemiąca,
ciszą tęskni, pieśń kolebie...
Niwa zbożna, rozmaita
szum po falach idzie żyta.

.....

Kiedy słońce wznosi oczy,
przepych szerzej blaskiem toczy;
świt północny, a południe
w żar i rozkosz jest bogate,

bujność wszelką ma za szatę,
w ognie stroi się precudnie.

.....
Od północnych, leśnych drzew
do laurów południa;
od wierzchołków gór podniebnych
do wnętrzości ziemi glebnych,
do tej ziemi trzew,
które mrok zaludnia;
w grzmot i w spokój, w wiatr i w ciszę,
błyska żarem tajna wić,
jednej żądy prawo dysze,
łaknie, aby żyć!

Chór.

Mgłę na ten obraz zwiej, a lituj, Chryste!
strzeż oczu wiernych, by dotrwały czyste!

Rea-Maximia.

Posyłam k'tobie noc
na wichrach rozegraną;
po wszelkiej nocy będzie
jakoby w odmian rządzie
zbudzone rano!
Posyłam k'tobie dzień,
jak tęczę rozgorzałą;
dzień każdy sam jest w sobie
w tworzeniu i ozdobie
słoneczną chwałą!

(d. n.)

Jadwiga Marcinowska.



G. Bernard Shaw i dramaty młodej Anglii.

Bardzo wiele przykrych rzeczy powiedziano już o Anglii i Anglikach, nie tu pora powtarzać je za Francuzami i dowcipniasami z Berlina. Jeżeli się jednak podróżuje po literaturze angielskiej, zawsze przynajmniej trzeba przypominać sobie ten lotny aforyzm, nie pamiętam już czyjej koncepcji, że aby być wielkim pisarzem w Anglii wszechmożnej, trzeba być tylko nudnym, w Ameryce trzeba już być i eunuchem. I rzeczywiście, na frontonie piśmiennictwa amerykańskiego błyszczą trzy nazwiska: Emersona, Whitmana i last not least Marka Twaina, z których każdy na swój sposób jest przeraźliwie purytańskim, rozgadany i ogromnie przystępnym dla starzejących się mózgow, staropanieństwa i użytku liceów, pensjonatów, kwaków. W Anglii współczesnej pierwsze fotele sławy, popularności, społecznego dostojenia i reprezentowania ducha rasy rozdano z rozkazu narodu także między figury mniej więcej przesadnie nieciekawe. Poetą laureatem jest mrs. Alfred Austin, spokojnie sentymentalny grafoman, rozwodniony epigon Browninga, który tylko raz wzniósł się na wyżyny natchnienia w hymnie ku czci... Jamesona, gentlemana-rozbójnika z Transvaalu. Ukochaniem pensjonarek i profesorów literatury jest poetka Marion Crawford, o której nie można mówić z spokojną cierpliwością, jeżeli się przeczytało choć jeden jej sentymentalny elukubrat. W powieści popularnej całkowitą hegemonią cieszą się bardzo stare panny: Mary Godwin, Mary Johnston, Mary Corelli, Mary Ward, a takiej Sary Grand: „Niebieskich bliźniąt“ wybito do r. 1900—8 milionów egzemplarzy!!!

Najsmutniej wobec tego musi być w świątnicach Melpomeny, np. w tych prawie pięćdziesięciu teatrach Londynu, w których groźny, nieubłagany *cant* angielski, salonowy *high-fashion* i gust plebsu stykają się bezpośrednio z uskrzydłą, rozpętaną fantazyą twórców dla Teatru. Tu dochodzi do konfliktów dramatyczniejszych jeszcze od akcji dzieł scenicznych, do konfliktów nierozwiązalnych. Słusznie, ale jeszcze zbyt łagodnie, powiedział Napoleon o Anglikach: żaden Anglik nie jest tak niskim, aby odczuwał skrupuły sumienia, żaden tak górnym, aby się od tyranii tych skrupułów mógł uwolnić. Napoleon, mówiąc to, coprawda sam przeniósł swą kolebkę z Ajaccio do hrabstwa Sussex; ależ on był anomalia, jedynym, bogiem wojny i słońcem gwałtów. Naród Napoleonów jest straszonym, jest niestrawnym, jest paradoksem. Tym nowoczesnym Kartagińczykom czy Fenicyanom ani na jeden moment w dniu nie zbędzie na poziomie etycznej, zawsze rezerwują sobie gesty katońskie, tak w południowej Afryce, w polityce kolonialnej, jak w Globe-Theater, Adelphi, — James, — Haymarket, Comedy, — Regent, — Pall-Mal-Avenue, — Criterion, — Independent-Theater. Anglik jako bojownik za wolność anektuje pół świata i nazywa to kolonizacyjnym humanitaryzmem; chcąc mieć nowy rynek zbytu dla manchesterskich falsyfikatów, posyła w dzicz misjonarzy. Misjonarza w krótkim czasie mordują dzicy, a Anglik wtedy jako *unus defensor fidei* wyprawia flotę, pali, grabi, zarzyna, morduje a w nagrodę od niebios dostaje nowy rynek handlu manchesterskiego. To samo w literaturze; obłuda hypermoralna, której przewodzą stara ciotka miss Grundy i królewski *Examiner of Glays*. Miss Grundy w Anglii nazywa się ta obyczajność rodzinna, duch guwernantek szkockich, panujący bezpodzielnie w poważnych miesięcznikach od *Quarterly-Review* aż do *Saturday-Reviewu* i *Blackword-Magazinu*, poczęty z nieśmiertelnego Wikarego z Wakefieldu, a wypędzający ognistym piórem-mieczem z Anglii wszystkich najniebotyczniejszych poetów: Byrona, Chattertona, Savage-Landora, Wildego... A obok miss Grundy, opiekunki literatury pięknej z ramienia rodzin burżuazyjnych, króluje nad teatrem rządowy krytyk dramatyczny całkiem pod pantoflem miss Grundy, londyński Malvoglio i jego biura, miły system funkcjonujący dopiero od drugiej połowy XVIII wieku. Wówczas to Henryk Fielding, jedyny dramaturg angielski od czasów Szekspira, chciał ochłostać korupcję parlamentarną i wystawiać to Arystofanesa to Moliera, a minister Walpole, nie umiejąc rządzić bez korupcji parlamentarnej, przeprowadził bill prasowy. Fiel-

ding został zapalonym wielbicielem i popularyzatorem Cervantesa, powieść angielska zaczęła potężnieć i rozrastać się do wszechświatowych rozmiarów, a dramata padł.

W naszych czasach sztuka dramatyczna ziomków Szekspira stała się synonimem barbarzyńskiego zniedołężnienia i odstrasającym przykładem możnowładztwa motłochu w sztuce, tyrania familijnej estetyki kalwińskiej czy kwakerskiej. Najgorsze dramidło niemieckiego dziennikarza z przed lat dwudziestu do piętnastu więcej zawierało elementów kultury literackiej od pierwszych prób odrodzenia dramatu angielskiego infekcją naturalizmu skandynawskiego i techniki francuskiej pióra przejściowych pisarzy scenicznych takich jak Jones, Pinero, Sims i człowiek o fatalnem już nazwisku, mister Grundy. Zresztą, najnotoryczniejszymi dokumentami ztrywialnienia i zdziczenia smaku i stylu scenicznego w Anglii współczesnej mogą być przecież dramaty wodzireja estetów, widomej głowy rafinady wspiarskiej Albionu, Oskara Wildego: „Vera albo Nihilisci“, „Wachlarz lady Windermere!“ Jeżeli książę paradoxów mógł tak ostentacyjnie polować na gruboziarnistą sensację, szpikować swe utwory takimi galeryjnymi efektami dla chyba galerników, jeżeli do tego stopnia wypierał się dla szerokiego mobu swego sceptyzmu, że malował charaktery albo przepaścisto-czarne, albo seraficznie białe, a dobroci kazał zawsze zwyciężać w czwartym akcie przed spadkiem kurtyny, cóż dziwić się kompromisom pierwszych „realistów“ dramatu angielskiego? Najwyższą rozkoszą angielskiej publiki był i może będzie zawsze romantyzm sensacyjny o refleksach kryminalno-melodramatycznych; artyzm utopii, egzotyizmu, kolosalności statystycznej, mocno zabarwiony zbrodniczością, genialnością detektywów, fenomenalnością zjawisk i problemów, nadziemską ekscentrycznością bohaterów; artyzm najjaskrawszych, wrzeszczących kontrastów, rozmachowych, awanturnicznych gestów, uciskanych niewinności, anarchistycznych eksplozyi bomb, przerażającej nędzy z doków i przytułków nocnych, miliarderskiego luxusu, palących się fabryk, wywoływanych duchów i przeróżnych psychicznych rekordów. Londyn ma tyle mieszkańców, ile cała Belgia, czy Szwajcarya, Londyńczycy na scenie domagają się albo 1000 statystów w kostyumowej tragedyi, albo dekoracyi, przedstawiających dno morskie koło Bieguna Południowego, albo dokładnej kopii rautu w pałacu księcia Devonshire; tragedia dla publiki londyńskiej to ten spektakl w *fashionable*-teatrze, w którym na deskach scenicznych przewraca się

piętrowy omnibus w zetknięciu z samochodem i doznaje kalectwa sześć osób z personelu trupy; tragedia dla PT. publiki wielkomijskiej Anglii to „Trilby“ G. du Mauriera, sympatyczna kombinacja hypnotyzmu, paryzjanizmu, cyganeryi artystycznej, poezyi poddaszowej, wirtuozostwa skrzypcowego i iryjskiej melancholii. Arcyangielską tragedję dał Jones w „Judzie“, gdzie dziwnego stylu ksiądz wallizyjski demaskuje *bezlitośnie* wirtuozkę głodu (tak), artystkę głodzenia się, *potwornie* wyzyskiwaną przez *ohydnie* złego ojca. Kulminacyjną sceną dramatu dla publiki angielskiej (sceną mowy dr. Stockmanna, wroga ludu, na zgromadzeniu) była katorga głodu fizycznego, kliniczny efekt bólu kiszek aktorki grającej córkę, ulubiony record artystyczny rozmaitych *stars* teatrów angielskich. Dramaturg Sims w podobny sposób godził sensacyonizm z realnym mistycyzmem Ibsenowskim w dramacie „Światło Londynu“ (!), Grundy w „*The new woman*“, operetce pozującej na dramat psychologiczny i odpowiedzi ducha anglosaskiego na Norę Ibsena każe angielskiej Norze jechać na morze, ale dla uspokojenia anglikańskiego *cantu*, moralności fabrykantów musztardy, cacao, quaquer-oats, kufrów i scyzoryków w finalnej scenie dramatu wracać do męża.

Gorzej jednak z komedią. Tu bowiem smak i styl angielski są nie do zniesienia, wobec tej kardynalnej wady narodowej, że Anglik ni bawić ni śmiać się nie umie w granicach normalnych, a tylko z *correct* i *smart* stanu wypadając w napady czy paroksyzmy radości równemi nogami, staje się dziko rubasznym, brutalnie pajacowatym, ryczy z wesołości i podwija rękawy do boksowania. Oczywiście dosłownie tej charakterystyki impresyonistycznej brać nie wypada, w każdym jednak razie komizm na scenie pojmuje publiczność angielską jako pantomimiczną gimnastykę ruchów, t. z. *knock about* gesty i maniery, orangutangową charakteryzację, dowcipy maniakaliczno-alliteracyjno-echolaliczne, wogóle *humour* słynnego Little-Picha, którego raz zobaczywszy uznałem za ostatni wyraz animalicznej rozkoszy bytowania, Coquelina tingl-tangłów. Dla publiczności angielskiej komik a *clown* to pojęcia zupełnie jednoznaczne, a komedyopisarz to utalentowany gentleman z fantazyą, kombinującą nowe kompleksy ruchów, nowe monologi idyotyzmów i grubiaństw i nowe drastyczno-cyrkowe, byle bez uncyi erotyzmu i seksualności, sytuacje dla *Little-Picha*, przesadzonego to w milieu arystokracji, to w milieu *gentry*, to w kluby, byle nie w milieu nie woskowanych parkietów i nieskalanych *evening-*

dress. Jeszcze bowiem jedno małe *ale* zastrzegła sobie demokracja wielkobrytańska u dyrektorów swoich teatrów, że nędzy w komedyi nie tylko nie ścierpi, ale nie pozwala figurom komedyowym mieć renty rocznej niższej od 5000 funtów. W dramacie i w tragedyi t. j. sumarycznie w angielskim melodramatyzmie pozwala na wprowadzanie kalek, nędzarzy, owszem... nawet bardzo lubi w akcyi rzezimieszków, morderców i notorycznych matkobójców, dlatego znosi nawet... Szekspira, ale Ibsen, który swoim ludziom w dramatach nie daje wcale sposobności do prezentowania balowych tualet i smockingów, nie każe muzyce grać za sceną *new-fashioned* walców, a na scenie w głębi dwudziestu parom *gentleman-and-lady-like* statystów tańczyć—jest *total-uncurious and impossible*.

Otóż więc jak uciążliwą i tytaniczną musiała być wobec tych „warunków lokalnych“ i wobec tej „przeklętej większości“ motłochu w każdym teatrze angielskim, walka ze spodłanymi pretensjami widowni i propaganda Ibsena i jego światów jednowieczorowych, wszczęta bohatercko koło 1890 r. przez dwóch krytyków przyjaciół „europejczyków w Londynie“ Williama Archera i Bernarda Shawa.

Tu nie chodziło o poprawienie czy podniesienie kultury teatralnej publiczności, tu chodziło o przeforsowanie poważnej psychologii, sumiennego rysunku charakterów, irytujących i frapujących tez, nowych konfliktów w realnych sytuacjach na deski sceniczne—w konsekwencyach dalszych o intronizację poezyi dramatycznej na scenę. Mur szowinistycznego konserwatyzmu mieszczańskiego rozbijano Ibsenem, a utalentowany kabotyn Pinero został tem chwilowem ogniwem, łączącym fabrykantów sztuk w stylu londyńskim z twórcami poetami; exemplo jego: „Księżna i motyl“, „Druga żona pana Tanqueray“ i t. p., interesujące roboty spektaklowe à la Sardou i à la Dumas syn. Powoli jednakże wytwarzała się atmosfera cokolwiek lepsza, publiczność doborowsza została zaintrygowana artykułami tych panów krytyków, którzy jeździli kształcić się do Paryża, Berlina i Monachium, dyrektorowie teatrów czuli się obowiązany do pewnych reform, teatry londyńskie zaczęły się specjalizować, wreszcie literaci wspólnymi mozolami z essayistą Greinem na czele założyli „Independent-Theatre“, i dokoła rozglądnięto się za „młodą Anglią“.

Zdała od wszystkich żył i pisał Algernon Charles Swinburne, zieleń i rozpościerał szeroką swą koronę stary dąb, artysta surowy w swem misyjnem wieszczbiarstwie, nieubłagany wiecznie młody rewolucjonista,

który w spadku znamienitym po Shelleyu, a może jeszcze po Miltonie (*Samson Agonistes*) wziął te specyficznie angielskie, ale i chlubnie specyficzne ewokowanie świata mistycznej Hellady w cyklopowej klasycznej a lirycznej formie zmodernizowanych tragedii greckich. Swinburne szedł samotnie drogami Shelleya, twórcy dyabolicznie mistrzowskiego: Beatrix Cenci i przeczyście grecko-stylowego, a nadludzko fantastycznego: Rozpętanego Prometeusza. Swinburne przyjaciel Dante Rossetiego i Morrisa wszystkimi sympatjami stał zawsze i konsekwentnie przy *sensual-satanic school*, a więc był zawsze niecenzuralnym dla przypadkowej publiki. W duchu tej szkoły, a dalej w duchu muzyki Wagnerowskiej, której był całym swem jestestwem oddany, stylizował dziki i nieposkromiony jego geniusz legendy greckie w przebogatej lirycznej retoryczno-obrazowej mowie. W girlandach daktyłów i anapestów, w tyradach jambicznych zwolna, z angielską flegmą i patetyczną wielomównością, toczy się tu akcja spoista na mistycznym podścielisku. Już choćby w młodocianym fragmencie „Phaedry“ nie można było znieść w teatrze tego skarżącego się bólu bohaterki, która w krwi swej czuje po matce fatalny skażony popęd do... byka. *Schocking!* To samo w ostatnim dziele już przeszło siedmdziesięcioletniego starca, wzorowo w stylu elżbietańsko-mieszcząńskiej tragedii współczesnej Szekspirowi komponowanem, przeraźliwy problem kazirodczy, krzyczący krwawą grozą już w tytule: „Siostry!“ *Schocking!* Ale to były najjaskrawsze gorszące dramaty siwiejącego czerwonołosego radykała, a pośród nich błyszczą nieśmiertelnymi głoskami niepoślednie gigantyczne studia dramatyczne: „Królowa Matka“, „Rosamunda“, Dolores“, trylogia o Maryi Stuart t. j. „Chastelard“, „Botwell“ i „Marya w więzieniu“, wreszcie oba posągowe dramaty greckie, Sofoklesowski: „Atalanta w Calydonie“, szczyt współczesnej nam poezji angielskiej, i Eschylesowski: „Erechteus“. Przed arcydziełem trzydziestoletniego poety musiała ukorzyć się cała krytyka anglosaska. Początkowo oczywiście podniosła swój łeb w czepku miss Grundy w rozmaitych „poważnych magazynach“ i jej majordomus krytyk Saintsbury, ale w kwestyi „Atalanty w Calydonie“ podali sobie ręce już wszyscy artystycznie wyszkoleni krytycy, a więc *doyen* europejskości w Anglii, Leslie Stephen i Morley, Charles Lamb i W. Henley, Gardiniere i Andrew Long, Sidney Lee i Gosse, i wspólnymi siłami wyrwano starej miss Grundy miotłę z rąk, przełamano parkany małomieszcząńskie i znieawidzonemu u dworu Windsorskiego republikaninowi oddano hold,

imponujący entuzjazmem kompletnie nie angielskim. Ale Swinburne za wielkim był arystokratą, aby twórczości swej nakładać jakiekolwiek konserwatywne pęta, więc w rzeczach sztuki hołdował wolności bezgranicznej, niestety zwykle przekleństwem bezładu i dowolności napiętnowanej. Do swoich mistrzów zaliczał obok Shelleya i Beaudelaira—Williama Blakego i Wiktora Hugo; twórcę Burgrafów miał w wysokiej cenie jako wzorowego dramaturga,... w rezultacie sprawiło to fizyczną niemożliwość przeniesienia jego dramatów z kart książek w życie na deskach scenicznych. Druga część trylogii „Botwell“ rozpada się na pięć aktów, z których każdy jest osobnym, nużącym jednowieczorowym dramatem; przepiękna „Dolores“ niemożliwą jest dla swych wagnerycznych kwiatów złego i rozgadanego w bujnych metaforach, allegoryach i obrazach satanizmu.

Stylizacja wreszcie średniowieczno-hebrajskiego misteryum: „Maska królowej Bersabee“ jest fantastyczną ponad siły umysłowe nawet więcej niż przeciętnego widza; kardynalny brak koncentracji, retoryczność podniosła, choć coprawda pełna żywotnego kolorytu, soczystych barw i piorunów, myśli, jednak rozplywająca się w tych soliterach słów bogatych, które Anglicy ochrzcili raz na zawsze „*wordsworthian pedestrianism*,” następnie typowo liryczny charakter tyrad monologowych exemplo: ekslamacje chóru przeciw bogom (Atalanta w Calydonie) czynią nawet arcydzieło tego poety, który wyśpiewał najwznioślejsze: *Laus Veneris*, scenicznie niewykonalnem.

Dlatego kiedy założono londyński „Teatr niezawisły,” wszystkich oczy zwróciły się w górę, ku pysznej lwiej głowie Swinburna, ginącej w obłokach rozmyślań i rozmarzeń nad Sfinksem kobiety Afrodyty, Salomy, Atalanty, Proserpiny, Kleopatry, Maryi Stuart, Isoldy, Pasifae, Dolores, ale w krótkim czasie, kiedy Sfinx nie przemówił „stosowanym“ językiem, kiedy Swinburne ani myślał na piędź choćby ustąpić ze swojej twierdzy, całej zbudowanej z kości słoniowej i złota, jak Rzym Nerona, oglądnięto się na boki, po rówieśnych, po jeszcze nie skryształizowanych, nie konsekwentnie upartych, po dojrzewających talentach. I oto wystąpił do boju cały zastęp, młoda Anglia pisząca dramaty, twórcy, z którymi za lat kilka liczyć się będzie już i reszta Europy; zawsze bowiem upływa najmniej jedno decennium w dotychczasowym składzie międzynarodowych stosunków duchowych, zanim powaga i wartość autorytetu artystycznego przedostanie się poza rogiatki języka.

Nazwiska ich mało dotychczas mówią nawet sumiennie badającemu

postęp literacki europejczykowi: G. Bernard Shaw, John Todhunter, Stephen Philipss, W. Heineman, Oskar Wilde, W. Yeats, George Moore, Edward Martyn, J. Dawidson, W. Sharp. Wymieniłem rozmyślnie wszystkie przystępne mi, a zgoła obce znakomitemu krytykowi francuzkiemu A. Filou (Le Theatre anglais, obszerna historia nowego (?) dramatu angielskiego), rozmyślnie, gdyż w pierwocinach twórczości każdej z tych indywidualności odczuwać się dają załączki krzepkich i ciekawych organizacji dramaturgicznych. Todhunter, wnosząc z jego „Czarnego kota“, będzie uprawiał wyrafinowaną analizę niezwykłych figur z współczesnego życia, wplątanych w kanwę wyszukanych konfliktów prawie psychopatycznych. Stephen Philipss idzie linią greckiego dramatu Milтона, Shelleya, Swinburna, ale w wysoce osobistym, nieco o efekty pantomimiczne zatracającym stylu, przynajmniej w dotychczasowych utworach, przyswajanych już repertuariowi amerykańskich i niemieckich scen, więc w „Herodzie“, w „Ulissesie“, w „Paolo and Francesca“, pierwszej próbie prerafalicyzmu dramatu. George Moore, E. Martyn (Mewa, temat Heddy Gabler identyczny z dramatem Czechowa), Heinemann ibsenizują na tle angielskich a więc przelicznych kłamstw socjalnych w przesadnym cokolwiek *slangu* t. j. żargonie realistycznym. Dwaj Irlandczycy, stanowiący z znakomitym powieściopisarzem i krytykiem George Moorem i Martynem i z lirykami: Tynan Hincksonem i Fiona Mc. Cleodem szkołę irlandzką, mającą swój teatr literacki i swoje kongresy celtyckie w Dublinie, idą zdecydowanie i jawnie za estetyką marynetkowej dramaturgii Maeterlincka: William Sharp i William Yeats. Pierwszy koncytuje w akwarelowym kolorycie przedziwnie subtelne sielanki symboliczne („Lilith“, „Noc na Północy“), liryczne intermedya, niedające się w nic usystemizować i niczemu niepodobne. Drugi, Yeats, malarz o wielkiej renomie, to jakby Stanisława Wyspiańskiego sobowtór irlandzki, artysta o fizyognomii fenomenalnie zbliżonej do krakowskiego taumaturga dramatu. Patryota i marzyciel, stylista i historyzof, oryginalny na wskroś a pełen reminiscencyi, Irlandczyk w każdym calu charakteru i duszy i absolutnie kosmopolityczna kultura artystyczna. Pomijam nieco dziwaczny „Kraj gorących pragnień“, ale zwrócić chciałbym uwagę na bezwzględnie piękną „Hrabinę Kasię“, bajkę z świata zielonych lasów i zielonych elfów i duchów irlandzkich (Wanda z Legendy Wyspiańskiego). Hrabina Kasia, anioł w ludzkim ciele, piękna i czysta jak iza, walczy z dyabłem o dusze biednych, zgłodniałych, zbrodniczych chło-

pów irlandzkich; aby ich uwolnić od mąk piekielnych, zaprzeda je swą świetlaną duszę dyabłu, ale dzięki wytwornie sprytnemu pomysłowi autora... idzie wkrótce do nieba. J. Dawidson, a przed nim Oskar Wilde zapamiętali rzucili się w objęcia eksperymentacyi technicznie-formalnej i kombinowania rodzajów, więc „pantominy tragicznej“, „trywialnej komedyi“, „wesołego dramatu“, „tragicznej farsy“, „historycznego melodramatu“ i t. p. Biedny Oskar Wilde był pod tym względem niepoprawnym, skandalizował profesorów literatury i estetyków z profesyi, a ostatecznie w swym dorobku scenicznej poezyi ma obok najgorszych eksperymentów historycznego melodramatu: „Vera albo Nihilisci“, pełnego otchłannie czarnych egoistów i bluźnierczych paradoksów, (działających na publikę jak tusz w trytolejowy) – tak poprawnie estetyczną rzecz jak tragedję wierszowaną „Księżna Parmy“ obok tak trywialnego karykaturowania Ibsena jak „Nic po kobiecie“ (*A woman of no importance*), „Powaga za każdą cenę“ (*The importance of being earnest*), tak interesującą komedję awanturniczą, jak „Wachlarz lady Windermere“, lub przepyszny fajerwerk orientalnego języka i subtelnego sensytywizmu, demoniczną „Salome.“ (Interesujące porównanie z pastorsko-burżuazyjnem wymodelowaniem tej córki Herodyady a matki Lues, pióra popularnego literata Sudermana z Berlina). Dwanaście już lat minęło od śmierci biednego lorda Paradoxa, a sztuki jego obecnie bez nazwiska, zohydzonego przez kwakerską prasę i Armię Zbawienia, na afiszu zaczynają figurować, na kioskach ogłoszeń w Londynie i przepelniać widownie. Tempora mutantur i smak i głody szerokiej publiky, a tylko obfuda społeczna, zawsze zdrowa i czerstwa, w nowe przebiera się formy i szaty. Wilde staje się... popularnym, a jego eksperymenty... *sociable; my Dear, my Dearest!* J. Dawidson wypisał „dramaty wesołe“ z szkockich kronik, pantominę grecką: „Scaramuch in Naxos“, „tragiczną farsę“: „Smith“ i jest w dramacie angielskim tym elementem, którym u nas Kisielewski, w Niemczech Frank Wedekind. Ponad wszystkich tych jednak pionierów nowego ducha w nowych formach wyrósł już i wzmógł się tylko jedyny Bernard Shaw, największy atut w rękach młodej Anglii, którym będą zagrywali atuty innych narodów: Maeterlincka, Strindberga, Becque'a, d'Annunzia, Hauptmanna i Hofmansthała, G. Wieda, Gorkiego, Wyspiańskiego, Perez Galdoza; pomijam panów Rostanda, Rydla et consortes, bo są mi za antypatyczni i w niczem nie podobni do atutów...

Młody ten autor dochodzi obecnie pięćdziesiątki, a debiutował lite-

racko w tym roku, w którym zmarł Wagner, a na Nietzschego mózg zapasła miała, wołająca o pomstę do Ducha Światów, ciemnia dziecięcego obłędu; w r. 1876 wydał socjalistyczny agitator i niestrudzony mówca ludowy, przewodyr komunistycznej: *The Fabian Society* i dziennikarz radykalny, Shaw, tom z pięciu nowel pt.: „Zawód Cashel Byrona“, które dla swej oryginalności zyskały sobie uznanie wykształceńszych czytelników, ale szyderstwo i niepopularność u ogółu. Dwanaście lat z rzędu orał i niszczył się Shaw w propagandzie partyjnej i kazał na katedrach *mass-meetingów* ewangelię Marxa, aby wreszcie zaprzecić się wiary w kapitał i głosić renegacyę, negacyę utopii, kondemnacyę rewolucyi i konstytuante socjalizmu. Sharp był Bernstejnem angielskim w r. 1884 i doprowadził do kataklizmów i przełomów, które są podstawą dzisiejszej *British-Association* i teraz, kiedy Shaw już z socjalnym ruchem nic nie ma wspólnego, wyłącznie oddany krasopisarstwu scenicznemu i krytycznemu. Nie obyło się bez animozyi osobistych i uroczystego wyparcia się marxistów artysty-Apostoła. To samo, rzecz dziwna, w tym samym prawie czasie działo się w Niemczech z Gerhardem Hauptmanem, którego jadowity paszkwilista Sigmar Mehring przeklął pontyfikalnie z tronu „Sozialistische Monatshefte“; ta sama tragikomedy gra się w lat dziesięć później z Pieszkowem-Gorkim w Rosyi i jeszcze gdzieindziej powtórzy się zapewne, bowiem pewnikiem jest takim, jak pewnik każdodziennego wschodu słońca, że prometejsko-proteuszowy duch artysty myśliciela nie da się nigdy dłużej więzić za drutami partyjnej klatki poza ten moment, w którym złoto drutów okazuje się sztucznym frazesem, przesadę wczorajszym, anachronizmem i siłą przemocy. Bernard Shaw był socjalistą z całej duszy, z pełnej wiary i dlatego też i wielbicielem Ibsena i entuzyastą Wagnera i komentatorem i propagatorem obu największych tytanów stał się z całej duszy, w pełnej wierze, przez lat dziesięć krytycznej orki i recenzyjnego rozpraszania, rozdrabiania się (coprawda w takich pismach zaszczytnych jak: „The World“, „Star“, „Pall-Mall Gazette“, „The Saturday Review“). Socjalistycznie-krytyczne: „Fabian Essays“ i dwie broszury: „Kwintesencya Ibsenizmu“ i „Poprawny Wagnerzysta“ to kamienie fundamentalne jego szerszego uznania, autorytetu dla *upper-ten* Londynu. A kiedy w świecie inteligencji angielskiej zdecydowały się duchy zórawie na otwieranie okien i przewietrzanie purytańskiej stęchlizny i zaduchu, kiedy rozpoczęto pierwsze próby otrucia strychniną starej czarownicy *miss Grundy*, zaczęto grać Ib-

sena, konferować o d'Annunziu i czytać Maeterlincka, wtedy okrzyczany socjalista a wybredny arystokrata krytyki, czerwony radykał a dystyngowany *causeur* muzealnych, stuletnich miesięczników (kombinacja możliwa tylko w bardzo dojrzałej kulturalnie inteligencji), Bernard Shaw wydał swoje trzy „Sztuki niepokojące“ (Unpleasant Plays), a teatry londyńskie rozdzieliły je między siebie: *Independent-Theatre* wziął: „Wdowie gospody“, *Criterion-Theatre* wziął komedię: „*The Philanderer*“ a trzecią: „Profesję pani Warren“ skonfiskowała poczciwa potwora *miss Grundy*. Pierwsza rzecz to bezlitośna satyra, ale racjonalna, bo humanitarna, przeciw faryzeizmowi społecznemu wogólności, a specjalnie przeciw gospodarce londyńskich kamieniczników, eksploatujących najbiedniejsze warstwy społeczne w olbrzymich mansardach i kasarniach czynszowych, jaskiniach smutku i depresji. Architektura dramatu arystofanesowska, koloryt silnie realistyczny, potęgowany jeszcze raketami sarkastycznego dowcipu. Nieznany mi drugi utwór miał być satyrą salonową z kapitalnymi figurami londyńskiego *society*. Trzeci o najdrastyczniejszej tezie uległ cenzurze wobec moralnego stanowiska autora, który w 3 aktach udowodnił, że mężczyzna, o ile w swoim powołaniu „z konieczności“ sprzedaje swe przekonania, o tyle jest pogardą godniejszym od kobiety, która aby żyć wypożycza za pieniądze swe ciało. Wnet po pierwszym tomie wyszedł drugi: „Pocieszne sztuki“ z dwiema salonowymi charakterystycznobrawurowymi arcykomediemi: „Mąż przeznaczenia“ i „Przenigdy“ (*You never can tell*) i dwoma skończeniem pierwszorzędnymi utworami, tj. głęboką psychologiczną komedią, analizą bohaterstwa: „*Arms and the man*“ i prerafaelitycznym dramatem współczesnych problemów a wizją ludzi najwyższego typu, a bolesną analizą altruizmu, humanitaryzmu i miłości, wielkiem dziełem angielskiej sztuki, myśli i piękna: „*Candida*.“ Trzeci tom z ostatnich już czasów nosi tytuł: „Sztuki dla Purrytanów“ i zawiera po interesującej przedmowie autora dramat małomiejski z czasów amerykańskiej wojny emancypacyjnej z 18 wieku: „Dyabli synek“, komedię deminutywną w stylu Szekspirowskich: Troilusa i Cressydy pt.: „Caesar i Cleopatra“, demaskującą ironicznie wielkiego bohatera i wielką kochankę i ich szlafrokowe małostki, i wreszcie trzecią sztukę, południowo-afrykańską pt.: „Nawrócenie kapitana Brassbanda“; i ten trzeci tom nazwałbym „niepokojącymi sztukami“, gdyby nie fenomenalnie zu-

chwały: Dyabli synek, frapujący tezewem stanowiskiem najoryginalniejszego obecnie prozaika poezji w Anglii.

Bernard Shaw, śmiem twierdzić już teraz, kiedy wieści o nim zaczynają dopiero przedostawać się z Albionu na kontynent, a w Niemczech i Francji tłómaczą jego pocieszne, niepocieszne i purytańskie dramaty, będzie jednym z tych, którzy budzą i wstrząsają zasypiającym światem, wejdzie może w nieśmiertelne kolisko Balzaca, Dostojewskiego, Tołstoja, Ibsena, Nietzschedo, gdyż już w pierwszych swych wielkich reliefowych dramatach wstrząsa on samymi fundamentami starego świata i wszystkie stare wartości etyczne, kłamstwa-ideały, problematyczne zdobycze postępu, niezachwiane prawdy piękna i dobra, kapitały cnót i zasad, wagi dla egoizmu i altruizmu, dogmaty humanitarne, ogólnoludzkie kultury i niewiary, nacyonalne dumy i patryotyzmy poddaje najbezwzględniejszej kontroli i krytyce, demaskuje i niweluje. Dramaturg Shaw należy do najnieubłagańszych destrukcyjistów, do rodziny Spinozy, Woltera, Rousseau, Schopenhauera, Napoleona, Bethovena, ma w sobie tę desperacyjną melancholię destrukcji i smutek palonych za sobą mostów, burzonych baszt i wyszadzonych monumentów z gliny. Ale z poza zgliszczy i ruin, upadków i pokonań całego kompleksu kłamstw ogólnokulturowych wznosi się z jego twórczości jakaś bajeczna, arabsko-legendaria Alhambra optymizmu, jakiś strzelisty pałac słoneczny i tęczowy, kanon dobrej woli, wiara w boską genezę bestyi ludzkiej i umiłowanie człowieka tak piękne, tak rozczulające, jakiego mało dziś spotkać można w twórczości bezdennych egoistów. Trzy znam jego dramaty, które, zachwiawszy w czytelniku ufność w świętą misję mózgu homo sapiens, w rezultaty XX wiekowej pracy nad upodobnieniem Adama i Ewy na obraz Boga, w sens rozgraniczenia wszystkich fenomenów na dobre i złe, czarne i białe, nikczemne i podniosłe, górne i płaskie, jasne i ciemne, oddałyby w zamian czytelnikowi-widzowi tak mocną i promienną wiarę w boskość instynktów ludzkich, szlachetność cierpienia ludzkiego, w niezawinienie tej istoty, która z bolesnym już płaczem wita, w konwulsjach zgrozy i trwogi żegna ten padoł rozczarowań a okłamywań górnych i chmurnych. Te dramaty — to „Kandida“, „Czarci synek“ i „Arma virumque cano“. Z każdego da się wyeliminować jedna lub więcej postaci, reprezentujących najczystsza rasę ludzka, piękno absolutne duszy, emanującej się na zewnątrz w żywiołowych eksplozyach, postaci, dających wrażenie nieziemskiej dostojności, harmonii i jasności, a w ry-

sunku faktycznej, realistycznej psychologii bardzo bryłowych, bardzo przeciętnych, dwa razy dziennie w życiu spotykanych. I w tem leży magia talentu Shawa, w tem przepojeniu akcji konsekwentnej i z fal życia mistyczną mocą pióra wyratowanej, z dokumentów i empiryi wysnutej jakimś tchem seraficznym, jakąś kryształną atmosferą innego wyższego półboskiego bytowania, w tem powiedziałbym wpuszczeniu, darujcie, wpulveryzowaniu w powietrze, jakiem oddechają przeciętni ludzie w przeciętnych warunkach, atomów zacności, prawdy, odwagi, umiłowania życia, szlachetności. Pięknem i godnem jest to życie dramatyczne ludzi u Shawa, wartem mazołów i cierpień, nawet wtedy, kiedy autor holenderskim pędzlem maluje małą gminę zabitego od świata deskami purytyzmu, a w niej faryzeizm obłudny, potworne i niepokonalne egoistycznej marniej rodzinie, nawet wtedy, kiedy przeprowadza deterministyczną analizę miłości bliźniego i jej bohaterów i udowadnia marność, marność, marność ich syzyfowych wyrzeczeń się i ofiar śmiesznie bezskutecznych, nawet wtedy, kiedy zuchwale i bez pardonu na heroizmie zrodzonym z uczuć nadowych przeprowadza wywiskę niktowego tchórzostwa, w patriotycznym szale uczuć topi sondy i pensety, wykrawa haniebną obojętność i nihilizm, odwagę śmierci demaskuje jako tchórzostwo przed bezsławnym cierpieniem, a równocześnie wyśpiewuje jakby między wierszami wzniosłą pieśń o cichym bohaterze, impulsywnym bohaterstwie, ofiarnej odwadze bez gestów, bez pozy, bez sztandaru, bengalskich ogni i zawsze kłamliwej reklamy drukowanej historii. W trzech postaciach dotychczas wypowiedział Shaw przepysznie swój optymizm, nie mający nic wspólnego z optymizmem Feuilleta lub Sienkiewicza, t. j. w prerafaelicznej kreacji pазia z obrazów Mantegny, przetłómaczonego w współczesne życie, siedemnastoletniego poety o duszy tak czulej, jak struna z skrzypiec Stradivariusa, wiotkiego młodzianka *Marchbanka* (Candida), w Ryszardzie *Dudgeonie*, rewolucyoniście od kolebki, bojownikowi woli do życia i wolności, kochanku i księciu niezłomnym prawdy, więc uosobieniu zgrozy moralnej i czartowskiego światopoglądu dla purytańskich obłudników (The devils disciple), wreszcie w Szwajcarze Bluntschlim (Arms and the man) człowieku „o beznadziejnie prozaicznym nosie z dobrotliwie głupimi oczyma, o krótkostrzyżonych włosach i niedystygowanych manierach“, bohaterze bez zmyy i skazy, kochającym życie do niepamięci, ryzykującym życie bez momentu wahania, żołnierzu bez powołania a z idei humanitarnej, żywym

jak żywe srebro, wesołym jak promienie słońca, a prostym i ostrym jak stal szabli, którą jemu, hotelarzowi szwajcarskiemu, dała w rękę tradycja Winkielrydów, Tellów, Leonidasów, szlachetna żądza niesienia pomocy walczącym o wolność Bułgarom. Piękny ten dramat heroiczny angielskiego autora, wytwornie egzotyczny, bo bez etnograficzno-charakterystycznej przesady lokalnej (rzecz dzieje się w małym miasteczku bułgarskim, w pobliżu pasa granicznego serbskiego w r. 1885, podczas wojny) zyskał mu jednym zamachem olbrzymie powodzenie w Anglii i Ameryce i sprawił, że B. Shaw przeszedł szczęśliwie tę linię demarkacyjną, która oddziela pisarzy-artystów, uznanych w miesięcznikach i magazynach, w inteligencji i w krytyce, od autorów-rentierów, popularnych w szerokich rzeszach publiki; Shaw jest już obecnie *a money making autor*, przetłómaczone na polskie: autor o dochodzie 50 do 100 tysięcy rubli rocznie... Kipling bierze ćwierć funta za wiersz... a nadziemsko-kryminalistyczna Maria Corelli lub humorysta Jerome-Jerome (syn polskiego emigranta ze Szlązka, Klapki!) po pół funta...; co kraj bowiem, to obyczaj...

Ale nie zazdrościmy Shawowi tych tryumfów w nowym i starym świecie, gdyż rzadko kto tak sumiennie zasłużył na laur współczesnych! Nie czyta się często rzeczy tak głęboko i wszechstronnie przemyślanych, tak intensywnie odczutyh i przecierpianych i tak plastycznie i wyczerpująco, z druzgocącą logiką psychologiczną przeprowadzonych. Tu znać studia ścisłe nad środowiskiem, czy ono rzymsko-cesarskie, czy high-lifu londyńskiego, czy południowo-afrykańskie, czy północno-amerykańskie, czy bułgarsko-małomiejskie, czy z świata potężnego obozu chrześcijańsko-socjalnego Anglii; po rezultatach widać, jak umysł jego wchłaniał zawsze atmosferę środowiska i notował szczegóły faktyczne, jak wchodził bezpodzielnie w świat koncyptowanego dramatu. Stąd ta pełnia obrazowa, te jego wstępy nowelistyczne do każdego aktu, skończone wirtuozye milieu-charakterystyki, następnie te przeliczne instrukcje dyalogowe, komentarze, adnotacje, eksplikacje, które, zdaje mi się, pozwalają grać jego dramaty trupie aktorskiej zdecydowanych nieuków i imbecilów, tak wszystko (mówiąc trywialnie) mają tu oni „łopatą wyłożone“. Dramaty Shawa to organizmy tak dojrzałe i rozwinięte, jak symfonie Czajkowskiego, bajki Boecklina i jednowieczorowe rewolucje Ibsena; żaden reżyser, żaden cenzor, żaden mima-wirtuoz nie śmie tu nic ująć ni dodać ze swego mózdzku. Autor stworzył i pozwala żyć, pięknie żyć, dodajmy, estetycznie żyć, nawet

w tych ordynarnych czasach wszechwładztwa prasy, snobizmu i filopatycznych uczuć. Shaw najgenialniej rozwinął ideę pewnego architekta norweskiego, którego los był chyba bardzo tragicznym, niejakiego Solnessa. Ten Solness życiem swoim przypłacił dopiero to doświadczenie, że nie w budowaniu tumów z wysokimi wieżami i higienicznych domostw leży misya artysty człowieka, i że słońce nie tylko opromienia szczyty wież, ale przenika do najniższych wądołów i suteran; „skarbem biednych“ jest poezya codzienności, filozofia ukochania życia i oswojenie Losu, Przeznaczenia, Fatum, jak ptaka, któryby wolno puszczony świegotem swym rozweselał dzień szary. Solnessem Shawa jest pastor, agitator chrześcijańsko-socyalny, entuzyasta życia i przyszłości, Morell, „Skarbem biednych“, promieniem słońca na nizinach — kobieta-towarzyszka, silna jak Hedda-Gabler, piękna jak Monna Vanna, a wieczna piastunka boskości, Candida, może zesła z obrazów Carpaccia lub Belliniego, może ta sama, co była inspiracją Dante Rossettiego, kobieta, w której zjawisku odczuć się da duchowe powinowactwo z Tycyana, „wniebowstępującą Maryą“, Vittoria Colonna... Monna Liza... Beatrycze... Delfina Potocka...

I ten dramat Shawa, prerafaelityczny czy maeterlinckowski, mniejsza o to, jak go bierzmować literackim chryzmatem, wypisany z smutnie-poważnej znajomości duszy ludzkiej, trącający o nietknięte struny duszy ludzkiej, rzucający czasem błędne blaski w jakieś zagrzebane świątynie na bezdnie duszy ludzkiej, dramat melancholicznych przeczuć i bolesnych uroków, misterium nieziemskiej miłości w dekoracjach plebanii anglikańskiej w Nord-Westend Londynu („przy końcu milowej Hackney-Avenue, której monotonię kłóca tylko żółte wagony tramwaju parowego, szyldy radykalnych klubów i mundury polic-menów“) — robi na mnie wrażenie konkretne, zamknięte w jednej wizyi: olbrzymia hala fabryczna, w którą wpadają całą kaskadą blaski słoneczne migotliwemi, zbladłemi plamami całej tęczy, przesiane przez gotyckie witraże Burne-Jonesa; w przelicznych barwistych promieniach śpiewa hymn pracy mrówcze rojowisko ludzkie — a Piękno, które przez wieki krasiało tylko szczyty wież, schodzi w niziny maluczkich...

Sharp to jeden z tych, co kocha miliony, cierpi z milionami a Sztukę absolutną rozdaje i uprzystępnia milionom: człowiek z jutra.

Adolf Neuwert Nowaczyński.

Myśl.

Dnia 11 Grudnia 1900 roku, doktor medycyny Antoni Kierżencew popełnił zabójstwo. Tak zebranie wszystkich danych, które towarzyszyły przestępstwu, jak i niektóre poprzedzające fakt okoliczności, nasuwały podejrzenie nienormalnego stanu umysłowego Kierżencewa.

Oddany dla zbadania do szpitala dla chorych umysłowych w Eliza-wetgradzie, Kierżencew był tam pod ścisłą obserwacją kilku doświadczonych psychiatrów, pomiędzy którymi znajdował się niedawno zmarły profesor Drzembicki.

Oto są notatki, nakreślone w sprawie zaszłego wypadku przez samego doktora Kierżencewa w miesiąc po rozpoczęciu badania; wraz z innymi dowodami ujawnionymi przez śledztwo, notatki te wzięte były pod uwagę przez ekspertyzę sądową.

ARKUSZ PIERWSZY.

Dotychczas, panowie rzeczoznawcy, ukrywałem prawdę, teraz jednak okoliczności zmuszają mnie do wyjawienia jej. A poznawszy ją, zrozumiecie, że rzecz nie jest tak prosta, jak się może wydać profanowi: albo kaftan bezpieczeństwa, albo kajdany. Tutaj zaszło coś trzeciego – ani kajdany, ani kaftan, lecz bodaj coś straszniejszego niż jedno i drugie razem wzięte.

Zabity przezemnie Aleksy Sawiełow kolegował ze mną w gimnazyum i w uniwersytecie, chociaż każdy z nas obrał sobie inną specjalność: ja — jak wam wiadomo, jestem lekarzem, on zaś skończył fakultet prawny. Nie mogę powiedzieć, żebym nie lubił zmarłego; był mi on zawsze sympatycznym, a bliższych przyjaciół od niego nie miałem nigdy. Ale, pomimo wszystkich sympatycznych cech, nie należał do rzędu ludzi, mogących wzbudzić we mnie szacunek. Dziwnie miękka i bierna jego natura, wieczny brak stanowczości w obrębie myśli i uczuć, ostra krańcowość, bezpodstawność jego ciągle zmieniających się sądów, nakazywały mi zapatrywać się na niego jak na dziecko, albo jak na kobietę. Ludzie bliscy mu, niezrędko cierpiący z powodu jego wybryków i niezależnie od tego, dzięki nielogiczności natury ludzkiej, bardzo go kochający, starali się usprawiedliwić jego braki i własne ku niemu uczucie nadaniem mu miana „artysty“. I bywało tak, że to nic nie znaczące słówko najzupełniej go usprawiedliwiała, i to, co w zwykłym śmiertelniku wydałoby się złem, tutaj było bez znaczenia, a nawet dobrem. Taką miał moc ten przyczepiony przydomek, że nawet ja przez pewien czas poddawałem się ogólnemu nastrojowi i chętnie uniewinniałem drobne wady Aleksego. Drobne — dla tego, że do wielkich, jak i do wszystkiego co potężne, był on niezdolny. O tem dostatecznie świadczą jego literackie plody, w których wszystko jest drobne i niewyraźne, cokolwiekby orzekła niedaleko patrząca krytyka, chciwie łaknąca nowych talentów. Piękne i marne zarazem były jego plody, jak pięknym i marnym był on sam.

Kiedy Aleksy umarł, miał lat trzydzieści jeden; trochę więcej niż o rok był młodszy odemnie. Aleksy był żonaty. Jeżeli widzieliście jego żonę teraz, po jego śmierci w żałobie, to nie możecie mieć wyobrażenia, jaka była piękna dawniej: tak ogromnie, nadzwyczajnie zbrzydła. Policzki szare, skóra na twarzy taka zwiędła, stara, stara jak znoszona rękawiczka. Przytem zmarszczki... Teraz są to tylko zmarszczki, a za rok będą głębokie bruzdy... Bo też tak go ogromnie kochała! Oczy jej nie błyszczą już teraz i nie śmieją się, a dawniej zawsze się śmiały, nawet wtedy, gdy powinny były płakać. Widziałem ją tylko przez chwilę, przypadkowo zetknąwszy się z nią u sędziego śledczego i zostałem zdumiony zmianą. Nawet nie była w stanie spojrzeć się na mnie z gniewem. Taka nieszczęsna!

Jedynie my troje, Aleksy, Tatjana i ja, wiedzieliśmy, że pięć lat temu

dwa lata przed ożenkiem Aleksego, oświadczyłem się Tatjanie i zostałem odpalony. Naturalnie, to się tylko tak przypuszcza, że my troje, bo z pewnością Tatjana ma jeszcze dziesiątki przyjaciółek i przyjaciół szczegółowo powiadomionych o tem, że, pewnego razu doktor Kierzencew zamarzył o ślubie i dostał poniżającego odkosza.

Nie wiem, czy ona pamięta, że się wtedy roześmiała; najpewniej nie pamięta — tak często zdarzało jej się śmiać! Przypomnijcie jej zatem: *5 Sierpnia roześmiała się.*

Jeżeli się zapierać będzie — a będzie się tego zapierać — to przypomnijcie jej, jak to było: Ja, ten siłacz, co nigdy nie płakał i nigdy niczego się nie bał — ja stałem przed nią i drżałem. Drżałem i widziałem, jak ona przygryza usta, i już, już wyciągałem rękę, żeby ją objąć, kiedy podniosła na mnie oczy, a w tych oczach wyczytałem śmiech.

Ręka moja zawisła w powietrzu, a ona się roześmiała i długo się potem śmiała... Tak długo, jak jej się podobało. Potem jednak zaczęła się usprawiedliwiać — wybac mi pan, proszę — powiedziała, a oczy jej jeszcze się śmiały.

I ja się także uśmiechnąłem i, gdybym mógł jej przebaczyć ten śmiech, to nigdy nie mógłbym przebaczyć swojego uśmiechu. Było to 5 sierpnia o godzinie 6 wieczorem — podług czasu petersburskiego. Podług petersburskiego — dodaję dlatego, że byliśmy wtedy na dworcu, i w tej jeszcze chwili dokładnie widzę duży, biały cyferblat i takie położenie czarnych wskazówek: pod górę i na dół. Aleksey został zabity także punktualnie o godzinie 6-ej. Szczególne zestawienie, mogące jednak odsłonić niejedno domyślnemu człowiekowi. Jedną z podstaw, żeby mnie tu umieścić, był brak pobudek w przestępstwie.

Jak widzicie, pobudka istniała. Bezwarunkowo, nie była to zazdrość. Ta ostatnia jest wynikiem gorącego temperamentu i osłabionych zdolności umysłowych t. j. czegoś wprost przeciwnego mnie: ja jestem człowiekiem chłodnym i refleksyjnym.

Zemsta? Tak, prędzej zemsta, jeżeli już jest niezbędne stare określenie dla nowego i nieznanego uczucia. Wszystko zasadało się na tem, że Tatjana raz jeszcze pozwoliła mi się omylić i to mnie złościło. Dobrze znając Aleksego, byłem przekonany, że Tatjana w małżeństwie z nim będzie nieszczęśliwa i żałować będzie, że mnie odtrąciła, i dlatego tak-em namawiał, żeby Aleksey, wtedy jeszcze zwyczajnie ot sobie zadurzony, oże-

nił się z nią. Jeszcze na miesiąc przed swoją tragiczną śmiercią, powiedział Aleksy do mnie:

— Tobie zawdzięczam swoje szczęście—prawda Taniu?

A ona patrząc na mnie odpowiedziała: „prawda“ a oczy jej uśmiechały się. Ja się także uśmiechałem. Potem roześmieliśmy się wszyscy, gdy on objął Tatjanę—mną nie krepowali się—i dodał:

— Tak, bratku, dostałeś mata!

Ten nietaktyczny i niewłaściwy żart skrócił jego życie o cały tydzień: pierwotnie zamierzałem zabić go 18 Grudnia. Tak, małżeństwo ich okazało się szczęśliwym i szczęśliwą była mianowicie ona. Aleksy kochał Tatjanę niezbyt mocno, gdyż, wogóle, nie był zdolny do głębokiej miłości. Miał on swój ulubiony przedmiot—literaturę, pochłaniającą jego uwagę i wynoszącą ją poza ściany sypialni. Ona natomiast—jego tylko kochała i nim jednym żyła.

Poza tem był to człowiek słabego zdrowia: częste bóle głowy, bezsenność, i to go męczyło naturalnie. A dla niej—dla niej—nawet pielęgnować i dogadzać jego zachciankom było także szczęściem. Przecież, kiedy kobieta pokocha, staje się niepoczytalną. I oto codziennie oglądałem jej uśmiechniętą twarz, jej szczęśliwą twarz, młodą, piękną, bez troski. I myślałem: To moje dzieło! Chciałem dać jej męża nicponia i pozbawić ją siebie, a zamiast tego, dałem jej męża takiego, którego ona kocha, i sam przy niej zostałem. Zrozumiecie może tę oryginalność: była ona mądrzejsza od swojego męża i gawędzić lubiła ze mną, a pogawędziwszy—spać szła do niego i była szczęśliwa.

Nie pamiętam, kiedy pierwszy raz zrodziła się we mnie myśl zabicia Aleksego. Jakoś niepostrzeżenie zjawiała się, a od pierwszej chwili wydawała mi się taką dawną, jakbym się z nią urodził. Ja wiem, że pragnąłem unieszczęśliwić Tatjanę i że przedtem miałem na myśli wiele innych planów mniej niebezpiecznych dla Aleksego—zawsze byłem wrogiem niepotrzebnego okrucieństwa. Korzystając ze swojego wpływu nad Aleksym, miałem zamiar rozkochać go w innej kobiecie, albo doprowadzić go do pijaństwa (miał do tego skłonność), ale wszystkie te sposoby nie zdałyby się na nic. Tatjana bodaj czy nie zostałaby szczęśliwą, gdyby go nawet oddała innej kobiecie, albo gdyby słuchała jego pijackiej paplaniny, albo gdyby przyjmowała jego pijackie pieszczoty. Jej było potrzebnem życie tego człowieka, byleby tylko tak lub inaczej służyć mu mogła.

Zdarzają się takie niewolnicze natury. I jak niewolnicy, nie mogą one ani zrozumieć ani ocenić cudzej siły z wyjątkiem siły swojego pana. Były już na świecie kobiety rozumne, piękne i utalentowane, ale sprawiedliwej kobiety świat jeszcze nie widział i takiej nie zobaczy.

Wyznaję szczerze, nie dla uzyskania niepotrzebnej mi łaski, tylko dla dowiedzenia, jaką prawidłową, normalną drogą dojrzewało moje postanowienie—że dosyć długo walczyła we mnie litość dla człowieka, którego na śmierć skazałem.

Litość we mnie wzbudzał jego przedśmiertny strach, litość wzbudzały te sekundy cierpienia, kiedy się będzie rozpryskiwała jego czaszka. Żał mi było — nie wiem, czy wy to rozumiecie — samej czaszki. W zgodnie pracującym, żywym organizmie tkwi osobliwe piękno — zaś śmierć, jak choroba, jak starość, to przedewszystkiem karykatura. Pamiętam, dawno to już temu, bo zaraz po skończeniu uniwersytetu, wpadł mi w ręce piękny, młody pies o zgrabnych, silnych członkach. Kosztowało mnie dużo wysiłku, żeby zedrzeć z niego skórę, jak tego wymagało doświadczenie. I długi czas potem wspomnienie tego psa było mi nieprzyjemne.

Gdyby Aleksy nie był takim wątłym i słabowitym—nie wiem, czy bym go zabił. Ale pięknej jego głowy żał mi dotychczas. Powiedźcie to, łaskawie, Tatjanie. Piękna, piękna to była głowa. Nieładne miał tylko oczy — blade, bez ognia i energii. Nie zabiłbym Aleksego i w tym wypadku, gdyby krytyka miała słuszność i on byłby rzeczywiście takim potężnym talentem literackim. W życiu jest tak dużo mroku i tak są potrzebne oświetlające drogę talenty, że każdego z nich należy strzedz jak drogocenny dyament, jak to, co okupuje w ludzkości tysiące marnot i niegodziwców. *Ale Aleksy nie był talentem.*

Nie tutaj miejsce na krytyczną ocenę — ale dosyć jest się wczytać w najbardziej głośnie utwory zmarłego, żeby się przekonać, że nie były one w życiu potrzebne. Były może potrzebne dla setek pasibrzuchów, szukających rozrywki, ale nie dla życia, nie dla nas, usiłujących rozwiązać zagadnienia jego. W czasie, kiedy autor potęgą swojej myśli i talentu winien tworzyć nowe życie, Sawiełow opisywał tylko stare, nie próbując nawet odgadnąć tajemnic jego. Jedyne jego opowiadanie, które mi się podoba, w którym zbliża się do sfery nieodgadnionego, to opowiadanie „Tajemnica“. Ale ono stanowi wyjątek.

Najgorsze było to, że Aleksy, widocznie zaczął się wyczerpywać,

i w szczęśliwym życiu tracił ostatnie zęby, którymi należy wpijać się w życie i gryźć je. Nieraz mówił ze mną o swoich zamiarach — umyślnie i szczegółowo wypytywałem się o plan przyszłych jego prac — niech się cieszą gorący jego czciciele — nie było w nich nic nowego ani silnego. Z osób, blisko żyjących z Aleksym, jedyna tylko żona nie widziała upadku jego talentu i nigdy nie zobaczyłaby tego. A wiecie, dlaczego? Przedewszystkiem nie wszystkie utwory swojego męża czytała. A gdy próbowałem choć cokolwiek otworzyć jej oczy, zaczęła mnie wprost uważać za niegodziwca. Upewniwszy się żeśmy sami, powiedziała:

— Nie może mi pan darować czegoś innego.

— Czego?

— Tego, że jest on moim mężem i że go kocham. Gdyby Aleksy nie miał dla pana takiej sympatii...

Zahaczyła się, a ja, uprzedziwszy ją, zakończyłem jej myśl.

— Wypędziłaby mnie pani?

W oczach jej błysnął śmiech. I, niewinnie uśmiechając się, wymówiła powoli:

— Nie, zostawiłabym pana.

A ja przecież nigdy ani słowem, ani giestem nie zdradziłem, że kocham ją jeszcze. W tej samej chwili pomyślałem: Tem lepiej, że się domyśla.

Sam fakt pozbawienia człowieka życia nie zastanawiał mnie. Wiedziałem, że jest to zbrodnia surowo przez prawo karana, ale prawie wszystko, co robimy, jest zbrodnią — i tylko ślepiec nie widzi tego. Dla tych — co w Boga wierzą, jest to przestępstwo przeciw Bogu; dla innych — przestępstwo przeciw ludziom; dla takich jak ja — przestępstwo przeciw sobie samemu. Byłoby, podług mnie, dużym przestępstwem, gdybym uznawszy za konieczne zabić Aleksego, nie wypełnił tego postanowienia. A to, że ludzie dzielą zbrodnie na małe i wielkie i że zabójstwo nazywają wielką zbrodnią — zawsze mi się wydawało utartem i marnem kłamstwem przed samym sobą, chęcią ukrycia się przed odpowiedzialnością poza własne plecy.

Nie obawiałem się samego siebie, i to było najważniejsze. Dla zabójcy, dla przestępcy, najsilniejszym jest nie policya, nie sąd, tylko on sam, jego nerwy, potężny protest całej jego jaźni, wychowanej w zwy-

kłych tradycjach. Wspomnijcie Raskolnikowa, tego, tak nieszczęśliwie i tak głupio straconego człowieka, oraz masę jemu podobnych.

I bardzo długo i bardzo uważnie zastanawiałem się nad tem pytaniem, wyobraziwszy sobie, jakim będę po zabójstwie. Nie powiem, że bym doszedł do zupełnej pewności swojego spokoju — podobna pewność nie może powstać w mózgu myślącego człowieka, przewidującego wszystkie ewentualności. Ale zebrawszy starannie wszystkie dane swojej przeszłości, wzięwszy w rachubę swoją siłę woli, siłę niewyczerpanego systemu nerwowego, głęboką i szczerą wzdargę dla ustanowionej moralności, mogłem mieć pewność co do szczęśliwego rezultatu przedsięwzięcia. Nie będzie zbyt cennym opowiadzenie pewnego interesującego faktu z mojego życia.

Kiedyś, gdy jeszcze byłem studentem piątego kursu, ukradłem 15 rubli z powierzonych mi koleżeńskich pieniędzy. Powiedziałem, że kasjer omylił się w rachunku i wszyscy mi uwierzyli. To było coś więcej od zwykłej kradzieży, gdy potrzebujący okrada bogatego — tutaj i zaufanie zostało obrażone, i było to odebranie pieniędzy właśnie głodnemu i w dodatku koledze, studentowi, i spełnione przez człowieka, mającego środki utrzymania zapewnione (dlatego mi wierono).

Wiem, zapewne, ten postępek wyda się wam bardziej ohydny, niż dokonane przezemnie zabójstwo przyjaciela — czy nie tak?

A ja — pamiętam, byłem wesoły, że potrafiłem urządzić to tak dobrze i gładko, i patrzyłem śmiało w oczy, prosto w oczy tym, których tak śmiało i swobodnie okłamywałem. Oczy mam czarne, ładne, otwarte, i wierono mi. A przede wszystkim byłem dumny z tego, że zupełnie nie odczuwałem zgrzyzot sumienia — a tego właśnie chciałem sobie samemu dowieść. I do dzisiejszego dnia ze szczególnem zadowoleniem wspominam doskonały obiad, który sobie za kradzione pieniądze zafundowałem i z apetytem zjadłem.

A czy teraz mam wyrzuty sumienia? Żal mi postępkę?

Ani trochę.

Ciężko mi. Tak mi jest ciężko, jak żadnemu człowiekowi na świecie, i włosy mi siwieją — ale to jest co innego. *Co innego*. Straszne, nieoczekiwane, trudne do uwierzenia w swojej okropnej prostocie.

ARKUSZ DRUGI.

Zadanie moje było takie. Trzeba, żebym zabił Aleksego, trzeba, żeby Tatjana wiedziała, że to ja mianowicie zabiłem jej męża i żeby jednocześnie prawo nie tknęło mię.

Pomijając, że kara dałaby Tatjanie niepotrzebny powód do śmiechu, w ogóle i bezwarunkowo, nie życzyłem sobie być zesłanym do ciężkich robót.

Ja bardzo kocham życie.

Lubię, kiedy w cienkim kieliszku igra złociste wino, lubię, gdy jestem zmęczony, wyciągnąć się na czystym posłaniu, lubię na wiosnę oddychać czystym powietrzem, lubię obserwować piękny zachód słońca, czytać interesujące i rozumne książki. Kocham siebie i siłę swoich muskułów, siłę swojej myśli jasnej i ścisłej. Nigdy nie rozumiałem i nie doświadczyłem tego, co ludzie nazywają nudą życia. Lubię i to, że jestem samotny i że ani jeden ciekawy wzrok nie przeniknął głębi mojej duszy z jej ciemnymi przepaściami, na brzegu których dostaje się zawrotu głowy. Życie jest interesujące, i kocham je za tę wielką tajemnicę, którą zawiera, kocham je za jego okrucieństwa, za jego dziką mściwość i szatańsko — wesołe igranie ludźmi i wypadkami.

Byłem jedynym człowiekiem, którego szanowałem — jakżeż mogłem zaryzykować i wysłać tego człowieka do ciężkich robót, gdzie pozbawia go możliwości prowadzenia tak niezbędnego mu różnobarwnego, pełnego i głębokiego bytu! Tak więc i z waszego punktu widzenia miałem słuszność, chcąc uniknąć katorgi. Ja lecę z dużym powodzeniem, a nie potrzebując zarabiać na utrzymanie, lecę dużo biedaków. Jestem pożyteczny. Napewno pożyteczniejszy od zabitego przezemnie Sawielowa.

A bezkarność można było zdobyć łatwo. Istnieją tysiące sposobów zabicia człowieka niepostrzeżenie, a mnie, jako lekarzowi, było szczególnie łatwo chwycić się jednego z nich. I wśród wymyślonych przezemnie i odrzuconych projektów przez długi czas zatrzymywałem się nad tym: jakby zaszczerpić Aleksemu jakąś nieuleczalną i wstrętną chorobę. Ale złe strony tego projektu były widoczne: przeciągłe cierpienia samego subiekta, coś brzydkiego w tem wszystkim, ordynarnego i zanadto już wulgarnego; a wreszcie, nawet w chorobie męża Tatjana znalazłaby pewną

dla siebie przyjemność. Szczególniej komplikowało się moje zadanie nieprzepatą chęcią, żeby Tatjana знаła rękę, która powaliła jej męża.

Tylko tchórze boją się przeszkód; takich jak ja — pociągają one. Wypadek, ten wielki sprzymierzeniec rozumnych, przyszedł mi na pomoc. Pozwalam sobie zwrócić szczególniejszą waszą uwagę, panowie eksperci, na tę okoliczność; *wypadek*, zatem coś zewnętrznego, niezależnego odemnie, był podstawą i przyczyną tego, co się stało. W jakiejś gazecie znalazłem wzmiankę o kasyerze, czy też zarządzającym (odcinek tej gazety znajduje się prawdopodobnie u mnie w domu, lub u sędziego śledczego) który symulował epilepsję i, niby w czasie ataku zgubił pieniądze, a w rzeczywistości ukradł je. Kasyer okazał się tchórzem i przyznał się, wskazawszy nawet miejsce, w którym ukrył skradzione pieniądze, ale sama myśl była niegłupia i możliwa do spełnienia.

Symulować obłąkanie, zabić Aleksego niby w napadzie obłędu, a potem *wyzdrowieć*, oto plan powstały u mnie w jednej chwili, ale wymagający dużo czasu i pracy, aby przyjąć zupełnie określoną i konkretną formę. Z psychiatrią, jak każdy lekarz niespecjalista, byłem w owym czasie obznajmiony dość powierzchownie, i prawie rok upłynął na studyowaniu wszelkiego rodzaju źródeł i na rozmyślaniu. W końcu tego czasu upewniłem się, że plan mój nadaje się do urzeczywistnienia.

Na co przedewszystkiem zwracają uwagę eksperci, to na wpływ dziedziczności, a moja dziedziczność, ku wielkiej mojej radości, okazała się zupełnie odpowiednią. Ojciec mój był alkoholikiem, jeden ze stryjów zakończył życie w szpitalu dla obłąkanych, wreszcie, jedyna siostra, Anna, dziś już nieboszczka, cierpiała na epilepsję. Prawda, że ze strony matki wszyscy byli zdrowi, ale, wszak dosyć jednej kropli jadu obłąkania, żeby zatruć całe pokolenie. Silne zdrowie odziedziczyłem po matce, ale, jakieś tam nieszkodliwe dziwactwa miałem jednakże i mogły mi one teraz oddać przysługę. Moja nietowarzystwość, która jest poprostu objawem zdrowego rozsądku, który woli przepędzać czas w samotności i z książkami, zamiast marnować go na niepotrzebną i pustą gadaninę, mogła uchodzić za chorobliwą mizantropję; chłodny temperament, nieszukający wulgarnych, zmysłowych rozkoszy — za wyraz zwyrodnienia. Sam upór w osiągnięciu raz postawionych celów — a przykładów tego możnaby znaleźć niemało w moim urozmaiconem życiu — w języku panów ekspertów otrzymałby straszną nazwę *monomanii*, rozpanoszenia się natrętnych, upartych

idei. Grunt dla symulacji był zatem odpowiednio przygotowany — technika była — potrzebną była tylko dynamika.

Zgodnie z tem wypadkowym podmalowaniem tła przez naturę, dosyć było paru odpowiednich sztrychów, ażeby obraz obłędu był gotów. I zupełnie jasno wyobraziłem sobie, jak to będzie — nie uplanowanymi myślami, ale żywymi obrazami: a chociaż nie piszę marnych opowiadań, nie jestem jednakże pozbawiony artystycznego poczucia i fantazyi. Przekonałem się, że będę mógł dobrze odegrać swoją rolę.

Słonność do udawania leżała zawsze w moim charakterze i była jedną z form, pod któremi dążyłem do wewnętrznej swobody. Jeszcze w gimnazjum często symulowałem przyjaźń. Chodziłem po korytarzu, objawsz się z kolegą, jak to zwykli czynić prawdziwi przyjaciele, sztucznie podtrzymywałem przyjacielsko-szczerą rozmowę i niepostrzeżenie badałem mówiącego. A kiedy roztkliwiony przyjaciel wynurzył się zupełnie, odrzucałem od siebie precz jego duszyczkę i odchodziłem z dumnym przeświadczeniem swojej siły i wewnętrznej swobody. Tak samo na dwóch stołkach siedziałem zawsze i w domu, wśród rodziny; jak w staroświeckich domach mają oddzielne nakrycia dla obcych, tak i ja miałem wszystko inne dla ludzi: inny uśmiech, inne rozmowy, inną szczerłość. Uważałem, że ludzie robią dużo głupstw szkodliwych dla siebie i nieprzydatnych nikomu i zdawało mi się, że, jeśli zacznę mówić prawdę o sobie, to stanę się takim jak wszyscy, i ta głupota owładnie i mną.

Zawsze byłem zwolennikiem okazywania szacunku tym, którymi gardziłem, i całowania ludzi, których nienawidziłem, co pozostawiało mi swobodę i panowanie nad drugimi. Za to kłamstwo przed samym sobą było mi obce — ta najbardziej rozpowszechniona i najniższa forma ujarzmięcia człowieka przez życie. I, im więcej okłamywałem ludzi, tem bezwzględniej szczerym byłem w stosunku do siebie — zaszczyt — jakim niewielu się może pochwalić.

Wogóle, zdaje mi się, że się we mnie ukrywał nietuzinkowy aktor, zdolny połączyć naturalność gry, dochodzącą chwilami do zupełnego zlania się z odtwarzaną postacią — z niesłabnącą, chłodną kontrolą rozumu. Nawet gdy najzwyczajniej czytałem, wchodziłem całkowicie w psychikę odmalowanej postaci i, czy uwierzycie mi? — już jako dorosły, gorzkimi zalewałem się łzami, czytając: „Chatę wuja Tomasza“. Co to za dziwna właściwość giętkiego, wysubtelniejszego jeszcze przez kulturę umysłu — ta zdol-

ność przeobrażania się! Zupełnie jakbyś żył tysiącem istnień: to spadasz w piekielną otchłań, to się wznosisz do górnych świetlanych wyżyn — jednym rzutem obejmujesz nieskończony świat. Jeżeli człowiekowi przeznaczony jest zostać Bogiem, to tronem jego będzie książka.

Tak. Tak jest w istocie. Ale właśnie, chcę się poskarżyć na tutejsze porządki: to zapędzają mnie spać, kiedy ja chcę pisać, *kiedy mam nieprzepartą potrzebę pisania*, to nie zamykają drzwi i zmuszony jestem słuchać, jak wyje jakiś tam obłąkany. Wyje, wyje—to wprost nie do zniesienia! W taki sposób można człowieka istotnie pozbawić rozumu, a potem powiedzieć, że był obłąkany. Czyż nie ma tam jakiej zbytecznej świecy i czyż obowiązany jestem psuć sobie oczy elektrycznością?

Otóż to. Kiedyś myślałem nawet o scenie, ale rzuciłem tę głupią myśl: komedia, kiedy wszyscy wiedzą, że to komedia, traci swoją wartość. Tanie laury przysięgłego aktora na żołdzie rządowym mało mnie pociągały. O potędze mojego talentu sądzić można i stąd, że wielu osłów dotychczas ma mnie za najbardziej szczerego i prawdomównego człowieka. I co najdziwniejsze: zawsze mi się udawało okpiwać nie osłów— wyraziłem się tak w gorącości — lecz właśnie ludzi rozumnych; i naodwrot; istnieją dwie kategorie istot niższego gatunku, w których nigdy mi się nie udało wzbudzić zaufania: to — kobiety i psy.

Wiecie, że przezacna Tatjana nigdy nie dowierzała mojej miłości, nie wierzy jej, sądzę, nawet i teraz, kiedy zabiłem jej męża. Podług jej logiki rzecz się tak ma: nie kochałem jej, zaś zabiłem jej męża dlatego, że ona go kochała. I ten nonsens napewno wydaje się jej logicznym i przekonującym. A przecież kobieta rozumna! Odegrać rolę obłąkanego nie wydało mi się rzeczą trudną. Część niezbędnych wskazówek dały mi książki; część ich powinienem był, jak każdy dobry aktor, zaczerpnąć z własnej intuicji, resztę zaś wytworzyć miała sama publiczność, oddawna wysubtelniająca swoje uczucia przez czytanie książek i teatr, gdzie ją nauczyli z kilku niejasnych konturów odtwarzać żywe postacie.

Bezwarunkowo, musiały pozostać i niezapisane miejsca — i to było szczególnie niebezpieczne, biorąc pod uwagę ścisłą ekspertyzę, której będę poddany, ale i tutaj prawdziwego niebezpieczeństwa nie przewidziałem. Obszerne pole psychologii tak jeszcze mało obrobione, jest w niej tak jeszcze dużo ciemnego i wypadkowego, tak dużo jest jeszcze miejsca dla fantazyi i indywidualności, że śmiało złożyłem swój los w wasze ręce,

panowie eksperci. Mam nadzieję, że nie obraził was. Nie czyham na wasz uczony autorytet i jestem przekonany, że zgodzicie się ze mną, jak ludzie, przywykli do sumiennego, naukowego myślenia. Nareszcie przestał wrzeszczeć. To nie do wytrzymania. I jeszcze wówczas, kiedy mój plan był dopiero w zarodku, zjawiała mi się myśl, która mogła tylko w nie-mądrej głowie powstać. *To myśl o niebezpieczeństwie mojego doświadczenia.* Obląkanie—jest to ogień, z którym igrać niebezpiecznie.

Podpalivszy stos drzewa w piwnicy z prochem, możecie się czuć bezpieczniejszymi, niż wówczas, kiedy najłżejsza myśl obląkania zakradnie się wam do głowy. I ja wiedziałem o tem, wiedziałem,—ale, czy niebezpieczeństwo może osłabić wolę odważnego człowieka? A czyż nie czułem swojej myśli silnej, jasnej, jakby wykutej ze stali i bezwarunkowo mi posłusznej? Zupełnie jakby wyostrzony rapir, wiała się, gryzła, kąsała, rozdzielała tkanki wydarzeń, niby żmija, milczkiem wślizgiwała się w nieznanne i ciemne głębiny, do których nigdy światło dzienne przeniknąć nie może, a rękojęść jego była w mojem ręku, w żelaznem ręku uzdolnionego i doświadczonego fechtmistrza. Jaka ona była posłuszna, spełniająca rozkazy i bystra, moja myśl; i jak ja ją kochałem, moją niewolnicę, moją groźną siłę, mój jedyny skarb!

A ten znowuż wyje i przeszkadza mi pisać. Jakie to straszne, gdy człowiek wyje! Słyszałem dużo strasznych dźwięków, ale ten jest najstraszniejszy, najokropniejszy ze wszystkich. Nie można go z niczem porównać, tego głosu zwierzęcia, wychodzącego z krtani człowieka. Coś dzikiego i tchórzliwego zarazem; swobodne i litości godne aż do podłości. Usta wykrzywają się, mięśnie twarzy wyciągają się jak postronki, zęby wyszczerzają się i z ciemnej otchłani ust wychodzi ten ohydny, ryczący, świszczący, chichoczący, wyjący dźwięk.

Tak, tak. Taką była moja myśl. A propos: zwróćcie zapewne uwagę na mój charakter pisma, proszę więc nie przywiązywać do tego znaczenia, że zdradza czasami drżenie i zmienia się. Dawno już nie pisałem, zdarzenia ostatnich czasów i bezsenność osłabiły mnie i oto ręka drży niekiedy.

Dawniej zdarzało mi się to samo.

ARKUSZ TRZECI.

Teraz zrozumiecie ten straszny atak, którego dostałem na wieczorku u Karganowych. Był to mój pierwszy debiut udany nadspodziewanie. Tak, jakby wszyscy byli uprzedzeni, że mnie to spotka, jakby nagły obłęd zupełnie zdrowego człowieka był dla nich czemś naturalnem, czemś, czego można się zawsze spodziewać. Nikt się nie ździwił i wszyscy na gwałt ubarwiali moją grę grą własnej fantazyi. Niejeden reżyser nie mógłby się pochłubić taką doskonałą trupą, jaką stanowili ci naiwni, głupi, dowierający ludzie. Opowiadali oni wam, jaki byłem błady i straszny? Jaki chłodny—tak, właśnie chłodny pot pokrywał moje czoło? Jakim bezprzytomnym ogniem żarzyły się moje czarne oczy? Kiedy mi podawali wszystkie te szczegóły, byłem na pozór chmurny i przygnębiony, a cała moja dusza drżała z dumy, szczęścia i drwin.

Tatjana i męża jej nie było na tym wieczorze. Nie wiem, czyście zwrócili na to uwagę. To nie było wypadkowe. Bałem się ją przestraszyć, albo jeszcze gorzej: wzbudzić w niej podejrzenie. Jeżeli istniał człowiek, któryby mógł przeniknąć moją grę—to tylko ona. I w ogóle, nie tu nie było wypadkowem. Naodwrot, każdy szczegół, nawet najnieznaczniejszy, był dobrze obmyślony. Chwilę ataku przy kolacyi—wybrałem dla tego, że wszyscy będą razem zebrani i podnieceni winem. Usiadłem przy końcu stołu, dalej od kandelabrow z świecami, gdyż nie chciałem wywołać pożaru, ani poparzyć sobie nosa. Przy sobie posadziłem Pawła Pospielowa, tę świnię żarłoczną, której oddawna miałem ochotę wyrządzić jakąś nieprzyjemność. Szczególniej jest on wstrętny, kiedy je. Kiedyś go pierwszy raz zobaczył przy tem zajęciu, przyszło mi do głowy, że jedzenie jest rzeczą niemoralną. Wszystko się układało jak najlepiej.

I na pewno, nikt nie zauważył, że talerz, który się rozprysnął pod moją pięścią, był przykryty serwetką, żeby uchronić rękę od pokaleczenia.

Sam figiel był uderzająco ordynarny, nawet głupi, ale na to właśnie liczyłem. Bardziej subtelnej sztuczki nie zrozumieliby.

Z początku wymachiwałem rękami i „nerwowo“ rozmawiałem z Pawłem, dopóki ten zdziwiony nie zaczął wytrzeszczać na mnie swoich ślepek; potem wpadłem w „skupione zamyślenie,“ doczekawszy się pytania ze strony pani domu:

— Co się panu stało? panie Antoni? dlaczegoś taki chmurny?

A kiedy wszystkie spojrzenia zwróciły się ku mnie, tragicznie się uśmiechnąłem.

— Czy pan niezdrów?

— Tak, trochę. Lekki zawrót głowy. Niech się pani tem łaskawie nie niepokoï. To zaraz przejdzie.

Uprzejma gospodyni uspokoiła się, a Paweł podejrzliwie, z nieufnością zerknął ku mnie. I w następnej chwili, kiedy on z błogim wyrazem podnosił do ust kieliszek z winem, ja—raz! wytrąciłem mu kieliszek z przed samego nosa, dwa! trzasnąłem pięścią w talerz. Kawałki lecą—Paweł mocuje się i chrząka, kobiety kwiczą, a ja, zacisnąwszy zęby, ściagam ze stołu obrus ze wszystkim, co się na nim znajduje—był to istny obraz spuszczenia.

Tak. Natychmiast obścapił mnie, złapali: jeden wodę podaje, drugi sadza mnie na krześle, a ja ryczę jak tygrys w menażeryi i oczami przewracam. I wszystko to się odbyło tak nieparlamentarnie, a oni wszyscy tacy głupi, że skorzystałbym chętnie z przywilejów swojego położenia i wytlukł kilka z tych obskurnych mord. Ale, naturalnie, powstrzymałem się. Nastąpił potem obraz stopniowego uspakajania się, z ciężkiem wznoszeniem się piersi, przymykaniem oczów, zgrzytaniem od czasu do czasu zębami i pytaniami:

— Gdzie jestem? Co się ze mną dzieje?

Nawet to głupio-francuzkie: „gdzie jestem“ znalazło uznanie u tych panów, i nie mniej jak trzech głupców natychmiastowo zaraportowało: „U Karganowych“ (słodkim głosem). Czy wiesz, kochany doktorze, kto jest Irena Karganowa?

Bezwątpienia byli oni zanadto płascy dla gry subtelnej.

Jeden dzień wystarczył, żeby wieści o mnie doszły do Sawielowych. Aleksy nie rozumował nad zaszłym faktem, tylko zadowolnił się pytaniem:

— Coś ty, bracie, wyprawiał u Karganowych?

Wykręcił się na pięcie i poszedł do gabinetu pracować. Gdybym naprawdę zwaryował—on nie przeraziłby się tem. Za to szczególnie hałaśliwe, wymowne i, naturalnie, nieszczerze było współczucie jego żony I w tem... Nie to, żebym rozpoczętej komedyi pożałował, lecz zwyczajnie błysnęło mi pytanie:

Czy warto?

— Pani bardzo kocha swojego męża—powiedziałem do Tatjana, odprowadzającej wzrokiem męża. Ona się raptownie odwróciła.

— Tak. Albowiem co?

— Tak, nic, tak—i po chwilowem milczeniu pełnego skrytych myśli, dodałem. Dlaczego mi pani niedowierza? Nic nie odpowiedziałwszy, spojrzła mi tylko prosto w oczy. I w tej chwili zapomniałem, że mnie wtedy wyśmiała i nie czułem już ku niej gniewu, a to, co robiłem, wydało mi się dziwnem i niepotrzebnem. Było to zmęczenie, naturalne po tak silnem naprężeniu nerwów i trwało wszystkiego chwile.

— A czy panu można wierzyć? zapytała Tatjana po długim milczeniu.

— Naturalnie—nie można—żartobliwie odpowiedziałem—a wewnątrz mnie znowu rozgorzał przytłumiony ogień. Siłę, odwagę, przed niczem nie cofające się postanowienie poczułem w sobie. Dumny już z osiągniętego rezultatu, postanowiłem iść do końca. Walka—oto radość życia.

Drugi atak nastąpił w miesiąc po pierwszym. Tym razem, nie było wszystko tak obmyślane, jak za pierwszym razem, ale to zbyteczne, gdy ogólny plan jest nakreślony. Nie miałem zamiaru udać ataku koniecznie tego wieczoru, skoro jednak okoliczności złożyły się tak przyjaźnie, głupstwem było by nie skorzystać z nich. Pamiętam dokładnie jak to było. Siedzieliśmy w bawialni i gawędziliśmy, gdy, nagle, zrobiło mi się bardzo smutno. Żywo sobie wyobraziłem—w ogóle rzadko mi się to zdarza—jak jestem obcy dla wszystkich tych ludzi i jaki samotny na świecie—ja, na wieki zamknięty w tej głowie, w tem więzieniu. I wszyscy oni stali mi się wstrętni. I z wściekłością trzasnąłem pięścią i wykrzyknąłem coś ordynarnego i z radością ujrzałem przestraszone na ich pobladłych twarzach.

— Niegodziwcy—krzychałem—wstrętne, zadowolone łotry! Kłamcy! zjadliwi obłudnicy! Nienawidzę was!

Prawda, że szamotałem się z nimi, potem z lokajami i woźnicami. Ale ja wiedziałem, że się szamocę i wiedziałem, że robię to rozmyślnie. Najzwyczajniej było mi przyjemnie bić ich, ciskać im w oczy prawdę—jacy oni! Czy każdy, kto prawdę mówi, jest obłąkanym? Zapewniam was, panowie eksperci, że miałem świadomość wszystkiego; bijąc, czułem pod ręką żywe ciało, któremu ból zadawałem. A w domu, gdy zostałem sam, śmiałem się i myślałem: Jaki ze mnie zadziwiająco mistrzowski aktor!

Następnie położyłem się spać, przed snem czytałem książkę, mogę nawet wskazać jaką: Guy de Maupassant'a; jak zawsze, rozkoszowałem się nią i zasnąłem jak dziecko. Czy obłąkani czytają książki, rozkoszują się nimi i śpią jak dzieci?

Obłąkani nie śpią. Oni cierpią i w głowie im się mąci. Tak, mąci się i znika w pamięci. Mają oni ochotę wrzeszczeć, rozdrapywać się... Im się zachciewa stać ot tak, na czworakach, i podsuwać się cicho, cicho, a potem raptem podskoczyć i krzyknąć: Aha! I rozśmiać się i wyć... Tak podnieść głowę i długo, długo, przeciągle, przeciągle, żałośnie, żałośnie. —

Tak, tak. *A ja spałem, jak dziecko.* Czy obłąkani mogą spać jak dzieci?

ARKUSZ CZWARTY.

Wczoraj wieczorem posługaczka Marya zapytała mnie:

— Panie Antoni, czy pan się nigdy nie modli?

Ona była poważna i wierzyła, że odpowiem jej szczerze i poważnie. I odpowiedziałem jej bez uśmiechu, jak tego sobie życzyła.

— Nie, Maryo, nigdy. Jeżeli ci to jednak sprawi przyjemność, to możesz mnie przeżegnać.

I zupełnie na seryo przeżegnała mnie trzy razy i byłem bardzo rad, że mogłem dostarczyć chwili zadowolenia tej zachwycającej kobiecie. Jak wszyscy wysoko postawieni i będący na swobodzie — nie zwracacie uwagi na służbę, ale my aresztanci i obłąkani, którzy obserwujemy ją zblizka, możemy dokonywać szczególnych odkryć. Wam, napewno, nie wpadłoby do głowy, że posługaczka Marya, przeznaczona przez was do pielęgnowania obłąkanych, sama jest obłąkana. A tak jest w istocie. Przyjrzyjcie się jej chodowi cichemu, niepewnemu, trochę trwożliwemu i dziwnie ostrożnemu i zręcznemu, tak, jakby chodziła wśród obnażonych, niewidzialnych mieczów. Wpatrzcie się w jej twarz, ale zróbcie to tak, żeby tego nie spostrzegła, żeby nie wiedziała o waszej obecności. Kiedy ktoś z was nadchodzi, twarz Maryi staje się poważną, skupioną a jednocześnie pobłażliwie uśmiechniętą — przybiera zupełnie ten sam wyraz, jaki w danej chwili gości na waszem obliczu. Rzecz cała w tem, że Marya posiada szczególną zdolność mimowolnego przyjmowania wyrazu cudzych twarzy. Nie-

kiedy przygląda mi się i uśmiecha się. Taki to blady, odbity, jakby cudzy uśmiech. I domyślam się, że musiałem się uśmiechać, gdy na mnie spojrzała. Niekiedy twarz Maryi staje się posepną, cierpiącą, brwi schodzą się, kąty ust opuszczają się; cała twarz starzeje się o jakie dziesięć lat i chmurnieje—prawdopodobnie taką czasami bywa moja twarz. Zdarza się także, że ja ją przerażam swoim wzrokiem. Wiadomo wam przecież, jak dziwnym bywa i trochę straszonym wzrok każdego głęboko zamyślnego człowieka. I oczy Maryi rozszerzają się wtedy, źrenice ciemnieją i, zlekka podniósłszy ręce, bez hałasu zbliża się ku mnie i cośkolwiek koło mnie robi, coś przyjacielskiego i nieoczekiwanego: głaszcze mi włosy, albo poprawia mi szlafrok.

— Pasek się odwiązuje! — mówi, a twarz jej wciąż jeszcze przestraszona.

Zdarza mi się także widzieć ją samą. A gdy jest sama, na twarzy jej dziwnie odzwierciedla się każda myśl. Twarz ta jest blada, piękna i zagadkowa, jak twarz umarłego. Zawołam na nią: Maryo! to się odwróci żywo, uśmiechnie się swoim delikatnym, trwożliwym uśmiechem i zapyta:

— Czy panu co podać?

Ona zawsze coś podaje, zabiera, a jeśli nie ma czego do podania, zabrania lub obsłużenia, widocznie niepokoi się. I zawsze taka cicha. Nigdy nie zauważyłem, żeby coś zrzuciła, albo żeby coś potrafiła. Próbowałem mówić z nią o życiu: dziwnie obojętnie odnosi się do wszystkiego, nawet do zabójstwa, pożarów i tym podobnych okropności, które tak oddziałują na mało rozwiniętych ludzi.

— Rozumiesz: zabijają ich, ranią, a po nich zostają maleńkie, głodne dzieci,—opowiadałem jej o wojnie.

— Tak, rozumiem—odpowiedziała i zamyślona zapytała się:

— Może panu mleka podać? mało pan dziś jadł.

Gdy się śmieję, odpowiada mi trochę trwożliwym śmiechem.

Nigdy jeszcze nie była w teatrze, nie wie, co to jest, Rosya — państwo, oraz czem są inne państwa; nie umie czytać, a Ewangelię zna tylko tyle, że urywki jej słyszała w cerkwi. Co wieczór jednakże klęczy i długo się modli. Przez długi czas uważałem ją za ograniczone i tępe stworzenie, zrodzone do niewolnictwa, lecz jedno zdarzenie nakazało mi zmienić pogląd. Wam zapewne wiadomo, wam zapewne mówili, że przeżyłem tu przykrą chwilę, która, naturalnie, niczego innego nie dowodzi, jak

zmczenia i chwilowego upadku sił. *To była historia z ręcznikiem.* Zapewne, jestem silniejszy od Maryi i mogłem ją zabić, gdyż byliśmy sami i byłbym to może zrobił, gdyby ona krzyknęła, lub złapała mnie za rękę, ale nic podobnego nie zrobiła. Powiedziała tylko:

— Nie trzeba, duszko.

Często potem myślałem o tem „nie trzeba“ i dotychczas nie mogę zrozumieć tej zadziwiającej siły, jaka jest w tych dwóch słowach zawarta. Nie tkwi ona w samym słowie pustem i bezmyślnem, tkwi gdzieś, w nieznaney mi i niedostępnej głębi duszy Maryi. Ona coś wie. Wie, ale nie może lub nie chce mi powiedzieć. Potem, dużo razy prosiłem ją o wyjaśnienie tego: „nie trzeba,“ nie umiała jednakże wyjaśnić mi tego.

— Czy myślisz, że samobójstwo jest grzechem? że Bóg tego zakazał?

— Nie.

— Dlaczego więc „nie można?“

— Tak. Nie można — i uśmiecha się i pyta. Nie przynieść panu czego?

Przypuszczalnie jest to obłąkana, tylko cicha i pożyteczna, jak wielu waryatów. Nie tykajcie jej.

Pozwolę sobie przerwać opowiadanie, ponieważ wczorajszy postępek Maryi przerzucił mnie do wspomnień z lat dziecińczych. Matki nie pamiętam, pamiętam tylko ciotkę Annę, która mnie zawsze przed snem żegnała. Była to milcząca, stara panna, z pryszczami na twarzy. Bardzo ją zawstydzano, gdy ojciec żartował z nią na temat starających się o jej rękę. Byłem jeszcze mały, miałem może lat jedenaście, gdy zagorzała ona w małej szopce, gdzie składano węgle. Ojcu — wypadek ten ciągle się potem majaczył i ten wesoły ateista zamawiał modlitwy i msze żałobne.

Ojciec mój był bardzo rozumny i utalentowany, a jego mowy w sądzie doprowadzały do łez nietylko nerwowe damy, lecz i poważnych, dobrze myślących mężczyzn. Tylko ja jeden nie płakałem słuchając go, bo znałem go i wiedziałem, że sam nie rozumie tego, co mówi. Miał on dużo wiadomości, dużo myśli, a jeszcze więcej słów, i słowa i myśli i wiadomości tworzyły często kombinację, bardzo udatną i piękną, tylko że on sam nic a nic z tego nie rozumiał. *Często wątpilem niemal, czy on istnieje,* do tego stopnia był cały na zewnątrz, cały był w dźwiękach, giestach i często zdawało mi się, że to wcale nie człowiek, tylko migocą-

cy w kinematografie obraz, połączony z gramofonem. Nie rozumiał, że jest człowiekiem, że teraz żyje a kiedyś umrze, i niczego nie poszukiwał. A gdy się kładł do łóżka i przestawał się poruszać i zasypiał, to napewno nie miewał żadnych snów. Jak się sam określał — był adwokatem, zarabiającym 30 tysięcy rubli rocznie i ani razu nie zdziwił się temu, ani nie zastanowiła go ta okoliczność. Pamiętam, jak-eśmy pojechali do świeżo kupionego majątku, a ja, wskazując drzewa w parku, powiedziałem:

— Klienci?

On się uśmiechnął, mile polectany i odparł:

— Tak, bracie, talent—to siła.

Miał zwyczaj dużo pić, a upicie objawiało się u niego tem tylko, że umysł mu się zaostrzał, a potem odrazu jakby go w ruchu zatrzymano — i wtedy zasypiał. Był powszechnie uważany za niezwykle utalentowanego, a sam wiecznie utrzymywał, że, gdyby nie został znakomitym adwokatem, byłby znakomitym artystą albo pisarzem. Niestety, była to prawda.

Najsłabiej rozumiał on mnie. Pewnego razu tak się ułożyły okoliczności, że groziła nam utrata całego majątku. Dla mnie było to straszne. W naszych czasach, kiedy jedynie majątek daje swobodę, pojąć nie mogę, czemu bym się stał, gdyby los postawił mnie w rzędzie proletariatu. Teraz nawet nie mogę bez gniewu myśleć, że ktokolwiek ośmiela się kierować mną — nakazuje robić mi to, czego robić nie chcę, za pieniądze kupuje moją krew, moją pracę, moje nerwy, moje życie. Ale bojaźń ta trwała tylko chwilę, gdyż, w następnej już chwili zrozumiałem, że tacy, jak ja, nigdy nie bywają biedni. A ojciec tego nie rozumiał. On mnie naprawdę miał za chłopca tępego i ze strachem spoglądał na moją mniemaną niezaradność.

— Ach, Antek, Antek, co z ciebie będzie? — mówił.

Sam kompletnie skapcaniał. Długie, rozczochrane włosy spadały mu na czoło, twarz pożółkła. Odpowiedziałem:

— O mnie, ojczy, bądź spokojny. Ponieważ nie jestem utalentowanym, więc zabiję Rotszylda, albo rozbiję bank.

Ojciec rozgniewał się, ponieważ przyjął odpowiedź moją za płytki niestosowny żart. Widział twarz moją, słyszał mój głos i pomimo to słowa moje przyjął za żart. Litości godny, papierowy pajac, przez pomyłkę nazwany człowiekiem. Nie znał mojej duszy, zewnętrzny ład mojego

życia męczył go,—a jednak nie starał się zrozumieć mnie. W gimnazjum uczyłem się dobrze i to go smuciło. Kiedy przychodzili goście—adwokaci, literaci i artyści—wskazywał na mnie palcem i mówił:

— Syn mój jest pierwszym uczniem. Za co mnie Bóg tak karze?

Wszyscy się ze mnie śmieli, a ja się śmiałem ze wszystkich. A więcej jeszcze od mojej pilności rozgoryczało go moje sprawowanie i ubiór. Rozmyślnie przychodził do mojego pokoju, żeby niepostrzeżenie przełożyć mi książki na biurku i wprowadzić jakibądź nieporządek.

Moja wymuskana fryzura pozbawiała go apetytu.

— Inspektor nakazuje krótko się strzydz—mówiłem poważnie i pełen godności.

Ojciec grubjańsko lżył, a we mnie wszystko trzęsło się od wzgardliwego śmiechu.

Największą męką dla ojca były moje kajety. Pewnego razu, pijany, ogłądał je z beznadziejną i komiczną rozpaczą.

— Czy ci się zdarzyło choć raz kleks zrobić?—pytał.

— Tak, zdarzyło się, ojcze. Onegdaj kapnąłem na trygonometrię.

— Wylizaleś?

— Jak to, czy wylizalem?

— No tak, czy wylizaleś kleks?

— Nie, przyłożyłem bibułę.

Ojciec pijanym ruchem machnął ręką i mruczał, podnosząc się:

— Nie, ty nie jesteś moim synem. Nie! nie!

Między nienawistnymi mu kajetami, był jeden, który byłby go zadowolnić. I w nim nie było ani jednej kreski, ani kleksu. Natomiast napisane tam było mniej więcej to:

„Mój ojciec—to pijak, złodziej i tchórz.“ Dalej następowały pewne szczegóły, których, przez szacunek dla pamięci ojca, oraz przez szacunek dla prawa, nie uważam za stosowne podawać. W tej chwili przychodzi mi na myśl pewien fakt, który, jak się teraz przekonywam, będzie dla was, panowie eksperci, interesującym. Jestem bardzo zadowolony, że przypomniałem go sobie. Bardzo, bardzo jestem rad. Jak mogłem o takim fakcie zapomnieć?

U nas, w domu, była pokojówka Kasia, która była kochanką mego ojca i jednocześnie moją. Ojca kochała ona za to, że jej dawał pieniądze, a mnie za to, że byłem młody, że miałem ładne, czarne oczy i że

jej nie dawałem pieniędzy. Tej samej nocy, kiedy trup mojego ojca leżał w salonie, udałem się do pokoju Kasi. Pokój jej znajdował się w bliskości salonu i wyraźnie w nim było słycać modlitwę, którą mrucał dziad kościelny przy zwłokach mojego ojca.

Myślę, że nieśmiertelny duch mojego ojca otrzymał najkompletniejsze zadowolenie. Nie, jest to rzeczywiście interesujące zdarzenie i nie pojmuję, jak mogłem zapomnieć o niem. Zdawać się wam może, panowie eksperci, że był to wybryk chłopięcy, ale to nieprawda. Była to okrutna walka—a zwycięstwo nie łatwo zdobyłem. Postawiłem na kartę całe moje życie. Gdybym się okazał tchórzem i cofnął się, albo okazał się niezdolnym do objawów miłosnych—byłbym się zabił. *To było postanowione—pamiętam.*

A to, co zrobiłem, było dla chłopca w moim wieku nie łatwym. Teraz wiem, że walczyłem z wiatrakami, wtedy jednak przedstawiało mi się to w innym świetle. Obecnie jest mi już trudno uprzytomnić sobie w pamięci wszystkie szczegóły, pamiętam tylko, że uczucie miałem takie, jakbym za jednym zamachem wzburzył wszystkie prawa ludzkie i boskie.

I bałem się czegoś, aż do śmieszności, pomimo to zwalczyłem strach i gdy wszedłem do Kasi, byłem gotów do pocałunków, jak Romeo. Tak, wtedy jak się okazuje, byłem jeszcze romantykiem. Szczęśliwy czas, jak dalekim on jest! Pamiętam, pp. eksperci, że wróciwszy od Kasi, zatrzymałem się przed trupem, założywszy ręce na piersiach jak Napoleon i z komiczną powagą patrzyłem się na niego. I w tej samej chwili wzdrygnąłem się, przestraszywszy się szelestu całunu. Szczęśliwy, odległy czas! Boję się myśleć, ale zdaje mi się, że nigdy nie przestałem być romantykiem. I ledwie, ledwie że nie zostałem idealistą. Wierzyłem w myśl człowieka i w jej nieograniczoną potęgę. Cała historia ludzkości przedstawiała mi się niby jeden tryumfalny pochód myśli, a było to jeszcze tak niedawno! I strach mi pomyśleć, że całe moje życie było ułudą, że przez całe życie byłem głupcem, jak ten obłąkany aktor, którego widziałem w sąsiedniej celi. Nazbierał zewsząd czerwonych i niebieskich papierków i każdy z nich nazywał milionem. Błagał o nie odwiedzających, kradł je, wyciągał z klozetu, a gdy stróże ordynarnie z niego żartowali, to on znowuż nimi szczerze i głęboko gardził. Ja — spodobałem mu się, więc na pożegnanie zaofiarował mi milion.

— Jest to niewielki milionik — powiedział, niech mi pan wybaczysz: mam obecnie takie wydatki! takie wydatki!

I biorąc mnie na stronę, szeptem tłumaczył: teraz właśnie dobijam targu o Włochy. Chcę wygnać papieża i wprowadzić tam nowe pieniądze, oto te. A następnie, pierwszej lepszej niedzieli ogłoszę się świętym. Włosi będą zadowoleni, oni się zawsze cieszą, gdy się im zjawia nowy święty.

Czy nie takim milionem ja żyłem?

Dziwnie mi pomyśleć, że moje książki, jedyni towarzysze i przyjaciele, leżą sobie w szafach, i milcząc ukrywają to, co nazywałem mądrością świata, jego nadzieją i szczęściem.

Wiem, panowie eksperci, że, czy jestem obłąkanym, czy nie, to z waszego punktu widzenia, jestem niegodziwcem, — przyjrzelibyście się temu niegodziwcowi, gdy on wchodzi do swojej biblioteki. Idźcie panowie, obejrzyjcie moje mieszkanie, będzie to dla was interesujące.

W lewej, wierzchniej szufladce biurka znajdziecie szczegółowy wykaz książek, obrazów i różnych fraszek; tam także znajdziecie klucze od szaf. Sami jesteście ludźmi nauki i wierzę, że z należnym szacunkiem i systematycznością obejdziecie się z moimi rzeczami.

Proszę także o zwrócenie uwagi, żeby lampy nie kopcily. Niema nic przykrzejszego nad kopeć. Osiada wszędzie i uprzątnięcie go wymaga dużo pracy.

NA SKRAWKU.

Przed chwilą, felczer Petrow odmówił mi udzielenia chloralu w tej dawce, jakiej żądam. Przedewszystkiem jestem lekarzem i wiem co robię, a gdy mi będą odmawiali, to zdepczę nakazy. Dwie noce nie spałem i wcale sobie nie życzę tracić rozumu. Żądam, żeby mi dano chloralu. Ja tego żądam.

To jest *nieuczciwie* doprowadzać kogoś do nieprzytomności.

(d. n.)

Leonidas Andreiew.

Tłumaczyła z rosyjskiego R. F.



Trismegista.

Widziałem Cię, ach — piękną tchnieniem zgonu,
w magnetycznym świetle mórz polarnych —
lica białe — wykute ze szronu,
i mrok pustyni nieruchomo — czarnych.

I leżałaś w trumnie zblękitniona —
(tak lśni monstrancya w nawie) —
drzew prawiecznych szumiały ramiona,
w czarnem łożu konał księżyc mgławic.

A tam morze kłębiących się białych obłoków!...
(jam nad piekłem:)
kościół z kratami więzienia,
na łańcuchu księga mych wyroków
i łzy moje — jak tarcze z płomienia.

I ozwarłem bramę tych cmentarzy —
(gwiazdy rzeką płynęły podziemną) —
krew rozlałem na stopniach ołtarzy:
słońce — Boga co litość miał nademną.

I płynęła na łodzi Tortura
bladych gromnic odbitych w głębinie —

*jak Cherubim migotały pióra,
jak wąż pełzam w zimnej rozpadlinie.*

*I wykulem serce z lodów bryły —
i na skrzydłach rozognilem runy —
i wydarłem wnętrza, które zgniły —
z gwiazd gasnących uczynilem struny.*

*W pancerz czarny i w złote bisiory —
w sali mroków, gdzie żarzą kolumny:
zmarłych sądzę — i męczę upiory —
i świat żywy przykuwam do trumny.*

*W lodozwałach umarłego miasta
grają mi fletnie i żele
niewidomych muzyków.*

*Pałac królów nad ciemność wyrasta —
lśni, jak rubin, posąg Dwojga nas wiecznych w kościele.*

*Tam pod ziemią łkają dzwony,
szumią kaskady law, migocą klejnoty.
Wokół skały groźne i nieme pustynie.
A nad morzem księżyc skamieniony.
Z gór olbrzymich płynie
krew, jak rzeka — i napelnia groty.*

*Idę wiecznie. Idę do Umarłej.
Nad otchłanią
czeka mię, płacząc. — Morza gasną. — W proch starły
się gwiazdy. — Ja przedwieczny Mag:
umarłem za Nią.*

Tadeusz Miciński.



Na krańcu świata.

*Nagle przedemną wyrósł lasu szaniec
Czarny i groźny... tu snadź ziemi kraniec,
Świat tu zamknięty na żelazne wrota,
Klucz od nich wzięła z sobą jutrznia złota
I sfer niebieskich wiodąc wieczny taniec,
Kluczem jak berłem wokół siebie miota.*

*Tam za wrotami wskroś ciemnych konarów
Srebrem tajemny szlak się wiję w parów.
Wiem, o wiem, dokąd trop ten drogę wskaże...
Tam niewidzianych zjawień wirydarze,
Ogrójec pełen niewymownych czarów,
Tęczowych widzeń kraina w tym jarze.*

*Wielka tam mieszka i przemożna Pani.
Podwładne duchy zbudowały dla niej
Pałac promienny z kryształów bez skazy,
I coraz nowych zachwyceń obrazy
I nowe cuda przynoszą jej w dani,
Przy których górne tracą moc wyrazy,*

*Kwiaty—kadzideł ociekają wonią,
 Drzewa—melodye niewymowne dzwonią,
 Baśń księżycowych wód szepcą kryształą,
 Hymnem śpiżowym wtórują im skały,
 A mgły srebrzyste łączy rozkoszy ronią,
 Słyszac gędziebne ogrodu hejnały.*

*Dzień tu od nocy przepaścią nie dzielon,
 Mroku nieznany jest ponury welon,
 A gdy pałacu przestąpiwszy progi,
 Pani po szczęblach mlecznej znijdzie drogi,
 Słońce ma w głowach, zaś u stóp rozścielon
 Kornie się toczy księżyc srebrnorogi.*

*Gwiazd skrzących roje złotemi ogniwy
 Trzymają nad nią namiot połyskliwy
 Białych obłoków, a wysmukłe tęczę
 W siedmiobarwiste ujmują obręcze
 Złotopromienny jej włos rozpierzchliwy
 I lekkie szaty spinają pajęczę.*

*Oto wśród blasków nadziemskich powodzi
 Z ostatnich szczęblów mlecznej drogi schodzi,
 Niebios ostatnie przewionęła kręgi,
 W ogrójca cudne już wstępuje łęgi...
 Jak fale prute ostrym dziobem łodzi,
 Kwietnych zagonów rozchodzą się wstęgi.*

*Kwiaty i drzewa hołd składają Pani,
 Wezbrały barwy, wonie, dźwięki dla niej,
 Ogród w miłosnej goreje ekstazie,
 W każdym harmonii natchnionej wyrazie
 Dusze płomienne królowej śle w dani...
 Ach, bo tu dusza mieszka nawet w głazie!*

*Królowa duchów, wszechpotężna Pani,
Odnova codzien pierś swą bólem rani,
Wszechbytu swego moc na drzazgi kruszy
I w rzecz wszelaką kładzie część swej duszy.
I coraz dźwięczniej i coraz świetlaniej
Duch się rozrasta i moc gliny głuszy...*

*Pielgrzym namiętny, oto już na kraniec
Świata przyszedłem, przedostatni szaniec...
O Pani, duchów przemożna królowo,
Racz wejrzeć na mnie!... rzuć wszechmocy słowo
Pomiędzy gwiazd swych wiecznotrwały taniec,
Zawrotną wstrzymaj wędrówkę sferową.*

*Spraw, niech oddźwierna twoja, jutrznia złota,
Kluczem swym groźne te rozewrze wrota,
Niech wnijdę... duch mój niech na twoim łanie
Z rąk twych mistyczne przyjmie pomazanie...
I niech się moja ukoi tęsknota...
O rzeknij słowo!... I niech cud się stanie!*

Stefan Orilk.



Okolo śmierci.

II.

Kończyła się zima, wykłady i zajęcia w uniwersytecie były w pełnym biegu. Jak zwykle, w semestrze zimowym do późna w gmachu uniwersyteckim świeciły się okna, ruch w kurytarzach ustawał dopiero o dziewiątej a w pracowniach siadywano do północy.

Byłem pochłonięty pracą i nie widziałem nic w okolo siebie. Nauka działała na mnie jak narkotyk, byłem nią zajęty, właściwie tematem, który siedział mi w głowie, pochłaniając wszystko, co w niej było do rozporządzenia. Dni przechodziły mi szybko, siadywałem po nocach, niekiedy rozgorączkowany, przykuty do papieru lub książki, od których odciągał mię dopiero późny szary świt zimowy i zupełne znużenie.

Odpisywałem na listy rzadko, chociaż Małgorzata przysyłała mi co tydzień ćwiartki papieru listowego, zapisane od góry do dołu jej wyrażeniem, równem ale drobnem pismem. Odczytywałem je skrupulatnie: stawały mi przed oczy dom nasz, rodzinę, którą czułem wtedy tak blisko, jak gdyby znajdowały się tuż obok, na następnej ulicy. Za każdym razem krótko dopisywał się ojciec, czasem Julja i szwagier dodawali słów kilka.

Listy te nie przerywały mi zajęć, nie odciągały od nich myśli — były odpoczynkiem i przyjemnością.

W ostatnich jednak tygodniach coś mię z owego zamknięcia, z wysokich sfer zagadnień naukowych, ściągnęło przykro między troski życia.

Z domu już drugi list przynosił mi wiadomość, że Małgorzata jest trochę słaba.

Mówiła o tem sama, następnie donosił o tem osobny list ojca.

Z początku myśli, że w domu mogło się stać coś poważniejszego, nie przychodziła mi wcale do głowy. Odpisywałem krótko, życząc Małgorzacie prędkiego wyzdrowienia.

Zapadała ona łatwo na chrypki i kaszle, które zawsze przechodziły łagodnie. W domu byliśmy do nich przyzwyczajeni.

Dopiero ostatni list jej uderzył mnie, zastanowił i naprowadził na przypuszczenie, że Małgorzata musi być poważniej chora i to od dłuższego już czasu.

Mianowicie, kiedy wyjmowałem jej list z koperty, zaleciał mię lekki ale wyraźny odór karbołu.

Naturalnie, że nie mogło to niczego dowodzić. List mógł gdzieś leżeć na poczcie, przechodził przecie nie przez jedne ręce, mógł wypadkiem nabyć podejrzanego odoru.

Niestety cały szereg innych szczegółów, niepostrzeżonych dawniej, które teraz zjawiały się jeden po drugim szybko, potwierdziły fatalne przypuszczenie. Ostatni list jej był krótszy znacznie niż poprzednie, pismo wyraźnie było zmienione, mniej pewne, litery większe. Wyciągnąłem poprzednie listy, porównywałem je bacznie i przekonałem się, że już w poprzednim były drobne zmiany, których wtedy nie dostrzegałem. Opanował mię niepokój dziwny; coś się zerwało we mnie, rozpoczęło szamotać się i domagać jak najprędszego zadość uczynienia. Tej samej nocy napisałem list do szwagra z prośbą o natychmiastowe zawiadomienie mię szczegółowe o tem, co się stało w domu. List zaraz po napisaniu w nocy odniosłem na kolej. Następnie jeszcze niezadowolony wysłałem telegram tej samej co list treści.

Pomimo tego całą noc spędziłem na mieście, chodząc po ulicach, przysiadając na ławkach, wstępując do kawiarni. Chwilami zmęczony, zapomniałem się. Wtedy w myślach zjawiał mi się dom, Małgorzata jakoś dziwnie zmieniona, tak, że siłą przerywałam mimowolne marzenia, które wybijały mię z równowagi. Byłem wtedy zmęczony kilkomiesięczną wyczerpaną pracą umysłową; mózg był rozdrażniony i nie łatwo było nim kierować. Podstaw do przypuszczeń właściwie nie było. A jeżeli były to tak drobne i nikłe, że jeżeli następnie okazały się straszną prawdą, należały raczej do kategorii wróżb, znaków aniżeli prawdziwej podstawy.

Chwilami uspakajałem się—t. j. rozsądek próbował mię uspakajać. Niestety, miał on siłę tylko chwilową i przekonać nie mógł.

Nad ranem wróciłem do domu, senny i zmęczony. Położyłem się w ubraniu, zamknąłem oczy, ale otworzyłem je natychmiast, zerwawszy się z łóżka, bo sen, który mię wtedy na chwilę ogarnął, ukazał mi obraz Małgorzaty, jej twarz, ale tak pomieszaną z rysami martwej twarzy ciotki Krystyny, że przebudziłem się spocony.

Wyszedłem na miasto, zaszedłem do uniwersytetu, chciałem coś robić, ale wobec niepewności odeszła mię wszelka ochota do roboty. Nie mogłem myśli zebrać; uciekały one zupełnie gdzie indziej. Kilkakrotnie wracałem do domu, niecierpliwiłem się, nie mogąc doczekać się odpowiedzi.

Wreszcie przed wieczorem przyszedł telegram: treść depezy była fatalna. Miałem pół godziny czasu do odejścia najbliższego pociągu do Warszawy. Wkrótce po tem tak jak stałem, nie biorąc nic z sobą prócz pieniędzy, siedziałem w wagonie, mając przed sobą przeszło półtorej doby drogi.

Dziś jeszcze pamiętam dobrze tę podróż, która wydała mi się do niemożliwości długą i utkwiła mi w pamięci na całe życie jako najsilniejsze wrażenie wlokącego się czasu. Nigdy później czas nie płynął tak powolnie, nigdy nie czułem się tak bezsilny wobec powolności jego. Stacye ciągnęły się jedna za drugą bez końca, zjawiając się i znikając za dnia lub w nocy niby nieustanne przeszkody; każde dłuższe zatrzymanie drażniło mię. Siedziałem w zaludnionym wagonie pociągu pośpiesznego wśród schludnego komfortu wagonów niemieckich i publiczności zachowującej się poprawnie, obojętnie. Siedziałem w kącie, zamykałem oczy ale zasnąć nie mogłem, uderzenia kół, przytłumione, dudniły mi w uszach; po głowie niepokojące myśli kołowały nieustannie około jednego pytania i nie chciały go opuścić. Wychodziłem niekiedy na platformę, wiatr wilgotny dał z taką siłą, że trudno było utrzymać się na nogach. Patrzyłem na pejzaż, drzewa, uciekające w ciemności nocy, na iskry przelatujące mi, ponad głową, i wtedy, nie wiem dla czego, w głowie zjawiała się nieznana mi dotychczas myśl—smutna i ciężka—mianowicie, że życie ludzkie jest niezrozumiałe, głupie.

Wracałem do wagonu. Byłem zmęczony, powieki ciężyły mi niby z ołowiu, ale sen nie przychodził. Drzemano, w wagonie panowała cisza, lampy były poprzysłaniane, wagon kołysał się lekko. Niedawne my-

śli, które przed kilku dniami tak mię zajmowały, cały ów świat nauki, którym niedawno jeszcze byłem tak przepełniony, wszystko to uleciało daleko, a raczej pozostało w wielkim, kosztownie wybudowanym gmachu, pełnym widnych sal, pracowni, dzieł i przyrządów, uczniów i profesorów, który stał sobie na zbiegu najruchliwszych ulic wielkiego, bogatego miasta.

To co zostało wtedy we mnie—było to nasze życie, od którego nigdzie uciec nie można, bo toczy się w nas i wraz z nami; wobec którego wszelka abstrakcja, wszelka filozofia jest pustym dźwiękiem, nie znajdującym odgłosu w głębi ducha, zajętego bólem nie cudzym, nie istniejącym gdzieś w oddali, lecz pulsującym w nas wraz z każdym uderzeniem serca.

Noc się skończyła, dzień szarzał, kiedy pociąg stanął na granicy. Trzeba było przesiadać się. Poszedłem dowiedzieć się, czy nie było jakiego listu dla mnie na granicy albo telegramu. Dawniej zawsze zastawałem list z domu—tak było między nami umówione. Tym razem nie było nic dla mnie. Chciałem telegrafować, ale nie miałem odwagi, sam nie wiedząc zresztą, o co mam się pytać, tem bardziej, że odpowiedzi już bym nie otrzymał. Nie chciałem zawiadamiać ich, że jadę; wiedziałem, że w ten sposób nikogo nie zastanę na stacyi w Warszawie. Ale wydało mi się wtedy, że tak będzie lepiej.

Podróż w dzień była jeszcze przykrzejsza; niepokój wzrastał im bardziej pociąg zbliżał się do Warszawy. Na zapotnionych szybach rozmarzywał się szary zimowy pejzaż, migały słupy telegraficzne. W wagonie szary zimowy dzień powlekał wszystko ołowianym zimnym blaskiem, który zwyciężał rysy twarzy i nadawał im wyraz zmęczony i apatyczny.

Na stacyi w Warszawie nikt nie był. Wziąłem numer od policyanta, wsiadłem do dorożki i kazałem się wieźć. Coś ścisnęło mię w piersiach na każdym zakręcie ulicy, w miarę tego, jak dorożka zbliżała się do domu. Rozpoczęła się dzielnica staromiejska, ukazały się dawno znane ulice, domy, wieże, obojętne, ze zwykłym swym ruchem codziennym. Wreszcie skręciłem w ostatnią ulicę; zobaczyłem nasz dom, żółty, wązki, z attykiem i ozdobami z przeszłego wieku, balkony czarne i sień, do której wchodziło się po kilku schodach, niebieskie szyldy sklepu bławatnego na parterze. Okna pierwszego piętra od mieszkania Julii szły pięć w rząd, ciemne od deszczów, zamknięte od jesieni. Nad nimi pięć mniejszych.

Spojrzałem na nie. Wreszcie dorożka zajechała przed sień. Wsiadłem, zapłaciłem; drzwi od sklepu bławatnego były otwarte, ktoś w nich stał i rozmawiał. Obejrzano się na mnie, kiedym przechodził. Poznałem bławatnika, który ukłonił mi się, chciał coś mówić.

Sień była pusta. Wbiegłem na schody. Na pierwszym piętrze zastałem drzwi od mieszkania Julii; roztwarte na rozcież. Wszedłem i nie zastałem nikogo. Wbiegłem na górę i wstrzymując oddech stanąłem z ręką na klamce u drzwi naszego mieszkania. Nie miałem odwagi wejść. Otworzyłem dopiero wtedy, kiedy posłyszałem kroki za drzwiami. Była to Julja. Poznawszy mię, zatrzymała się; poczęła mię witać i po przywitaniu rozplakała mi się na rękę.

Z Małgorzatą było bardzo źle. Zaczęło się od kaszlu, który wkrótce rozwinął się w suchoty gardlane. Nikt się w domu nie spodziewał tego, nie dawano mi znać, bo lekarze na razie nie mogli się zdecydować na określenie choroby. Myślano, że to zaziębienie—zwykły kaszel, który przejdzie. Wkrótce jednak potem nie było już żadnej wątpliwości, że Małgorzata jest już nie do uratowania, że nawet wyjazd za granicę był by tylko niepotrzebnem mordowaniem jej.

I u Julii była choroba; w pokoju dziecinnym leżał jej trzyletni chłopiec od dwóch dni już rozpalony, gorączkujący. Rozpocząła się jakaś choroba wysypkowa, której określić jeszcze nie było można. Oboje już od kilku nocy z rzędu nie spali. Julja wyglądała mizernie, oczy miała podkrążone; płeć jej śniada przybrała kolor sinawy.

Nie traciła jednak przytomności, nie myślała o sobie. Mąż jej od czasu do czasu patrzył na nią niespokojnie: mizerność Julii obchodziła go więcej niż choroba Małgorzaty i syna. I on — jego twarz jasna i wesoła przeciągnęła się. Włosy miał w nieporządku; wąsy nie ułożone; musiał sypiać w ubraniu, nie wygodnie, na kanapach, lub drzemać na krzesłach.

Dano znać ojcu, wyszedł z salonu na palcach, zamknął drzwi za sobą tak zmieniony, że przestraszyłem się. Przywitał się ze mną.

— Wiesz już? Mamy nieszczęście w domu. Z Małgorzatą jest bardzo źle... bardzo—rzekł cicho.

Małgorzata spała. W ostatnich dniach dopytywała się o mnie i pragnęła koniecznie, abym przyjechał. Łudzono ją przez pewien czas.

— Ale teraz wie, że jedziesz i bardzo się ucieszy — rzekła Julja.

Do ostatniej chwili łudziłem się, że niebezpieczeństwo nie jest tak wielkie. Ale wkrótce przekonałem się, że było ono większe, niż mi się zdawało.

Zobaczyłem ją wreszcie, ale jak zmienioną. Siedziała w fotelu, przy oknie, w kaftaniku, owinięta w kołdry i chustki, obłożona poduszkami. Gardło miała kilkakrotnie owinięte kompresem, skutkiem tego jej wysmukła szyja wydała się jeszcze dłuższą. Oczy stały się wielkie, błyszczące, rozpromienione; twarz i ręce były przezroczyste, chude i delikatne, jak gdyby krążyła w nich nie krew, a płyn jasny, gorący, mający własność promieniowania. Wielkie jej jedwabiste włosy stały się ciemniejsze.

Gdy wszedłem, ocknęła się i poznała mnie odrazu. Przywitała spojrzeniem i uśmiechem, szczęśliwa, uradowana. Usiadłem przy niej, udając wesołość. Wzięła mnie za rękę, chciała coś mówić, ale gardło tak już było zajęte, że z ust wyszedł tylko szept cichy. Wskazała na gardło i uśmiechnęła się, szepnąwszy:

— Widzisz, jaka chrypka? Ale przejdzie.

W dwa tygodnie po tem leżała już na cmentarzu obok ciotki Krysiny, w białej trumnie, ubrana jak na wesele, zabierając z sobą jedwabiste włosy, które tam zapewne jeszcze długo zachowały miękkość i połysk, pomimo, że reszta była już nie do poznania zmienioną.

Przez cały czas choroby nie opuszczałem jej ani na chwilę. Małgorzata przy mnie czuła się szczęśliwą, ze mną było jej najlepiej. Bawiłem ją, znałem ją tak dobrze, tak dobrze wiedziałem, jak i czem ją zająć można. Przez pewien czas łudziłem się nadzieją, że wpływ dobry, jaki na nią miałem, doda jej sił do zwalczania choroby. Spodziewałem się cudu. Niestety, nadzieje moje nie spełniły się.

Małgorzata skutkiem choroby i wycieńczenia stała się łagodnym dzieckiem, jej uczucia, myśli, jej marzenia nabrały przezroczystości, jasności miłej, niestety złowrogiej; uśmiech jej miał ów nieokreślony lekki smutek bezwiedny, właściwy tym, których duch trzyma się ciała już słabo. Mówić nie mogła wiele, tylko szepem. Kiedym jej opowiadał o swoich niby projektach, pracach, nadziejach—rosła z ukontentowania, składała ręce i powtarzała: „to dobrze, to dobrze“.

Gasła w oczach z dnia na dzień, co raz bardziej przezroczysta, słabsza. Krew znikła w niej, oddech stawał się trudniejszy, gorączka trawiła ją powoli. Pod koniec przytomność poczęła powlekać się mgłą: oczy

wprawdzie pozostały czyste, rozpromienione; ale spojrzenie ich zwrócone było już tam, dokąd odchodzą wszyscy. Do ostatniej chwili poznawała mię jeszcze, uśmiechała się do mnie, mając coś szeptem; śniła dziecinnie o małych pieskach, kotkach, które widziała u nóg, o ptaszkach w górze. Były to zapewne wspomnienia najdawniejsze, które zjawily się najwcześniej i znikaly na ostatku. Mogłem już wtedy płakać przy niej, całować ją po rękach, ukrywać twarz w poduszkach — chora nie rozumiała już tego i nie rozumiała już nigdy

Śmierć jej zrobiła pustkę w domu niezapełnioną.

Kiedy umarła ciotka Krystyna, ze śmiercią jej pogodziłem się łatwo: była ona wypadkiem przykrym, ale nie pozostawiła długotrwałego śladu ani w naszym życiu domowym ani w myślach i uczuciach. Wyobrażeń moich zasadniczo nie zmieniła, nie wprowadziła zmian mniejszych; zapoznała mię ze śmiercią bliżej, dała mi poznać bezład, który wprowadza do życia, jej bezwzględność i zarazem błahość samego przejścia od życia do śmierci, które wyobrażałem sobie dawniej wspanialej. Nie poruszyła ona myśli o życiu pozagrobowym, o losie człowieka po zejściu jego ze świata. Byłem tego zdania, że się nic więcej już tam, po za grobem nie odbywa; cała ta sprawa wówczas była dla mnie obojętną, odsuniętą gdzieś daleko, gdy pewnego dnia, w dwa tygodnie po śmierci ciotki Krystyny, Małgorzata, zamyślona, kiedyśmy oboje siedzieli przy oknie, zapytała mię znienacka, cicho:

— Co też się tam dzieje z naszą ciotką; gdzie ona jest? — Ruszyłem ramionami i nie odpowiedziałem nic. Pytanie to wtedy sprawiło mi nawet pewną przykrość, niby poruszenie tematu niemiłego, sprawy drażliwej, którą uważaliśmy za dawno załatwioną.

Śmierć Małgorzaty po zatem, że była dla mnie przejściem nadzwyczaj ciężkiem, że stworzyła ciężką smutną pustkę w domu, smutek w myślach, poczucie braku, próżni w uczuciach, oprócz tego stała się wypadkiem, zjawiskiem nowem, zagadką, około której myśli moje poczęły krążyć co raz uporczywiej.

Ze śmiercią jej, z brakiem nie mogły się pogodzić uczucia, zmysły, które szukały jej, czuły ją w domu, gdzie każdy nieomal przedmiot przypominał ją ciągle. Śmierć jej była zbyt jaskrawym, bijącym w oczy faktem, aby rozum nie przyjął go. Ale począł szukać jego wytłumaczenia.

Z ojcem nie rozmawialiśmy o tem wcale. Bywaliśmy teraz często w domu sami, najczęściej milcząc przepędzaliśmy godziny całe, zajęci własnymi myślami i nie mając ochoty do rozmowy. Zauważyłem wtedy, że między mną a ojcem, pomimo przyjaźni, którą żywiliśmy dla siebie, pomimo wzajemnego zaufania, w myślach naszych istniał pewien przedział, istniały punkty, na których nie stykaliśmy się nigdy: tymi punktami była miłość i religja.

W ostatnich czasach po śmierci Małgorzaty ojciec począł się zmieniać, starzeć się wyraźnie, podupadać na siłach: smutny wyraz, który dawniej zjawiał się na jego twarzy tylko niekiedy, teraz ustalał się i rozprzestrzeniał co raz bardziej.

Często bardzo chodziliśmy na cmentarz. Czasami w święta towarzyszyła nam Julja z mężem. W dni powszednie wybieraliśmy się we dwóch. Zazwyczaj szliśmy piechotą, czasami z rana, częściej po obiedzie, przez ruchliwe dzielnice żydowskie; dochodziliśmy do rogatek, kupowaliśmy świeże wianki. Z po nad parkanu cmentarza cicho wyglądały drzewa, i wierzchołki pomników i krzyże; rząd domów podmiejskich i piwiarni ciągnęły się po drugiej stronie ulicy, przeplatane składami nagrobków z kamienia, które stały za sztachetami, oczekując na kupca.

Na cmentarzu panowała zielona, chłodna, wilgotna cisza i lekki odór zamkniętych sklepów grobowych, pleśni, zbutwielizny i wilgoci starych murów i kamieni.

Z grobów, z ziemi, z pośród drzew szedł niby powiew, który nie budził dreszczu, ale coś, co mogło być do niego tłem, jego wstępem czy podkładem. Gdym stawał nad grobem Małgorzaty i odkrywałem głowę, uczucie to wzmagalo się. Zjawiały się wspomnienia tak niedawno minionej przeszłości; patrzyłem się na kamień, który ją nakrywał, odczytywałem jej imię i nazwisko pośród wczorajszych wianków i doniczek z kwiatami. Czasami grób był osypany liśćmi, deszcz i słońce poniszczyło wianki, grób wyglądał opuszczony. W tem wszystkim było coś z Małgorzaty, była tam ona; leżała jako szczątek uschnięty, rozłożony; a jednak w dalszym ciągu nie przedstawiała jakoż żyć wraz z tem wszystkim, co z sobą do grobu zabrała. I nieraz gdy dzień był piękny, jasne niebo rozkładało się ponad drzewami, gdy naokoło kwitły i pachniały kwiaty, pszczoły i muchy brzęczały w powietrzu ciepłym, gdy naokoło stały groby inne, pełne mieszkańców, ozdobione kwiatami, zdawało mi się, że Małgorzacie

musi być tu dobrze, że spi spokojnie zabezpieczona wśród jasności i wesela natury, podczas gdy tam w domu, gdzie dawniej żyła, pozostała po niej pustka smutna, puste smutne mieszkanie, które więcej przypominało śmierć i grób, niż ów grób na cmentarzu.

W ten sposób i w inne jeszcze Małgorzata nie przedstawiała żyć między nami. Patrzyłem na ojca, na jego żal powstrzymywany, na jego pamięć o zmarłej, o jej grobie, o pamiątkach, które się po niej pozostały, i godziłem się, że trzeba czegoś zewnętrznego—znaków ceremonii, wianków, pomnika, cmentarza do okazania pamięci, do podtrzymywania wspomnień, do umieszczenia owego zmarłego, który zniknął z życia ale z pamięci zniknąć nie chce, jest, żyje i nie może być zapomniany.

Nie wszystko jeszcze znikło. Ciało leżało na cmentarzu—istniał grób Małgorzaty, który się przypominał: potrzebne były tam światła w dzień jej imienin i urodzin, kwiaty świeże; nie mogła być opuszczoną, porzuconą na pastwę czasu i zapomnienia, nie upominając się o to w pamięci. Potrzebne było gdzieś jakieś miejsce do umieszczenia w niem zmarłych, których pamięć przechowuje. Mimowoli rodzi się ów świat pozagrobowy w wyobraźni człowieka, którego pamięć nie jest jako powierzchnia wody, na której żaden obraz utrzymać się nie jest w stanie. Rozumiałem to wtedy doskonale i nie dziwiłem się powstawaniu nieb i piekieł, światów zaziemskich, w których wyobraźnia prześciga życie tych, którzy zniknęli ze świata na zawsze. Przeszłość jest zawsze prawie jeżeli nie smutna to melancholijna; rozpamiętywanie dawnego jest to zawsze przypomnienie tego, co umarło; Małgorzata w przeszłości wywoływała smutek i gniew, kiedym przedstawił sobie jej całe życie, które się tak źle skończyło. Teraźniejszość jest tylko dla żywych lub widm i upiórów. Przyszłość? Ta dla umarłych istnieć może ale bardzo daleko. A tymczasem trzeba mieć dla nich jakieś niebo, gdzie można było by ich widzieć żyjących, szczęśliwych, oswobodzonych, pięknych—a nadewszystko szczęśliwych i nie cierpiących. Wyobraźnia, uczucia domagają się takiego miejsca. Domaga się i rozum, który nie może zrozumieć naszego urwania się życia, nie może rozumieć śmierci, nie może zrozumieć naszego niszczenia, zniknięcia bez śladu czegoś, co tak wyraźne miało istnienie, wyróżniając się z wysokości gatunkiem od reszty istnień na świecie.

Do śmierci Małgorzaty byłem tylko matematykiem. Po jej śmierci począł mię interesować człowiek i jego życie. W spuściznie po siostrze

pozostała mi właśnie owa lekka nieokreślona jasno wiara w jakieś istnienie pozagrobowe—w kraj tak błękitny i jasny, jak wiosenne pogodne niebo poranne, pachnący wiosną, bezbrzeżny, miękki i zaciszny jak obłoki, gdzie umarli żyją, oczekując skończenia się świata. Dawne dziecinne wspomnienia powstały, połączyły się z pięknosciami natury, które widywałem własnymi oczyma, z przywiązaniem do Małgorzaty, z nią, z jej widokiem i stworzyły jakiś zakąt miły, cichy, jak grób, i wymowny, jak pamiątka. Nie rosło to, nie rozwijało się w wiarę, w religję, nie narzucało się, nie było wyraźne, nie wchodziło do życia, lecz istniało na uboczu, w schowaniu, niby w szkatułce, której zawartość znamy dobrze, chociaż nie zaglądaliśmy do niej już od dawna.



Niestety, szczątek naszej rodziny miał się z kolei znowu zmienić bardzo. Powiniennem był to przewidzieć. Niestety, często w najoczywistszą prawdę bijącą w oczy nie wierzymy, nie widzimy jej, nie chcemy widzieć, jeżeli drażni ona uczucia nasze bolesnie.

Po śmierci Małgorzaty zapanowała pustka w domu, a większa jeszcze w nas, którzy pozostaliśmy. Przez dwadzieścia lat wspólnego życia musiało się wiele utworzyć, owinąć około Małgorzaty, i to upadło teraz niby wijąca się roślina, skoro jej podpory nie stało.

Nic więc dziwnego, że po jej stracie ani myśli ani uczucia przez długi czas nie mogły się uspokoić, ułożyć do nowego poziomu. Smutek powlekał wszystko, co się w jakikolwiek sposób odnosiło do zmarłej. Wpływ jej sięgał nawet na takie rzeczy, które z jej osobą nie miały żadnego związku. Przypominała się ciągle, rządziła po śmierci długo jeszcze, zanim cios, nowe wypadki nie usunęły jej z powszedniego życia na plan dalszy, z kąd przypominała się niby z oddali tylko w chwilach ważniejszych.

Ojciec po śmierci Małgorzaty zmienił się bardzo, pochylił się, postarzał o lat dziesięć.

W ciągu paru miesięcy z mężczyzny pełnego zdrowia i życia stał się prawie starcem. Nie mógł zapomnieć Małgorzaty, ani uspokoić się, chociaż widać było, że starał się o to bardzo.

Nie chcąc zostawić go samego w domu, miałem zamiar nie wracać zagranicę. Ale ojciec nie pozwolił, wyjechałem.

Niestety, nauka, zajęcia w uniwersytecie, do których wróciłem, nie były już dla mnie tem, czem przed tem. Cóż się zmieniło we mnie, wrzało, czy też przybyło coś nowego. Matematyka, mechanika nieba gwiazdzistego, sprawa obrotów i życia ciał niebieskich straciła na znaczeniu, jej zagadki zbladły wobec tych, które w ostatnich czasach ukazało mi życie, rzucając mi je brutalnie, jak gdyby mszcząc się za to, że dotychczas nie zajmowałem się wcale niemi. Człowiek, jego los, życie i jego zagadki wysunęły się na plan pierwszy. Myślałem o ojcu, którego zostawiłem w domu. Korespondowałem z Julją i jej mężem, pisałem, kończąc pospiesznie studja.

Kiedy ukończywszy powróciłem do domu, zastałem ojca jeszcze bardziej zmienionego. Miał on wtedy lat sześćdziesiąt jeden. Nie był to jeszcze wiek. Dotychczas wyglądał zawsze młodziej, spokoj, pogoda, jasność i równowaga umysłu odejmowały mu lat.

Ale jak zwykle w takich razach silniejsze przejścia na podobne natury nieco rozhartowane działają silniej, sprawiają więcej zniszczenia, niż na ludzi obytych z nieszczęściem i trudnościami życia.

Do jego śmierci przyczynił się niespodziewany zgon najstarszego syna Julii, ulubieńca ojca.

Kiedy mały umarł, ojciec był już wtedy niezdrów w sposób bardzo podejrzany. Pomimo tego uparł się koniecznie iść na pogrzeb. Dzień był słotny, chłodny. Musiał się zaziębić. Wdała się jakaś ostra zapalna choroba wątroby, która w kilka tygodni położyła go do grobu, w półtora roku po śmierci Małgorzaty.

W mieszkaniu u nas na drugim piętrze pozostałem tylko ja i dawna służba.

Śmierć ojca rozwinęła dalej z ciężką konsekwencją to, co zapoczątkowały ciotka Krystyna i Małgorzata.

Obie śmierci siostry i ojca, wreszcie małego siostrzeńca, nie mogły mi wyjść z pamięci, powracając ciągle niby paląca, niezłałatwiona sprawa, stając przed wszystkimi innymi sprawami, kwestyami, które mię dotychczas zajmowały.

Puste mieszkanie którego opuścić nie chciałem, na każdym kroku przypominały mi lata minione, ową *przeszłość* dziwną, jej niepowrotność

niezrozumiała, do której przyzwyczailiśmy się tak bardzo, że nas zazwyczaj nie dziwi, ale tem bardziej staje się mistyczną w chwilach, kiedy chcielibyśmy powrócić do dnia wczorajszego, do godziny ubiegłej, tak bliskiej nas, że zdaje się, iż ją czujemy jeszcze. Wtedy dziwną, niezrozumiałą staje się przegroda, nieprzebyta a niewidoma mistyczna szyba, która zapada za każdą chwilą zbiegłą, pozwalając nam widzieć przeszłość ale tak niedostępną, jak przestrzeń, którą widzimy odbitą w lustrze.

„Gdyby mózdz cofnąć przeszłość“ — myślałem nie raz i nie mogłem pojąć, czemu, dla jakich przyczyn powrót przeszłości jest niemożliwy, czemu świat cały, jako zjawisko, nie jest odwracalnym w czasie?

Myśli kręciły się około dziwnej zagadki śmierci, znikania i przeszłości. Im bardziej myślałem nad nią, im wyraźniej pojmowałem, co się właściwie stało, tym bardziej bezcelowość, bezsensowność życia stawała przedemną, jako prawda ciężka, wylaniająca się powoli z tego wszystkiego, co mię otaczało, niby ciemny mglisty opar, który powlekał cały świat, niby gazą czarną pół przezroczystą uczuć przygnębiających i smutnych.

Ojciec umierał przytomnie, ze świadomością tego, że umiera. Byłem przy nim i widziałem jasno, co się dzieje, co się stać może: śmierć była mi wtedy już znana, miałem ją świeżą w pamięci.

Małgorzata umierając, nie cierpiała wcale, lecz gasła i zgasła niby lampa, której zabrakło oleju.

Życie ulotniło się z niej powoli, niby wonny olejek, pozostawiając puste naczynie.

Ojciec przeciwnie miewał ataki bólów, podczas których wił się na łóżku i wołał ratunku — on, co tak potrafił panować nad sobą i ukrywać to, co się w nim dzieje. Patrząc na jego walkę z bólem, znosiłem męki okropne, które paliły mię tem bardziej, że widziałem jasno całą głupią, bezdennie głupią bezcelowość tych cierpień chorego, których nie usprawiedliwiał żaden cel, żaden pożytek dla kogokolwiek bądź, albo czegokolwiek.

Dla czegóż nie umierał spokojnie, nie zniknął po prostu bez cierpień i bólów, jeżeli już tak musi być, aby ludzie umierali? Po co są bóle i agonja?

Ojciec w chwilach, kiedy ustawały bóle, pocieszał mię; niekiedy żartował ze śmierci i ze mnie. Jeszcze na kilka dni przed zgonem tłumaczył mi, że śmierć nie jest takim nieszczęściem, jak się wydaje, że przy-

krzejszą jest napewno dla tych, co pozostają, aniżeli dla tego, kto odchodzi.

Tyle już ludzi umarło! setki, może tysiące miliardów—mówił. Jest to taka konieczność, tak nieunikniona, tak powszechna, że czas był by, aby ludzie po tylu latach doświadczenia przyzwyczaili się do niej zupełnie, tak jak do wielu zjawisk natury, powtarzających się codziennie — jak do zachodu i wschodu słońca, zmiany pogody etc. I to bez względu na to, co *tam* nas czeka: nie, czy szczęście, czy nieszczęście. Bo cóż poradzi rozpacz, gdyby groziło nawet największe nieszczęście? Czyż wymyślono lekarstwo na śmierć, czy wynajdą kiedy sposób na uwolnienie się od niej?

— Zresztą—mówił—kto to dziś może wiedzieć, co *tam* będzie? Może zobaczą Małgorzatę i twoją matkę — mówił z uśmiechem sceptycznym, w którym pomimo tego przegłądała jakaś nadzieja — może zobaczymy się tam wszyscy? Cierpliwości, mój kochany! Pamiętaj, że i ty tak samo jak i ja zejdziesz z tego świata, będziesz musiał pójść za mną za lat czterdzieści, pięćdziesiąt. A gdyby nawet za sto — to cóż to znaczy sto lat? Przelecą prędko, i znajdziesz się w tem samym położeniu, co ja obecnie. Przykrem jest, zapewne, każde rozstanie. Ale tak czy owak—czy będzie *tam* co, czy nic nie będzie, czas rozłąki nie będzie długi. Za kilka dziesiątków lat albo zobaczymy się *tam* znowu, albo obaj na wieczność całą nie będziemy już nic wiedzieli o sobie, bo obaj nie będziemy już istnieć wcale. A takim przecież już jest wszystko jedno—nie cierpią z tego powodu, że się nie widzą?

Sam zażądał księdza, wyspowiadał się, przyjął ostatnie sakramenty. Zapewne, że zrobił to przeważnie dla nas, aby być w porządku z władzami kościelnymi i nie robić nam kłopotu. Jeżeli miał wiarę, to była ona wyższa po nad formy. Jego Bóg napewno nie zwracał by uwagi na formalności ziemskie, na przegrody, które między nim a ludźmi usiłują stawiać na ziemi. Ojciec i bez ceremonii kościelnych umarłby spokojnie, wierząc w to, w co rozum jego pozwalał mu wierzyć.

Ta półwiara ojca przyczyniła się w ostatniej chwili do wzmocnienia półwierzeń, które miałem wtedy. Przyjmowałem milcząco, bez rozbioru jakąś egzystencję pośmiertną, którą wytworzyły we mnie nie rozum, lecz uczucia. Byłem zresztą wtedy rozbity i rozmyślać nie mogłem.

Ale moja półwiara nie długo trwała.

Rozrzuciło ją zdarzenie, człowiek—kilka słów, jedno wyrzeczenie, ale tak silne treścią, że stało się punktem stałym, około którego myśli i poglądy nowe poczęły się powoli układać. Te kilka wyrazów były wypowiedziane w warunkach bardzo szczęśliwych, aby zrobić wrażenie. Były wypowiedziane z tak bezwiednem przekonaniem, że zdały się wyrzeczeniem prawdy ustami człowieka przez siły rządzące światem, które w nim chwilowo zamieszkały.

Wymówiono je nad ciałem ojca, kiedy ten leżał na wystawionych drzwiach, ubrany, czekając na trumnę.

Ojciec miał kilku dawnych dobrych znajomych, przyjaciół, rówieśników, z którymi od dawna żył dosyć blisko. Między nimi był jeden, niejaki Karwicki, żyty najbardziej nie tylko z ojcem ale i z całym naszym domem.

Obaj byli w równym wieku, chociaż Karwicki wyglądał znacznie starszej—o jakie co najmniej lat kilkanaście. Niższy od niego, mocno ale ciężko zbudowany, powolny w ruchach, nieco przygarbiony, z widoczną siwizną w szorstkiej, krótko strzyżonej brodzie, łysy, mówił niewiele, głosem przyciszonym i niepewnym. Wyglądał na zupełnie starego, podczas gdy ojciec przed śmiercią Małgorzaty trzymał się doskonale, pełen był energii i życia.

Kolegowali z sobą w szkołach i przez całe życie—z wyjątkiem może kilku lat—widywali się często i byli z sobą zawsze w dobrych stosunkach. Ojciec go lubił, przywykł do niego, uważał go prawie za blizkiego krewnego. Karwicki bywał często w domu u nas, chociaż uważany był przez nas za przyjaciela wyłącznie ojca, do którego właściwie przychodził. Sam domu nie prowadził. Był wdowcem oddawna. Obaj jego synowie byli już pożenieni i żaden z nich nie mieszkał w Warszawie. Karwicki mieszkał sam, z starą służącą, która mu pilnowała domu. Urzędował na niewielkiem stanowisku w jednym z biur rządowych, miał skromną pensję ale i niewielkie potrzeby tak, że pensya a następnie emerytura wystarczały mu w zupełności.

Przynajmniej na brak nigdy się nie skarżył.

Może Karwicki nie był dla ojca właściwym towarzyszem ze względu na różnicę wykształcenia, którego Karwicki nie posiadał wiele. Ale zbliżała ich, oprócz dawnego koleżeństwa i przywiązania Karwickiego do

ojca, jeszcze wspólna im obu znajomość życia, szczególniejszym stosunków miejscowych, które Karwicki znał doskonale, drobiazgowo, posiadając niezwykłą pamięć dat, nazwisk, dar zapamiętywania zewnętrznych objawów życia, nawet bez ich zrozumienia.

Nie miał umysłu filozoficznego, abstrakcyje prawie dlań nie istniały. Jego wzrok bezbarwny, obojętny, na pozór tępy, oko zamglone chwyciły rzeczywistość z wielką dokładnością, odbijając ją w pamięci niby w miękiej miedzi.

Był to człowiek dobry, uczciwy, uczynny, nawet mięki, cichy, strojący od ludzi, nie wiele dbający o siebie, zajęty zawsze więcej tem, co go otaczało, niż tem, co się tyczyło jego osoby, trochę mizantrop, trochę dziwak, nieśmiały, milczący chętnie.

Do ojca przyzwyczał się i znajomość ta stała się pewnego rodzaju nałogiem, potrzebą, tak jak regularne chodzenie o jednej i tej samej godzinie do cukierni na kawę i trzy partye szachów, jak zajęcia biurowe. Ojciec w domu u niego nigdy nie był, Karwicki nie wymagał tego wcale. Spotykali się w biurze, na mieście, w cukierni. Ojciec grywał z nim niekiedy w szachy, miewał do niego interesy.

W ostatnich latach Karwicki był u nas co tydzień wieczorami, przychodził o siódmej na herbatę, wychodził o dziesiątej, większość czasu spędzając u ojca w gabinecie, rozmawiając z nim lub czytając Kuryera, jeżeli ojciec był zajęty.

Z nami był w dobrych stosunkach. Małgorzata lubiła go, chociaż często był on przedmiotem jej żartów, na które pozwalał, bo Małgorzatę lubił. Ja byłem z nim w dobrych stosunkach, jako z przyjacielem ojca, chociaż rozmawialiśmy z sobą rzadko. Julja przyjmowała go jako gospodyni domu.

Tylko z ciotką Krystyną nie bardzo godzili się i lubili.

Podczas choroby ojca Karwicki z wyjątkiem godzin biurowych przebywał u nas w domu, szczególniejszym kiedy choroba przybrała obrót niebezpieczny. Był przy śmierci. Musiała na nim zrobić bardzo silne wrażenie, chociaż na twarzy nie wyrażało się, nie widać było nic więcej prócz pewnego osłupienia: oczy były zaczerwienione, bardziej jeszcze bez wyrazu niż zwykle, mowa stała się cichsza, chód cięższy. Pomagał mi przy pogrzebie, zajęty zawsze, tak jak gdyby w ten sposób chciał zabić w sobie smutek.

Było to już pod wieczór. Ojciec leżał ubrany, czekaliśmy na trumnę, o siódmej godzinie miała być eksportacya do kościoła. Julia była u siebie, szwagier na mieście. Przy ciele tylko pozostaliśmy Karwiczki i ja.

Chodziłem po dywanie zamyślony, przybity, patrząc się od czasu do czasu na twarz ojca, który nie zmienił się prawie wcale. Nie zwracałem uwagi na Karwiczkiego, wiedziałem, że był. Nie mówiliśmy do siebie nic, jak zwykle.

Swiece paliły się przy ciele, wieczór zapadał, okna ciemniały. Myśli kręciły się około zmarłego, około śmierci, nieokreślonych tematów smutnych, które zmieniały się same. Bieg ich widocznie kazał mi się znowu zatrzymać nad ciałem i popatrzeć na nie—na ojca, który leżał sztywny, niezgrabnie ubrany w czarny tużurek, w biały krawat, białe rękawiczki, jako milcząca zagadka nie do rozwiązania.

Nie patrząc, czułem, że Karwiczki stanął obok mnie. Nie patrząc, widziałem jego twarz bez wyrazu, jego oczy wyblakłe, wzrok patrzący wraz ze mną na umarłego przyjaciela. Staliśmy razem i wtedy usłyszałem obok siebie cichszy niż zwykle matowy głos.

— To już koniec — wszystkiego... dodał po chwili, kładąc szczególnie dziwny nacisk na ostatnie słowo.

Nie odwróciłem się, nie byłem zdziwiony tą filozofią jego, która zjawiała się tak niespodziewanie, tylko mocniej wpatrzyłem się w twarz ojca, która wtedy dopiero ukazała mi się w całej swej martwocie, jako ciało, które już poczęło się rozkładać: znikło zeń to, co się zwało życiem.

Słowa Karwiczkiego poczęły powracać, przypominać się, zbierać koło siebie część myśli, odsuwać inne, póki wszystko nie przerodziło się w pogląd ciężki, przygnębiający—w negacyę wszelkiej wiary, wszelkiego sensu życia, jego treści, celu, znaczenia.

(dok. n.)

Feliks Jabłczyński.



Linie Hofera.

III.

Grupę „Rozmowa z sobą“ postanowiłem skomponować inaczej. Będą to dwie figury, nie jedna; dwie postacie kobiece, tak podobne rysami i typem, że każdego uderzyć musi, iż jedna może być tylko sobowtórem drugiej. Muszę się i z tem liczyć, żeby nie czyniły wrażenia siostr i żeby do nich nie przyłgnęło od gapiów wystawowych przezwisko „Bliźnięta“.

Jedną przedstawię bardziej widmowo i senliwie i otchnę głębiną i mgłą.

Nie wiem jeszcze, jak wyrażę, że to rozmowa wewnętrzna w podziemiach jednej duszy i że to rozmowa nie przygodna lecz ciągła, ustawiczna konieczność istoty, która się raz na zawsze rozdzieliła, zwielokrotniła i prowadzi z sobą żalosne spory, nie na zasadzie równości obu stron, lecz w ten sposób, iż jedna bada, sądzi, nęka, dręczy,—druga słucha i cierpi.

Nie wiem jeszcze, powtarzam, ale nie mam żadnej obawy braku pomysłu, bo rzeczywiście rozmawiam z sobą, wprawdzie w duchu, ale pamiętnie, tak że motyw, który mam uwydatnić wraz z jego cierpkością, napewno mi się nie wymknie, nie zblednie, nie zwietrzeje.... Zwłaszcza rozprawiam dużo we śnie. Dusza nocy tak często sprowadza mi towarzystwo, którem jestem albo ja sam, słuchający własnych upomnień i perswazyi, albo *Ona*, albo ktoś trzeci nieokreślony, że ktoś mógłby

myśleć, że do towarzystwa nocnego był w sensie rzeczywistości namacalnej przyzwyczajony, a teraz oto zostawszy sam z ciemnością — z nalogu i potrzeby zaludniam opustoszałe miejsca widmami.

A widma te są często niezwykle i ogromne. Są to całe pasma tępych bezkształtnych mas, które, gdybym mógł z całą dokładnością wczytać się w sen własny w chwili, gdy ten już przeminął — okazałyby się może górami. Jako obraz, pejzaż — zacierają się one i nie mogą po przebudzeniu się powiedzieć, że widziałem góry, ale to pewna, że odegrały jakąś ważną w scenaryum rolę.

Czuję je i pamiętam w postaci nieco zmienionej, jako wały olbrzymie, złośliwe i natrętne, ścielące się w poprzek mej drogi, uniemożliwiające mi chód. Czasem wyrastają nagle z podziemi a nawet jakby z bolącej głowy się wyłaniają, z piersi mej własnej, jako część mego łona, jako myśl, wyrzut, pamięć wycieleśniona i stężała w ruchome wzgórze, — to znowu pęcznieją potwornie i stają przedemną nieprzebytym murem.

Męczą mię to — nie to, że się ze mną drażnią i że wysiłek mój daremny; przywykłem we snach swych zmagać się, szamotać i krwawić stopy. Nie to mię drażni — lecz to, że nie widzę krajobrazu owego pasma ruchomych szczytów.

A, nareszcie! dzisiaj ukazały mi się wirchy ponure, skaliste, najezżone bodącymi głazami; za nimi daleko, daleko, złoty rozpył zachodzącego słońca. Szczyty — gadające przytem głosem dziwnym, znajomym, moim własnym.

Jeden z nich zabiega mi wciąż drogę, toczy się to w prawo to w lewo i woła moim akcentem i moim głosem.

— Jestem Góra Kłamstwa! Jestem Góra Kłamstwa! Nie boisz się mnie?

A potem znikła gdzieś w dalekiej perspektywie — a głos ten sam gadał do mnie.

Teraz góry wydają mi się znajomemi; szczyty całe w śniegu — ach poznaję! Koszysta jak olbrzymi, długi, o twardym grzbiecie potwór w białym czapraku z srebrnymi frędzlami. Giewont lśniący od ciągłych deszczów nieubłaganą zimną łuską. Kościelec, jak kołpak biały, kryjący w sobie głowę drzemiącą i groźną. Głos jakiś znów mówi:

— Marzyłeś o tem, żeby być tam, nad jedną z krzesanic granitowych

i albo rzucić się i spaść miazgą, albo całą fatalną energję miłości zamienić na podłość strachu lub potężną czujność instynktu samozachowawczego.

Pamiętasz, ileś potęgi wydobyć z siebie musiał, ażeby oczarować ją wrażeniem żonglerskiej pewności siebie? Pamiętasz, jak przez dwa tygodnie po nocach bezsennych, rozzianych jak czarne przepaście, przychodziłeś z okiem bystrem, twarzą uśmiechniętą, dowcipem na ustach, kwiatem w dłoni. Z bladości swej, pozostałej po krwi serdecznej, wytoczonej przez kąsające obawy i wstydy, czyniłeś jakimś cudownym sposobem — arystokratyczną jasność nadczłowieka. Z gorzkich skrzywień dokoła ust — uśmiezek sceptyczny światowca. Wtedy ci pod gładką elegancją serce w piersiach waliło ostrym krnąbrnym młotem i podnosiło się aż do gardła; musiałeś tłumić jego ukryte buntownicze łkania, byleś rzeźki i rozmowny, pełen niewyczerpanej swady i zapału. Czaro- wałeś ją i jej matkę, a w duchu błagałeś wszystkich bóstw, ażeby ci w tej samej chwili zesłały śmierć od pioruna. Żadna z nich nie przeczuwała nawet tego, co się w tobie dzieje. Panowałeś nad nimi wolą i kłamstwem właśnie wtedy, gdyś leżał rozciągnięty u podnóżka spokoju i szczęścia, osmagany przez siebie, spętany i nędzny. A potem uląkłeś się góry kłamstw. Po tyłu przeszedłeś, że na nowe wspinać się nie masz siły. A zdobyć kobietę i posiadać jej miłość, duchową i cielesną — jest to stoczyć straszną kampanię napoleońską kłamstwa! Wszystkie moce geniuszu i cała wynalazczość czterdziestu wieków twoich przodków złożyły się na misterne ruchy strategiczne, które świat zwie miłością i zyskiwaniem serca kobiecego. A na dnie każdego zwycięstwa leży otchłań Waterloo'ska, porażka haniebna twojej woli, dumy i szczęścia. Wyprężone jak stalowe struny, nerwy panowania stają się po strasznym, zabójczym wysiłku wiotkiem włóknem słabości i kroplami płaczu...

Potrafisz że kłamać dalej?

Pamiętasz? Zapach jej dziewiczego ciała poplątał ci zmysły i kiedyś został na chwilę sam, całowałeś własną rękę, dla tego że była najojona jej aromatem. Zdawało ci się, że gryzłbyś własną rękę i potrafił wmówić w siebie, że kąsasZ jej ciało. Dotknięcie jej ramienia sprawiało ci niewysłowioną mękę pożądania i okaleczonego uczucia roskoszY. Chwila, a byłbyś wybuchnął wyciem wściekłego psa, albo rzucił się, aby ją rozerwać na strzępy lub zacałować na śmierć, a jednak mówiłeś tylko cichym, spokojnym głosem poetycznej namiętności:

— Włosy twoje i dłoń twoja pachną wszystkimi łąkami waszemi...

Pamiętasz te łąki, jeszcze przed pierwszym pokosem—one kolorowały twoją wyobraźnię, niosły duszy ukojenie. Myśl, jak ogromny świąteczny sztandar, łopocąc wiewała po powietrzu nad ziemią. Cichły burze i smutki i drgało tyle spokojne marzenie i moc, moc czynu i myśli. A teraz oto porównywałeś jej świeżość do tych kwiecistych łąk. Jakie głupie, potworne kłamstwo literackie—frazes poetycki! A jednak ona uwierzyła, wzięła go za zręczny i prawdziwy efekt, za wdzięczny hołd jej wspomnieniom i tęsknocie do rodzinnych pól, za wyraz czystej—rozumie się, że czystej—artystycznej rokoszy. Pożar swój wewnętrzny okazałeś jej na kliszy jak barwną plamę. Pochłaniałeś ją a udawałeś, że rysujesz. Pożerałeś ją oczyma a głośno czyniłeś żartobliwe uwagi nad rodzajem i charakterem jej twarzy. Wpijałeś się myślą w jej usta delikatne, jakby dziecięce, a zarazem przedziwnie soczyste, wiśniowe, w te usta, których dotknięcie samo wydało ci się nieprawdopodobną łaską i dotknięciem bóstwa—a jednocześnie rozprawiałeś o idealnych urokach Abelarda i Heloizy. Płoszyłeś najłżejszy cień podejrzania, że pałasz, żeś gotów na wszelką zbrodnię, byleby ją posiadać, i przybierałeś fizyognomię idealisty. Dusileś w sobie bestię ludzką i dziki popęd porwania, po którym miałbyś zadowolenie potwora, że przecież twoją jest i że choćby ci ją wydarto, choćby sama w inne kiedyś poszła ramiona, żadna siła nie wytrze z jej pamięci ciebie, z jej zmysłów twoich zmysłów, że pod żarem twojej miłości ten królewski kwiat po raz pierwszy się rozchylił. A więc tego przesadziłeś mnie, górę kłamstwa!

— Jestem Górą Kłamstwa, jestem Górą Kłamstwa!

Przeskocz raz jeszcze!

Rozpędzam się, próbuję; zapatrzony w dal, w żółty rozpył zachodzącego słońca—zbieram wszystkie siły—przeskoczyć nie mogę, nie mogę, nie mogę!...

Głos znów wołał:

— Są we mnie kłamstwa różne. Można kłamać i tułaniać słowem i spojrzaniem, można kłamać i całą istotą swoją, to znaczy: zdzierać z siebie żywe pasy ciała, zalewać się krwią i jeszcze ją przed światem ukrywać.

Góra kłamstwa tym razem rzeczywiście kłamała. Drobnie purpurowe usta—to nie charakterystyka jej. Ona bowiem usta miała dość duże i dużo niemi wypowiadała: bezmowny poemat wewnętrznych spalań

się i żądź, poemat mocny, skrycie brutalny. *Jej* usta były od niej całej wymowniejsze. A *te*, purpurowe, drobne, przybłąkały się skądinąd, są własnością dobrze mi znajomej—kogoś innego, czystsze i wznioślejszego...

Góra Kłamstwa była w tym śnie Górą wspomnień. Mówiła:

— Razu jednego... Była to okropna nauka... Porwałś ją w objęcia w chwili, gdy spojrzała na ciebie tklawiej, a uśmiech jej naraz przeniknął ci całego niewysłowioną błogością. Nie bronila się twoim pocałunkom, odurzona snąc samotnością ustronia świerków, cichych, poważnych i tajemniczo dyskretnych. W uściskach twoich nie było idealizmu, a w tobie—szał i uczucie, że lasy i skały wała ci się na łeb, jak życzliwe wieko na trumnę, w której pochowany chcesz być z swą miłością...

Co było potem! Chodziłeś, wpatrzony lunatycznie w światło czarodziejskie tej jednej chwili i kamiennie obojętny, drętwy drętwością chwili, wstrzymanej w biegu i rozciągniętej na całą przeszłość i przyszłość.

Góra Kłamstwa ma dobrą pamięć.

Przebudzenie nastąpiło wieczorem. Nie pamiętam, co dało nagle powód do tego. Spojrzałem na siebie z zewnątrz i rzekłem do siebie:

— Widzę cię w całkiem innym świetle, tyś—romantyk.

Cały mozolnie wznoszony gmach kłamstwa runął odrazu. Misterna budowa rozsypała się, a ja stanąłem nagle wśród jej gruzów, ośmieszony za romantyzm. Nie był to wyraz trafny ani mądry, był nawet wprost głupi—jako wyraz, ale miał w sobie ukrytą przestrożę.

Romantyzm—mówiło do mnie rozczarowanie mojego rozumu—to coś, co się nadaje do karykatury, co zamiast godzić się z faktem, mizdrzy się do rozwianego złudzenia, jak małpa do swego odbicia w zwierciadle. Romantyzm to żal straconej sielanki.

Czy w moich pożądaniami była sielanka? Jeżeli odurzona więzieniem pantera ma w sobie nastrój idylli, tedy moja cichość i milczące pragnienie były napewno sentymentalne...

Ale wewnętrzny mój szyderca—zrobił swoje. Przysłał mi pożądanego gościa. Zimny, studzący, oślizgły potwór, najpewniej bazyliżek, wkładał się do mego wnętrza i niósł ulgę. Była to Nienawiść, z przebiegłem i węzowem ciałem, witana przez duszę moją, jak najśladza miłość i orędowniczka. Ciemny, nieuchwytny pierścieniowiec wkładał się pod kwiatowy stos miłości i mękę pragnienia przeciwważał chłodną roz-

koszą wykluwającej się pogardy. Czułem wyraźnie zbliżanie się ulgi i stopniowe jak gdyby opadanie kajdan z duszy, która omotana w sidła pragnienia na śmierć i życie—tak bała się poruszyć swobodniej i odezwać głosem naturalnym, jakby od jej bezruchu zależała równowaga globu ziemskiego.

Strumienie gniewu i jadu jak źródła lawy przelewały się przez wnętrze moje.

Potem znowu zdawało mi się, że to *ona* śmieje się z mego romantyzmu.

I odpowiedziałem, perorując i zgrzytając. Ale—rzecz dziwna—podstawiałem już pod *jej postać*—*kogoś innego*, kogoś, co wkradł się nagle w ciemnię optyczną moich snów. Była to z wiśniowemi ustami—tęsknica cudza, nie moja, ale jedna z szeregu, jedna z tych, co na skarb miłości patrzą ogłupiałemi oczyma spłoszonej sarny, omdlewają z pragnienia a wyciągnąć po niego ręki nie potrafią, zahypnotyzowane własną niemocą.

Mówiłem tedy: Czy ty wiesz, że chcąc się połączyć w jedno jestestwo, trzeba biedz ku sobie po łbach ludzkich i oddech potwora—społeczeństwa wygnać z pomiędzy siebie, jak fizyk wypompowuje powietrze z klosza? Wtedy dopiero, w tym eterze pierwotnym, który porodził światy, związek dwóch dusz się odżywia i odzyskuje pierwotne przedczłowiecze piętno i siłę.

Wtedy dwie istoty łączą się bezwzględnie, tak jak pewnie łączone były niegdyś, zanim je największa góra kłamstwa—Ziemia—rozgrodziła Himalajami fałszu i obłudy. Czy ty potrafisz zwrócić się wstecz, o sto tysięcy lat, na słoneczne niwy rajy, w ów złoty wiek swobodnych żywiołów ludzkich, kiedy między wolne i odważne byty nie wkradły się jeszcze góry kłamstwa i tchórzostwa?

Bezskrzydła, bezłotku, czy zdołasz przelecieć olbrzymią przestrzeń, dzielącą ludzkość od człowieka?

Chełpisz się swą „indywidualnością“, zamknięta w szkatułce inkrustowanej duszyczko, odrutowany rozumku, co zjednoczyć się z nikim nie umiesz! Świat cię uwielbia za samodzielność i nieprzystępność wpływom. Strupieszwały wykrocie przedpotopowych borów!

Dusza wrażliwa i prężna miota się ponad ziemią, jak wolne otwarte tchnienie i raz wraz stapia się z bieżniarą, biorąc odeń świeże tworzywa i wzamian dając mu siebie. Nie drży ona karłowato, że siebie

zatraci, lecz wielkodusznie truchleje, żeby jej nieodmówiono wzajemnych przeniknień, opłotów i uścisków...

Jakie wy marne, drzewa i krzewy włoskich cmentarzów, cyprisy i laury, rododendrony i dęby żelazne! Stoicie odgrozione, zwarte w sobie, lśniące liściem, jak zieloną koszulką ze stali.

Między wami kolumny marmurowe i alabastry krzyżów i kapliczek utrzymują białą straż martwoty i bezducha. A wy między niemi sterczycie jak rdzawe grube kraty życia. I otoście w wiecznym uścisku ze śmiercią, same jak śmierć kamienne i spokojne.

Spójrzcie swemi dręt看mi oczyma na ową daleką puszcę zwrotnikową! Jak tam olbrzymy wyrosłe pod niebo splatają swe tysiączne konary i pnące, jak kielichy kwiatów wzajem odurzają się wonią! Jeżeli słońcu uda się przeniknąć gęstwinę ljan, nie rozpozna, gdzie pień ojczysty a gdzie jego odrośle. Budzą się i zasypiają nierozdzielne, coraz mocniej splecione. Zagrzmi burza i połamie je huragan, zatopią potoki z gór—one rychło otrząsają się z pogromu i nanowo łączą milionem niecierpliwych uścisków.

Czy was nie męczy nad siły pałające nad wami niebo z szafiru?



Dusza moja tarzała się boleśnie i wiła po cierniowem łożu. Rozpamiętywania przeciągały długim żalobnym korowodem, jak czarny kondukt za pogrzebem mych złudzeń. Sto zasłon okrywających świat spadło naraz, jakby jedno bielmo. Góry skakały dokoła mnie i opasywały czarnem zębata koliskiem. Potem nacierały coraz bliżej.

Naraz ujrzałem przed sobą straszną o prostopadłej ścianie opokę. Tak nagle i wyraźnie urosła przedemną, żem się w tył podałem, oczy rozwarły szeroko; zakłębiło się we mnie, a potem runąłem naprzód głową.

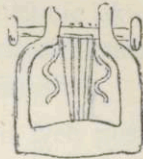
Leżałem na ziemi. Jakieś straszne jęki rzeziły we mnie i rozrywały pierś, po policzkach toczyły się palące strumienie... We włosach i na rękach miałem kurz i piasek... Zdawało mi się, żem sam wielką górą, że każdy bolący punkt mej głowy jest całym pagórkim, że oczy moje są dwiema przepaściami, z których płyną źródła, a łono jakimś olbrzymiem wnętrzem pełnem ognia, który się przewala, rozsadza mię i zmusi pierś, ażeby pękła...

Taką olbrzymiość i nabrzękłość ciała czułem w sobie, żem bał się ruszyć, ażeby nie rozepchnąć ścian pokoju a ciemieniem nie rozwalić pułapu...

Zmierzch zapadał, a mojem cielskiem potwornem wstrząsały ogromne spazmy. Powoli milkły, i drętwość głazu, jak wielka zimna fala od środka samej ziemi idąca, zaczęła się wlewać w moje kończyny. Zerwałem się, aby nie skamienieć...

(d. c. n.)

Jan Zarycz.



Dwie epopee kupieckie.

I.

Obie rozrosłe niepomiernie w czasie swoich narodzin, trzymały w napięciu uwagę całej inteligencji; obie chciano brać lub też brano za najwyższe objawienia praktycznej dla społeczeństwa mądrości, za najpełniejsze wyrazy społecznego rozumu autorów, w których wierzone również mocno, jak w ich talent. W obu widziano najświeższy kwiat ideowej mądrości, zgoła nie zważając, że ta mądrość jest zwyczajną tendencją ekonomiczną, że jej kolor dziwnie mieszczański, więcej nawet: handlowy, że bohaterami głównymi są — kupcy.

Te dwie świeże epopee pisane są z powziętą zawczasu dążnością, i poddyktował je nie artyzm czysty, ale mniej lub więcej „obywatelska“ — bo u nas nad obywatelskość jeszcze się umysły nie wzniosły — chęć nauczania społeczeństwa. Powieść jest przecie naszym *forum romanum*, widownią i środkiem nauczania, często nawet wybiegiem omijającym niebotyczne góry przeszkód. Od czasu do czasu bowiem tworzy się jakaś próżnia — rodzi ją milczenie i bezwład. Ludzie żyją na oślep, albo jeśli widzą, to nie mają drogowskazów — a wtedy zabierają głos i przewodnictwo swe narzucają zarówno ci, co czują głęboko, potężnie pragną i dużo przemyśleli, jak ci, co się rządzą jedynie ambicją wodzów, a często przemawiają do narodu dla tego jedynie, że im każą ich wielbiciele, że tłum jest jak owi ślepcy Maeterlincka opuszczeni w kniei i woła strasznym głosem: Przemów!

Różnica między temi dwoma rodzajami — to różnica, powiedzmy odrazu — między „Lalką“ a „Rodziną Połanieckich“, właściwie między całym Bolesławem Prusem a całym Henrykiem Sienkiewiczem. A jeśli pamiętać trzeba, że po za ich stanowiskiem głosiceli tendencji czy też nauczycieli istnieje jeszcze ich sztuka, czyli olbrzymia sfera od tamtej niezależna — ja na to zastrzeżenie piszę się tylko warunkowo i zobaczymy w dalszym ciągu, dlaczego.

Ale ideały, stawiane przez artystów, idą w świat nie pod postacią oderwań i dziesięciorga przykazań, lecz wcielone w ludzi z krwi i kości; jako bohaterowie — jedną zwolenników i wrogów, czarują lub odpychają, żyją z nami i w naszej pamięci i samowiedzy, jako sympatyczni towarzysze lub niemiłe natręty. Takim żywym tętniącym wcieleniem są właśnie dwaj *Stachowie*: Wokulski i Połaniecki; tego ostatniego dopełnia wprawdzie jego żona, lecz go tylko dopełnia, i niemasz w niej nic takiego, co by nie było odbiciem duszy męża, a choć on nieraz z uwielbieniem prawi o jej wyższości i budującym wpływie, — jest to kurtuazyjne kłamstwo.

Z porównania przeto dwu tych postaci, które czynią wrażenie jakoby kolegów i rówieśników, zaprzężonych do jednakowej roboty w handlu i jednakowej roli w literaturze, wywinąć się powinno całe owo pasmo różnic.

Już się one zaczynają bardzo wcześnie, bo przed wyjściem na świat obu figur. Wokulski urodził się, bo urodzić się musiał, bo fantazyja twórcy najwidoczniej wzbierała patosem, chłoneła pierwiastki dramatyczne i szukała dla nich sceny szerszej i pełniejszej i mocniejszej niż „Dusze w niewoli“, „Anielka“ lub „Placówka“. Rosła skala światowego bólu, który już zdążył wypowiedzieć się w nich przygodnie lub ukośnie, a w paru drobnych utworach („Pieśń świata“) wprost i wyraźnie i wreszcie z polotem naukowo-technicznych utopij, które towarzysząc stale Prusowi znalazły swe uwieńczenie w naiwnopotężnej sylwecie uczonego Geista, przyjaciela Wokulskiego. Słowem, między całą uprzednią twórczością i „Lalką“ widać nić organicznego rozwoju i potężnienia. Kiedy ta wielka, bezładna nieraz opowieść zaczęła się w odcinkach dziennika, czytelnik znający Prusa mógł się zdumiewać szalonym jej humorem, cudacznością karykatur, niebywałą grozą duchowych katuszy, rozbujalnością romantycznej tęsknoty, pozerającego smutku, złożoną wielce perspektywą figur żywych i jasełkowych, ale czuł, że ma przed sobą tego samego niby — gawędziarza, co z zatajonym w kryjówkach serca rozdzierającym bólem wesoło drwi z lachmanów i sieroctwa. Miało się, słowem, przed sobą wielki

obraz, w którym malarz zebrał się i skupił, rozszerzył wymiary i podniósł potęgę dawniejszych swych motywów.

A Połaniecki? To byłaby rzeczywista Minerwa, wyskakująca z Jowiszowej głowy w pełnym rynsztunku, gdyby nas grecy nie przyzwyczaili żądać od tej bogini wielkiej mądrości. Był to więc raczej skromniutki *deus ex machina*, który w nagłych susach jął oczerniać i szkalować — kogo? Płoszowskiego. Jeszcze nie zdążył rozwiać się namiętny opar „Bez dogmatu“ — a już zaczęto wykadzać pałac literatury „Rodziną“ jak gdyby po jakiejś zarazie moralnej. Proszę tylko zestawić te dwa tytuły: w pierwszym drga wolność i śmiałość myśli — drugi jest uosobieniem ciasnoty. Zdawałoby się, że same słowa „bez dogmatu“ wiszą w powietrzu jak kacerskie bluźnierstwo i należy je spalić na placu miejskim. Niesłychana szybkość i niespodzianość tego zwrotu na prawo przeszkodziły odezwać się refleksyi czytelników i znawców Sienkiewicza, a gdy przyleciały z swym szarańczowym zgrzytem skrzydeł chmary wielbiących i świętobliwych komentarzy — zmiana frontu została raz na zawsze zamaskowaną i jakby unicestwioną.

Sienkiewicz kładzie Połanieckiemu w usta słowa: „Ostatecznie ja mogę się na coś przydać, podczas gdy on — t. j. Płoszowski — przydałby się tylko do postawienia na społeczną etażerkę z bibliotami. Ja potrafię chleb zdobyć, on potrafił tylko z gotowego ukreścić gałki. Ja umiem, i dobrze umiem, farbować perkaliki, on umiał tylko farbować policzki kobiece“ (tom drugi str. 132).

Ależ to straszne kłamstwo albo okropne nieporozumienie. Więc to dla zrobienia cacka salonowego, dla japońskiej figurki — napisało się trzy wielkie tomy tragicznej analizy dusz? Więc to o nią najbogatsze pisma toczyły bój i wydzierały sobie prawo i zaszczyt pokazania jej czytelnikom? Więc o tym „filigranie“ krytyka pisała chwalcze studia i całe tomy? Więc to muszelka, przywieziona z zagranicznej „plaży“, oddziałała na takie talenty jak Tetmajer? Dla drobiazgu z etażerki autor wysilił się na subtelność spostrzeżeń, poezję i prostotę języka? Dla niej z całym arystokratyzmem ducha pomiałał wszystkimi, co w otoczeniu bohatera razili gruboskórnością, szablonem natury swej, brakiem wyrazistego i niezależnego „ja“?

Ażeby w ten sposób określić postać Płoszowskiego, którą dla jej ogólno ludzkiej miary nie wahano się stawiać obok Manfreda i hr. Henryka (porównaj studjum W. M. Kozłowskiego) — trzeba być albo pospolitym trznadlem, jak nazwał męża Maryni Bukacki, albo rzeczywiście ordynaryjnym han-

dlarzem perkalików. Widzimy tu jakąś fatalną intrygę między braćmi, synami jednego ojca; młodszy, pół bałwana a cały kupiec, wiesza psy na starszym, nieobecny i stara się geniusz jego sprowadzić do miary wyskrobka, dla tego jedynie że ten geniusz był bez teki, że nie wygrał na loteryi życia wielkiego losu, jakim jest bawoli kark i zamięłowanie do pieniężnych obrotów i spółek.

Ale Płoszowski miał więcej rodzeństwa i nawet bliźniaków, i przeto ludziom piśmiennym nie wolno było zapominać o ciężkiej obeldze, którą wymierza literaturze Połaniecki. Przecie nie ostygła jeszcze pamięć „Tej trzeciej“, dowcipnego obrazu brawury, tężyzny, prawdy i szczeroci artystów. Tam malarz, dostawszy pieniądze, wspaniale rozrzuca je po podłodze a za chwilę filistersko-narzeczęńskiej rokoszy swego druha nazywa go „pudlem“, tam nawet ołtarz nie zakrywa widoku na nową trzecią miłość, a tutaj zręczność robienia grosza zawieszono w kościele jako votum, a rodzinne stowarzyszenie wytwórcze nazwano „Rodziną“ i prawie że „Rodziną świętą“.

Zajrzyjmy do dawnych dzieł Sienkiewicza: wszędzie widzimy go wybujałym, rycerskim, romantykiem. Żądza przygód i chwały wojennej tak dalece wypełnia jego cykl historyczny, że niemasz tam miejsca na zajęcia pokojowe. Czytając je, zapomina się, że w wieku siedmnastym szlachta już do zagonu przywykała i, stając się powoli klasą pracy, niechętnie szła na wojenkę. I oto „płomienny geniusz polski“ Wiśniowieckich i Sobieskich, Skrzetuskich i Kmiciców nagle poszedł na giełdę?

Takiego piruetu niepodobna nazwać naturalną ewolucją (wyraz u nas bardzo lubiany, bo wiele szpetnych rzeczy upiększający). Więc Połanieckich uważać trzeba za zrodzonych bez miłości albo za podrzutki, znalezione w pracowni artysty i przezeń wychowane. Ktoś czy coś, słowem jakaś siła zewnętrzna, kazała mu usynowić kość nie z jego kości, krew nie z jego krwi. Tą siłą była straszna era karyerowiczostwa, kiedy reakcja doszła do szczytu, i wszystkie jaskiniowe moce zaczęły u nas rządzić, nie tylko sterować myślą i uczuciem, lecz rozdawać łaski i honory. Muza Sienkiewicza jest tego rodzaju, że jej potrzeba ciepła; sama je wypromieniowując, lubi się też grzać; więc przeszła nagle pod ten wielki, ciężki, staroświecki piec, który się nazywa kuźnią wsteczności. W chorągwi, która tak znakomitego zyskała towarzysza, powstało stąd wielkie gaudium, posypały się ody i dytyramby.

Na ten ważny i ciekawy w literaturze naszej fakt możnaby patrzeć i ze stanowiska *etycznego*; ja tu rozważam tylko dzieło, nie człowieka. Chodziło

o wykazanie, że już sama geneza Połanieckich była wręcz odmienna od genezy Wokulskiego, że się różnice zaczęły przed ich przyjściem na świat. Dla krytyka rzecz to niezmiernie ważna — bowiem inaczej wzrasta i dojrzewa utwór własną krwią napisany i odczuty, a inną ma wartość plód nieszczerzy, z ogółem duszy swego rodzica niezgodny, na chłodno wykoncypowany, albo też ułatwiający mu drogę od światła do ciemności..

Oto dlaczego Wokulski składa się z wybuchów wielkiego natchnienia, a Połaniecki — mechaniczny produkt fabryki — z nieudanych, karłowatych, bezlotnych podrywów i tego wszystkiego, co charakteryzuje wysilenie i sztuczność.

II.

Czarem poezji polskiej, wyróżniającym ją z pośród innych — jest duża wolność wiersza. Nie przekazano nam ani ścisłego trzymania się jambów, trocheów i daktyłów, jak błędnie głosił ostatnimi czasy ktoś, pozbawiony słuchu, ani takiej harmonii rymów, która równałaby się ich dźwiękowej tożsamości, jak dajmy na to u Teodora Banville'a a i w ogóle na parnacie francuskim. Dzięki temu poezya nasza ma naturalność i polot farysowy, skrzydlaty, który możnaby postawić jedynie obok równie swobodnych, żywych, wybujałych krajobrazów i scen łowickich w naszym malarstwie.

Taką samą właściwość posiada i powieść nasza — ale tu już owa zaleta staje się często bezładem. Przedstawienie postaci ludzkich, typów, charakterów winno być prawdziwe i jasne, a to rodzi znów potrzebę porządku i rozumnego, ścisłego układu. Z tego punktu widzenia najbardziej rodzimym artystą jest niewątpliwie Prus, a najwięcej grzechów popełnił w „Lalce“. Lecz i Sienkiewicz, choć zwykle tak celuje przejrzystością kryształową języka i rysunku, nie lepszym jest w „Rodzinie Połanieckich“. Boć pamiętajmy, że właściwie on nie posiada daru kompozycji świeżej i pomysłowej — przeciwnie, posiłkuje się jedną dla wszystkich dzieł oprawą, jedną ramą: bieg z przeszkodami do ślubnego kobierca. Czy biegną przyszli Skrzetuscy, których mozoły są w „Panu Wołodyjowskim“ uwieńczone sześcioma synami, czy biegnie mały rycerz (z ruchomymi wąsikami) i różne jego narzeczone, czy Kmicic z Oleńką, czy Stach Połaniecki z Marynią, którzy pragną mieć okrągły tuzin dzieci, albo wreszcie Winicyusz z Ligą — wszędzie to samo na początku i to samo na końcu.

Z większych utworów jedynie „Bez dogmatu“ wolny jest od tego planu — i niema też w nim swatów w rodzaju Zagłoby-Chilona.

Lecz kiedy Prus w swym eposie kupieckim puścił wodze popędowi do improwizacji i swobodnie harcował pomysłami, Sienkiewicz swą Połaniecyadę trzyma bądź co bądź mocno w ręku. I nie dlatego, że użył zwykłego swego ułatwienia, romansu zakończonego ślubem, lecz że się skrepił tendencją, wyraźną, określoną jak treść wstępnego artykułu, lub rozprawy społecznej. Wypowiada ją swą osobą bohater i jego ukochana, on — człowiek przede wszystkim „normalny“, „zdrowy“, praktyczny, trzeźwy, umiejący zdobywać chleb i zdolny w ogóle do walki o byt; przeznaczają go do niej tęgie ramiona, spryt kupiecki, wytrwałość, zamilowanie domowego ogniska, pragnienie potomka tak silne, że z początku „chodziło mu więcej o przyszłe dziecko niż o Marynię“, brak względny przesądów, zrażających szlachtę do zajęć kramarskich, siedzenia w kantorze lub fabryce, — co mu pozwala być dobrym i wiernym spółnikiem czecha Bigiela i czuć się dobrze między Bigielętami. Posiada piękną ogładę towarzyszką, potrafi albo raczej ma odwagę poruszać wielkie sprawy ducha — nawet takie, w których Sienkiewicz, gdy głos zabiera, nie zawsze wykazuje godne średniego bodaj talentu przygotowanie naukowe i społeczne. Ale najważniejsza, że Stach jest przy tem wszystkim wybornym, okazowym szlachcicem, aczkolwiek dla uratowania tytułu człowieka rozsądnego, klasowy sentyment swój dedykuje nie tyle kaście, której chce być chlubą, ile gospodarstwu i roli, i przeto koroną jego zabiegów i uwieńczeniem szczęśliwości rodzinnej jest wykupienie i należyte zagospodarowanie Krzemienia, który, jak uspakaja Stach żonę, nie zepsuje mu bynajmniej interesów handlowych. Słowem Połaniecki to postawiony społeczeństwu do naśladowania wzór obywatela w postaci przemysłowca-kupca-ziemianina.

Do tego ideału zastosowane być musiały rozmyślenia i walki moralne. Odbywa on proces wewnętrzznego oczyszczania się, szczerze pokutuje za to, że odegrał raz z żoną przyjaciela, Maszkową, scenę wiarołomstwa, doskonalili w sobie i umacnia wstręt do natur zwyrodniałych i dziwacznych jak Bukacki, potępia coraz silniej płochość i zalotnictwo, wymownie pogardza kobietami, które złamały życie poecie Zawilowskiemu i Osowskiemu, wstydzi się coraz widoczniej dawnej obojętności w rzeczach religii, coraz goręcej uwielbia swą połowicę, rozumie jej cnotę

i wartość, dzielnie zwalczą w sobie zdradzieckie poszepty tej strony swej natury, które w kilka miesięcy po ślubie próbowały ogołocić z uroku Marynię. I tak daleko zaszedł w tym kierunku, że ją uznał za swego anioła stróża i jak posłuszne dziecko klęka z nią co wieczór przed łóżkiem do pacierza.

Lecz Sienkiewicz jest umysłem syntetycznym, ujął więc swój morał w zupełny całokształt, w którym nietylko kwestye sumienia, uczuć i stanowiska wobec świata są przewidziane i rozpatrzone, ale i inne bądź to drobne, bądź dalekie sprawy „żywota pocziwego człowieka“. Chodziło jeszcze o to, aby społeczeństwo miało katechizm życiowy, całkowity system mądrości. Więc pierwsze miejsce zajmuje w nim nauka wychowania, którą jako rzecz prozaiczną autor zręcznie włożył w list pisany przez Waskowskiego z zagranicy. I podobnie jak jedna z osób samej powieści, „dekadent“ Bukacki, zapytuje, dlaczego Stach, skoro tak rwie się do małżeństwa, nie pomyśli zawczasu o akuszerce i niańce, tak i czytelnika zdejmuje obawa, że twórca „Rodziny“ w nadmiarze przezorności podaje nawet wskazówki co do wyboru „rozsądnej niewiasty“, w opisie bowiem przebiegu słabości Maryni szczególny położył nacisk na stronę gospodarczo-hygieniczną, jakoto, że mamkę (nazywa się ona tylko żywicielką albo karmicielką, nigdy inaczej) należy brać ze wsi, i nie pozwala matce, by karmiła sama. Chwilami kwiaty te, aczkolwiek mają formę ozdób samego wątku, czynią przygnębiające, bolesne wrażenie poradnika dla modnej neoszlacheckiej burżuazyi i wątpić nie można, że spadkobierca „Dworzani-na“, mimo, że ofiaruje swe usługi u schyłku dziewiętnastego wieku, na głuchotę słuchaczy i na brak ścisłych wyznawców skarżyć się nie będzie potrzebował.

Już samo to opracowanie wszechstronne tendencji zbyt dużą czyni ocenę książki. Co ma do czynienia krytyka z swoim rozbiorem i pragnieniami estetycznymi tam, gdzie raczej przydałaby się recenzja higienisty albo „przyjaciela ludzkości“, któremu serce rośnie, gdy czyta, jak dużo skojarzono stadeł, dużo się urodziło dzieci i t. d? Nie zdumiewają wcale wszystkie owe nudne i zmanierowane przymilania się pieścizotliwych słów i pochwał, głęboko pospolite, nieodczute rozdziały, z których się składa większa część „Rodziny Połanieckich“. Są one naturalnym wynikiem założenia, które nieznacznie samo przez się rozlało swój niesmak na całe dzieło. To nic, że tam i perełki uczucia i klejnoty stylu znaleźć można,

złotymi pyłkami rozsiany humor i nawet piękną tu i owdzie głowę — przecie Sienkiewiczowi takie rzeczy bez trudu przychodzą. Ale one książki nie uszlachetnią i nie opromienią szczerze — idealnem tchnieniem. Owszem, właśnie dlatego, że czasem tam zadźwięczy gorzka, prawdziwie gorzka nuta wstępu i oburzenia dla lalek, co nie wahają się zdradzić geniuszu dla pięknego idyoty — właśnie dlatego, że czasem jawi się między tymi chwastami prawdziwy kwiat, istotna wyższość, jak w osobie Bukackiego, że się nam przypomina lepszy, dawny Sienkiewicz, — nie zdolniśmy powstrzymać się od wykrzywienia twarzy bolesnem rozczarowaniem i prawie że uczuciem doznanej obelgi. Bo coś z lekceważenia zdaje się tkwić w tem natręctwie Połanieckiego, w tej grubości i cynizmie, z jakim ograniczony szlagon wydrwiwa niebotyczne szczyty ducha i wszystkie jego tęsknoty poniża i rzuca na kolana niby przed cielcem złotym, przed taką oto wielką, wspaniałą prawdą: „Kto mnie uzna, jeśli nie kobieta — byle ogromnie dobra, ogromnie pewna i bardzo moja i bardzo kochana. To wszystko, czego można chcieć, bo z tego idzie spokój — i to jest jedyna rzecz, która ma sens“.

W tem miejscu czerni się głęboka otchłań, a po drugiej jej stronie — potężna sylwetka Wokulskiego. I to przecie kupiec, handlowiec od samego dzieciństwa, właściciel sklepu, dostawca, i to przecie bohater tendencyjnej w swem poczuciu epepei. I nawet ta tendencya na pierwszy rzut oka zbliżona jest do tamtej. Bo kto rozumie Prusa, odrazu jeszcze przed wzięciem książki do rąk, powie napewno, że jest w niej coś trzeźwiącego zapalone głowy, że ona tabliczką i szyferkiem wykazuje szkodliwość mierzenia sił na zamiary, niebezpieczeństwo rządzenia się samem sercem i korzyści płynące z takich lub innych zakładów i przedsięwzięć. Lecz — i tu właśnie zaczyna się otchłań, dzieląca obu autorów — Prus jest tak dalece sercem, odzianem wprawdzie na obraz i podobieństwo zwyczajnego człowieka — że wszelka jego idea prawdziwie utylitarna tonie prędzej czy później w odmęcie serdecznej egzaltacyi. I to właśnie czyni go w „Lalce“ wielkim artystą i wielkim człowiekiem. On tam nie sili się być jakimś *va d'empu* mądrości obywatela, ani nawet nie polemizuje na seryo z kimkolwiek, lecz przedstawia fatalizm przewagi uczucia nad rozumem w naturze Polaków, pokazuje nam to serce, jak się szamoce w uściskach patryotyzmu albo w sidłach miłości, strasznej jak dziedziczna choroba. Wokulski i jego prawdziwy, mimo skromną swą postać po-

winowaty z wyboru, Rzecki, to razem suma olbrzyma cierpienia i pragnień. Pierwszy dyszy jak wulkan, drugi marzy po cichu i w myślach swych do piersi tuli wszystkich ukochanych; tamten dławiony przez upiora, którego nędzotę widzi jasno w świetle swego wielkiego rozumu, ten wizjoner czasów napoleońskich, nieuleczalny bohater, który dym wielkich bitew widzi w kopcium lampy swej biednej izdebki. Obadwaj tragiczni, pierwszy, bo nieprzebrane siły zmarnował dla upadającego majaka wzajemności, a drugi, bo się sam trupem położył na szczebel dla tych, co najlepiej po trupach wznoszą się do góry.

Czyż więc Prus taką straszną, ciemną perspektywę chciał pokazać czytelnikowi? czy taką ponurą galeryą ginących ludzi i tryumfujących płazów chciał nauczyć nas rozsądku? Nie sądzę — on poprostu nie utrzymał się w założeniu i nawet go sobie wyraźnie nie uświadamiał. Dał się porwać żalowi i sympatii dla tych, co są odbiciem jego własnego, tak mylnie przezeń pojmowanego typu, i w miarę snucia powieści coraz mniej krępował się tendencją a nawet zmieniał psychologiczny rysunek postaci np. doktora Szumana. Stara się wprawdzie utrzymać charakter Wokulskiego-kupca i każe mu nawet w Paryżu załatwiać wielkie interesa z Suzinem, ale wewnętrznym szarpaniom tego olbrzyma tyle poświęca artyzmu, tak nad nim znęca się poprostu wyszukiwaniem dlań upokorzeń i katuszy, że Wokulski-Hamlet i Wokulski-Werter i Wokulski-Gustaw usuwają na plan drugi kupca i wszystkie morały, które z jego zawodem mogły być związane. Tytana czasów przemysłowych z jego rozległymi planami filantropijnymi i pomysłami ruszenia z posad świata — zakrywa w końcu piekło serdecznej męki, w które autor wprowadza nas z widocznym upodobaniem i pokazuje wszystkie narzędzia tortury. Widzimy wszystkie klęski woli złamanego kolosa, wszystkie śmieszności wątplenia o tem, czy widział to, co widział własnymi oczyma czy nie potępia zawczasie, choć nóż morderczy sto razy w swem łonie czuje. Tylko na takim tle mogła pojawić się owa refleksya, po schwyтaniu Izabeli na gorącym uczynku zdrady w wagonie, kiedy został samotny w pustce:

„I stał się człowiek. Żył kilkadziesiąt lat, a w ciągu nich tyle pragnął, i tyle cierpiał, że martwy świat nie zagnałby tego przez całą wieczność. Goniąc za jednym pragnieniem, znajdował tysiące innych, uciekając przed jednym cierpieniem, wpadał w morze cierpień i tyle odczuł, tyle przemyślał,

tyle pochłonał sił bezświadomych, że w końcu obudził przeciw sobie całą naturę.

„Dosyć!... — zaczęto wołać ze wszystkich stron. — Dosyć!... ustąp innym miejsca w tem widowisku...“ „Dosyć!... dosyć!... już dosyć!... — wołały kamienie, drzewa, powietrze, ziemia i niebo. „Ustąp innym!... niech i oni poznają ten nowy byt...“

Można całą kartę, z której te słowa wziąłem, jedną z najtragiczniejszych, jakie poezya nasza wydała, porównać tylko do obłędu króla Lira, kiedy zwołuje sąd i kiedy sądzi kamienie — córki swoje. I tak samo na najwznioślejszych wyżynach liryki umieściłbym potok łez, w który stopniała kamienna owa boleść Wokulskiego, gdy go dróżnik odrzucił z przed kół lokomotywy.

Takie obrazy malować potrafi tylko artysta, który rozumie uczucia Nioby albo pelikana, rozdzielającego krwawe wnętrzości swoje między zgłodniałe pisklęta.

III.

Co się więc stało z tendencją „Lalki“? Zamieniła się w głęboką analizę zranionych dusz, w obraz przedśmiertnych konwulsyj pokolenia marzycieli i poetów, „ostatnich romantyków“. I właściwie niezdolniśmy powiedzieć, a sam autor również nie potrafiłby nam przyjść z pomocą — czy zajęty jest bólem, że szlachetny i piękny Unkas, ostatni z mohikanów, ginie od strzały podstępnego indyanina, czy kieruje nim żądza wykazania, jak to Mickiewicz i jemu podobni „zatruli dwa pokolenia“. Jaka chwila odzwierciadla dążenia tej wielkiej powieści: czy ta, kiedy Wokulski rzuca z wściekłością poezye wielkiego wieszczka, „aż się kartki rozleciały“, czy kiedy po namyśle ogarnia go bezbrzeżna tęsknota, dostrzega w nim bratniego sobie męczennika i ze czcią zbiera porozrzucane kartki książki? Czy artysta dumny jest że w jego narodzie tylu jest chorych nieuleczalnie na romantyzm i odpuszcza za to wszystkie winy niepraktyczności, czy boleje nad tem, że ów romantyzm jest jak kula u nóg, jak straszna zawada w płodnej pracy? Mojem przekonaniem — to pierwsze. W szyderczych portretach różnych Maruszewiczów, Szlangbaumów, gadatliwej i szarlatańskiej arystokracji nie widać dodat-

niej, budującej chęci nawracania, ile raczej rozbolełą zgryźliwość, która lubuje się w zrucaniu masek szalbierzom i nicponiom, i zraniony idealizm poety, który swe rany obnaża i pokazuje ludziom. A jeżeli tam w postaciach samych bohaterów, tj. w Wokulskim i Rzeckim, tkwi jakie rozpoznanie i historia choroby—mówiąc po lekarsku—to przyznać trzeba, że tak sympatycznej, szczytnej choroby i tak czarownych i taką cześć i miłość budzących pacjentów nikt jeszcze nie wymyślił. Dzieje się tu, słowem, jak w Hamlecie—porównanie stare, ale aż do ścisłości słuszne. U Szekspira olbrzym o skrzydłach archanioła nie umie wziąć miecza zemsty do ręki, przeto gardzi sobą i tą pogardą zatruwa wzniosłą swą duszę, a tu w „Lalce“ niemniejszy olbrzym nie potrafi uwierzyć w zdradę, plunąć w twarz wiarołomcom, a kiedy się już na to zdobywa—wszystko w nim złamane.

I tu i tam jednakowa tak zwana przez mieszczańską naiwność niemoc woli, która jest niezrozumiałą dla tłumu niemożnością wiary w ohydę ludzką, gdy ta granice prawdopodobieństwa przekroczy. I tu i tam próby uratowania się ucieczką: w królewiczu duńskim—od życia, w bohaterze polskim—od kraju rodzinnego, który go zdradą na każdym kroku poi. Proszę porównać dwa dziwnie do siebie podobne, a tak niezależne fragmenty, z których biorę po kilka myśli: „I ja miałbym tam (do kraju) wracać? Po co?... Tam praca staje pod pregiertem, a tryumfuje rozpusta... Tam prostota jest dziwactwem, a oszczędność wstydem, uczciwość równoznaczny z obłudą, artyzm symbolizuje się dziurawymi łokciami. Tam chcąc zdobyć miano człowieka, trzeba posiadać albo tytuł z pieniędzmi, albo talent wciskania się do przedpokojów. I ja bym tam miał wracać?...“

A Hamlet mówi w słynnym swym monologu „Być albo nie być“:

Bo któżby

*Ścierpiął pogardę i zniewagi świata,
Krzywdy ciemężcy, obelgi dumnego,
Lekceważonej miłości męczarnię,
Odwłokę prawa, butę władz i owe
Upokorzenia, które nieustannie
Cichej zasługi stają się udziałem,
Gdyby od tego kawałkiem żelaza
Mógł się uwolnić?*

I podobnie jak Hamlet rumieni się ze wstytu na widok dwudziestu tysięcy junaków, którzy wyruszają na wojnę do Polski, czyli dla chimery—dla

widma sławy idą w grób, jak w łóżko — Wokulski zazdrości tym „szczęśliwym, w których tylko głód wywołuje apatyę, a jedynym cierpieniem jest zimno“, i wzdryga się na myśl, że on wydaje 30000 rubli, ażeby być motylem, kiedy mógłby za te pieniądze 30 rodzin dźwignąć z ostatniej nędzy.

Ale w naszych czasach ma się już świadomość właściwej przyczyny takich porażek i cierpień nie ustosunkowanych do winy. Więc Wokulski zdaje sobie sprawę, że mu katem jest własne „społeczeństwo, a nietylko przekłeta „sentymentalna“ natura zapóźnionego amanta“. To nie sama Dalila pozbawia go potęgi Samsonowej, lecz całe plemię za nią stojące. „Oni to — mówi do Mickiewicza — są winni twoim i naszym nieszczęściom... Niedość, że byłeś umęczony przez nich, ale jeszcze miałbyś odpowiadać za ich występki?... To oni winni, oni, że twoje serce zamiast śpiewać jęczało, jak dzwon rozbity“. I tu następują gorzkie swem uczuciem i gorzkie piorunującą prawdą rozmyślenia nad narodem, w którym naczelne miejsca obsiada „pleśń podejrzaney starożytności“, a istotna praca, rozum, wola, twórczość, wiedza, idą na po— hańbienie.

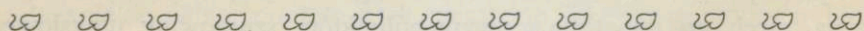
Jeżeli już kto chce szukać w „Lalce“ tego narządu, który nazywa się tendencją, niech go dopatruje w owym bólu, który szumowiny umysłowego świata nazwałyby pewnie pesymizmem...

Owa samowiedza zatacza jeszcze szersze kręgi i staje się filozoficzną. Wokulski rozumie nie tylko swój kraj ale i całą ludzkość. Przyjaciół geniuśszów, jak Geist i Ochocki, i wielkich trzeźwych inteligencji, jak Szuman, jest i sam myślicielem przenikliwym i, jak na darwinowską epokę przystało, realistycznym. Pojmuje doskonale, co to jest ewolucja i jakich strasznych ofiar i okupów jutro wymaga od dnia dzisiejszego. Tak zwana ludzkość — przekonywa go Geist — mniej więcej na dziesięć tysięcy wołów, baranów, tygrysów i gadów, mających człowiecze formy, posiada ledwie jednego prawdziwego człowieka“. Ci ludzie prawdziwi „niechaj się mnożą i rosną w potęgę, ale te zwierzęta i potwory w ludzkiej postaci niechaj zwolna wyginą“. Ale tymczasem istnieje fatalność przyrodnicza.

I oto wewnętrzna szarpanina Wokulskiego nabrała wyraźnych cech rozumnego naukowo uzasadnionego weltschmerzu, który dla wszelkiego dramatu duchowego na tle społecznym potrafi wynaleźć zarazem objaśnienie w walce o byt, który nie ma złudzeń, ale też nie odejmuje rąk od pracy nad ludzkością, bo wierzy w widomą moc rozwoju i reformy. Jeśli zaś sam bo-

hater ginie, to że ogrom krzywdy osobistej przesłania mu wszelkie nawet najrozleglejsze widnokregi. Nie jest chłodnym teoretykiem, lecz wcielonym w człowieka wulkanem, w którym kotłuje się potężnie myśl, ale jeszcze potężniej namiętności.

Wielkiego dzieła dokonał Prus, że tak połączył jedno z drugim, że zachował do końca ten spiżowy styl człowieka, a przecież ukazał przezeń czytelnikowi jak przez magiczne szkło — cały świat myśli, nowoczesnych dążeń, zapasów, karykatur, całą rodzimą anarchię uczuć, chaos małości, po którym pływają bez steru bohaterskie nieszczęśliwe dusze. Gdy próbujemy ogarnąć bezmiar ludzi i zagadnień zamkniętych w „Lalce“, zdumienie ogarnia. Stolica świata — Paryż i stolica Dantyszkowego piekła — Warszawa, odgłosy bitew i szumy orłów napoleońskich i marzenia socjalistyczne, wszystko tu się zebrało jednakowo żywe i porywające, gdy je autor wypowiada — wymowne, gdy o nich domyślnikami natrąca, łechcące aż do spazmatycznego śmiechu, gdy są przedmiotem zabawy.



Jakieś szerokie, zuchwałe tchnienie owiewa tę powieść. Harfa brzmi w niej pełnym piersiowym choć zgoła nie patetycznym tonem. Ludzie do brzy są tu ludźmi — całym i, a cierpienie — rozpaczą lub zgrzytaniem pijanem nawet w jednostkach niepokąźnych, skromnych. Zdawałoby się, że Wokulski użyczył im wielkości. Nie dziw wprawdzie, że całym głębokim człowiekiem jest Geist, głębokim mimo swej pogody analitykiem Ochocki, ale uderzający jest nadludzki heroizm starego subiekta, który w dodatku umie przeczuwać wielkości i tak wspaniale drży ze wzruszenia, gdy mu potwierdzono, że Wokulski to „człowiek szerokiej duszy“; tragiczność bije od cichej wdowiej postaci pani Stawskiej, gdy wybucha: „Nie dbam o taki świat, który dwoje ludzi skazuje na tortury, za to tylko, że się kochają... Nienawidzieć się wolno, kraść, zabijać... wszystko, wszystko wolno, tylko nie kochać... Dlaczego? Chrystus nie mówił ludziom: bądźcie rozsądni! tylko kochajcie się?“ I nawet trzeźwy aż do cynizmu Szuman, (którego autor pod koniec zmienił nie wiadomo dlaczego na spekulanta), rozdarty jest, gdy wspomina o swym niedoszłym samobójstwie i o swym nieproszonym wybawcy, który go ogłosił za

waryata i zagarnął praktykę. Pełno wszędzie mocnych policzkujących zwrotów i aforyzmów, które gdyby słyszał Połaniecki, pewnie by się okrutnie zgorszył, a jego żona zemdłałaby niechybnie, gdyby przy niej powiedział kto: „Jaka walka jest możliwa z prawem natury, według którego suka, choćby najlepszej rasy, nie pójdzie za lwem, ale za psem? Postaw jej pan całą menażeryę najszlachetniejszych zwierząt, a ona wyrzeknie się jej dla kilku psów“

Ale oto wróciliśmy do tendencyjnej epopei Sienkiewicza. Zaimprovizujmy więc sobie widowisko i postawmy przed Wokulskim — Połanieckiego, w chwili gdy ze szlachecką pewnością siebie i junkierskim animuszem nazywa „samą myśl szukania swych własnych form czci i miłości Boga“ idea głupców i pyszałków, albo kiedy drwi i dokoła siebie drwić pozwala — a czyni to bezustannie prawie — z „tak zwanej filozofii“. „Bo jak pewien asystent astronomii zaczął się gubić w przestrzeniach międzyplanetarnych, tak zgubił w nich mózg“ — a on sam, Połaniecki — „zauważył, że od filozofii ochota się psuje do roboty i że staje się niedołągą. Wówczas wziął się za uszy i zaczął na umór farbować perkaliki“. A jednak jest on z sobą w porządku, boć po co miał szukać metali lżejszych od powietrza, albo ziszczać utopie odrodzenia świata, skoro największego mistrza miał przy sobie, w Maryni. Przecież jej idea bytu pozaziemskiego jest taka, „że gdyby ją niespodzianie postawił jaki filozof, uznano by za najgenialniejszą z genialnych“. „Ludzkość klękała by z podziwu przed takim mędrcelem i taką naukową teorią“.

I nie wiem, czy by Wokulski nie odpowiedział koledze kupcowi taką samą nieprzyzwoitą propozycją jak skrzypkowi Molinaremu w hotelu — gdyby usłyszał inne znów wyznanie wiary: „Waskowski powiada wprawdzie, że my Słowianie nie potrafimy na tem poprzestać, ale to się tak gada. Że na samych pieniądzech nie potrafimy, na to od biedy (!) zgoda. Ale ja sobie powiedziałem, że oprócz pieniędzy są jeszcze dwie rzeczy: spokój i kobieta“. (Właściwie zdaje się cztery, bo jeszcze: szlafrok i pierzyna).

Ochocki zaś z pewnością odrzekłby swemi własnymi słowy: „Widzi pan — ludzie małej duszy dbają tylko o swoje interesa, nie sięgają myślą po dzień dzisiejszy i mają wstręt do rzeczy nieznanych. Byle im było spokojnie i suto. Cywilizacyi nie stworzyli ani filistrowie ani geszefciarze... gdyby rozum polegał na myśleniu o dochodach, ludzie do dzisiejszego dnia byłiby małpami...“ („Lalka“ rozdział ostatni).

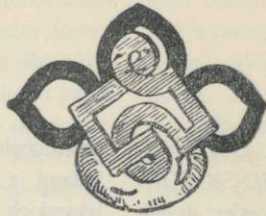
To nie niżej podpisany wydaje sąd taki na „Rodzinę”, którą wielbiciele kanonizowali—lecz Ochocki. Niechaj więc na mnie żadna odpowiedzialność nie spada. Winien też sam Sienkiewicz, który w ten sposób tworzył swoje dzieło, jakgdyby chciał dać żywe ilustracye do szyderczych zgryźliwych uogólnień „Lalki”. Ale nie, Sienkiewiczowi szło o co innego; i pragnął wyhodować piękny kwiat na glebie uczuć kupieckich epoki, pragnął wypielegnować palmę na zatrutym miazmatami mule. Jest to szczególna próba i ambicya wykazania, jaka to poezya pracy i ciepła domowego, jaka nagroda w złocie i dostatkach czeka dobrego komisyonera. Ale nie przeszło przez myśl pogromcy Zoli, że w złocie i handlu—jakiekolwiek one są—siedzą stężale łyż ludzkie i niedola. Pokopał nogami tych, od których mógł się nauczyć, że świat dzisiaj przestaje bić czołem bogu Merkuremu, że go przeklina jak Molocha, że ludzkość wprawdzie przyjmuje z rezygnacją rządy kapitału i giełdy, bo jest od nich słabszą, ale nie umiałaby już stawić im bóżnic ani opiewać ich w trytomowych epepeach. Sienkiewicz grzeszy stale nierozumieniem serca ziemi i dlatego ma odwagę rozwiązywania najzawilszych zagadnień dziejowych i społecznych bez brania w rachubę duszy milionów i pragnień milionów, ot jak prawdziwy wytwornisz, *arbiter elegantiarum*. Omija on jakoś dziwnie ten czynnik, stając się podobnym do mechanika, któryby chciał zbudować maszynę bez obliczenia tarcia. Nie wie, że ludzkość dzisiejsza żyje pod wielkim hasłem pragnienia i dążenia, które budzić jestto wydobywać z trzęsawiska. To też werki sklecone ostatnio przez Sienkiewicza wyglądają okazale, lecz na nic się nie zdadzą, błyszczą i świecą ale są martwe. Ród Połanieckich, to apoteoza ograniczonosci i poziomych pragnień — nie może więc być wzorem dla społeczeństwa, któremu i tak zastrzyknięto za dużo nasennego leku, i nie może mieć racyi bytu jako pomysł artystyczny, chyba w świetle estetyki trupów.

A jednak wzorem się stał. Snadź nasienie chwastu padło na dobre i zdawna przygotowany grunt, skoro Wokulski nie doczekał się ani ćwierci tej sympatyi. Pozostał nierozwiązaną dla większości zagadką, której nawet nie domyślają się wszechludzkiego ogromu. Widzą tylko jej stronę zabawną, feljetonową; ogół zbliżony jest w tym wypadku do starej Minclowej. Podobnie jak ona kręci głowiną z podziwienia, że komuś mającemu ciepły kąt i chleb zachciało się wystawiać piersi na kule węgierskie, — tak świat

patrzy wielkimi oczyma na bogacza, który czuje się nieszczęśliwszym od żebraka, na kolosa, co się wraz z ruinami romantycznego zamczyska wysadza w powietrze „nie wiadomo na co i po co“.

*„Merkwürdig! Der Kaffe war ja immer so gut und zu Mittag hat er sich doch immer vollgegessen... Warum hat er denn das gethan? *)*

Cezary Jellenta.



*) Rzecz niniejsza drukowana była przed pięcioma laty w „Życiu“ krakowskiem. Podaję ją teraz – z drobnymi zmianami – w przypuszczeniu, że trafi na lepiej przygotowany grunt.

KRYTYKA.

EDWARD PORĘBOWICZ. O „TRYADACH“ ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

Czasy obecne wstąpiły – mówiąc stylem reporterskim – „w znak“ Zygmunta Krasińskiego. Wnuk jego wydobył z ukrycia bardzo ciekawe listy młodzieńcze pisane do Reve'a oraz urywek tragedii p. t. „Wanda“; pp. Biegeleisen i Kallenbach publikują zapomniane lub zgoła nieznane pisma, w języku francuskim podczas pobytu w Szwajcaryi drukiem ogłoszone; prof. T. Pini drukuje nowe kompletne wydanie „Pism“; wielu młodszych badaczy wzięło się do pilnego roztrząsania „genezy“ utworów wieszczą...

P. Edward Porębowicz, profesor uniwersytetu lwowskiego, wykładający literatury romańskie, wydał pełną erudycji i bystrości rozprawę p. t. „Tryady Zygmunta Krasińskiego“ (Lwów, str. 34 formatu ćwiartkowego).

Zanim powiem o jej treści, muszę choć kilkoma słowy wspomnieć o wspaniałej księdze, z której ta broszura jest odbitką, gdyż trudno będzie znaleźć sposobność pomówienia oddzielnie o tem pamiątkowem wy-

dawnictwie, zapełnionem przeważnie artykułami z dziedziny nauk przyrodniczych, lekarskich i ekonomicznych. Oto jej tytuł, wskazujący w jakim zamiarze została pomyślana i wykonana: „Księga pamiątkowa Uniwersytetu lwowskiego ku uczczeniu pięćsetnej rocznicy fundacji Jagiellońskiej Uniwersytetu krakowskiego“ (Lwów, nakładem senatu uniwersytetu lwowskiego, 1900).

Trzydziestu czterech profesorów uniwersytetu lwowskiego złożyło się na utworzenie tego dzieła, imponującego swoją wielkością i starannością wydania.

Byłoby rzeczą nużącą podawać tutaj napisy wszystkich znajdujących się w niem rozpraw, tem bardziej, że, jak wspomniałem, dalekie są one po większej części od rodzaju moich zajęć. Uważałem tylko za obowiązek zwrócić uwagę na tę „Księgę“, bardzo mało w Warszawie znaną, o ile z czasopism sądzić mogę. Pozwolę więc sobie tylko wymienić te rzeczy, które z estetyką, filozofią, historią oświaty i literatury są w związku.

Więc znajdują się tu: „Wzruszenia pa-

tetyczne" przez *Wojciecha Dzeduszyckiego*; "O początkach i znaczeniu uniwersytetu krakowskiego w XIV/XV wieku przez *ks. Jana Fijałkę*; "Ukraińska rytmika ludowa w poezjach Bohdana Zaleskiego" przez *Aleksandra Kolessę*; "Żywot i pisma Stanisława Nigra Chrościeskiego" przez *Ludwika Ćwiklińskiego*; "Z roczników Stanisława Temberskiego" przez *Michała Bobrzyńskiego*; "Świątynia zagadkowa Lionarda da Vinci" przez *Jana Boloza Antoniewicza*; "Stanowisko kuryi papieskiej wobec koronacji Łokietka" przez *Władysława Abrahama*; "Feliks Oraczewski, rektor akademii krakowskiej, jako poseł w Paryżu podczas Rewolucji w 1791 i 1792 roku" przez *Bronisława Dembińskiego*; "Sprawy Wschodu przed Soborem laterańskim r. 1512" przez *Ludwika Tinkla*; "Udział rektorów lub reprezentantów uniwersytetów: jagiellońskiego i lwowskiego w sejmach porozbiorowych" przez *Stanisława Starzyńskiego*; "O tak zwanych prawdach względnych" przez *Kazimierza Twardowskiego*; — wreszcie wspomniana już rozprawa prof. *Porębowicza*, o której mam zamiar pomówić szczegółowiej.

A najprzód trzeba objaśnić tytuł. Co to są "tryady"? Jest to wyraz grecki, oznaczający to samo co polskie: *trójka, trójca*. Od niepamiętnych czasów liczba *trzy* odgrywała nadzwyczaj ważną rolę w pomysłach religijnych, filozoficznych i kabalistycznych, — podobnie zresztą jak liczba *siedem*. W XIX wieku Niemcy wytworzyli i rozpowszechnili tak zwaną *metodę dyalektyczną*, opierającą wszelkie rozumowanie na upatrzeniu w myśleniu (a zarazem i w rzeczy, zjawisku, które z myśleniem stanowi, według nich tożsamość) trzech koniecznych momentów: *tezy, antytezy i syntezy* (twierdzenia, przeczenia i kojarzenia). Metodę tę przyjęli i nasi

filozofowie, a jeden z nich, August Cieszkowski, nazwał ją największym wynalazkiem stulecia, mającym znaczenie wiecznotrwałe.

Zygmunt Krasiński od pewnej chwili swego duchowego rozwoju przyjął także nie tyle metodę dyalektyczną, ile raczej system trójkowy i układał pomysły swe w szeregi, w których liczba trzy stała się powtarzała.

Byli badacze, usiłujący dopatrzeć tej trójki nawet w samym zestawieniu wielkich utworów Krasińskiego. Twierdzili np. że "Niedokończony poemat" mógł tworzyć pierwszą część *trylogii* jako obraz przeszłości i obecności; "Nieboska komedia" miała być wyrazem końca tej epoki, w której żyjemy; "Irydion" miałyby wyobrażać "tego ducha, co w gruzy rozbijał świat starożytny, który znów kiedyś odżyje w innych historycznych warunkach i wśród innego narodu" i t. p.

P. Porębowicz słusznie odrzuca takie i tym podobne domysły, którym chronologia utworów kłam zadaje; jego zdaniem dopiero w "Trzech myślach pozostałych po ś. p. Henryku Ligęzie" Krasiński wyraźnie i stanowczo przeprowadził system trójkowy. Wbrew atoli poglądom dotychczasowym, p. P. stara się dowieść, że pierwsza z tych Myśli, mianowicie "Syn cieniów", powstał nie pod wpływem Cieszkowskiego, lecz wcześniej, pod bezpośrednim wpływem poezji i filozofii niemieckiej, zwłaszcza Hegla.

"Syn cieniów" — to "system Hegla pochwyciony w rysach wybitnych" — mówi p. Porębowicz, tak rozwijając treść w związłym a chropawym poemaciku zawartą "*Duch świata*" mocą nieświadomego popędu odłączył się, wyłonił z ciemni Absolutu. Najprzód objawił się jako siła natury, jako jeździec organiczny, jako pół-człowiek, pół-natura (Tytan), biorący z chmur i z powietrza pożywienie, aż wreszcie uświadomił się

w inteligencji, wołając: *jestem!* t. j. przyszedł do świadomości swojego Ja. Tu zaczynają się dzieje człowieka historycznego. Naprzód poganin czy żyd, znający Boga *tylko gniewu Panem*; dalej chrześcijanin, rządzący się prawem wiary, miłości, dobrowolnego cierpienia; wreszcie człowiek i ludzkość doskonalsze, wszystko rozumiejące, wszystko czujące, kojarzące wolę z czynem, w pełni trzech władz duszy: uczucia, rozumu i woli. Już się wyaniela, już w ciągłej przemianie kolei porzuca ziemię i cielesny strój, przeradzając się, nie umierając. Ale choć postąpił w udoskonaleniu, *duch świata* zna jeszcze swą odrębność od Absolutu, z którym niegdyś tworzył był jedność. Jednak i ta odrębność jest przejściowa. Nastąpi zatem zlanie się dwu świadomości: Ducha absolutnego (czyli Boga) z Naturą. Wtedy też poznasz swoją tożsamość z Absolutem; zrozumiesz, żeś zawsze był tym samym, lecz nieprzebudzonym (nieuświadomionym), bo formy bytu wydawały ci się *objektywne*, nie zaś *subiektywne*. Teraz jednak poczniesz żyć życiem pełnym, *boś uczuł, żeś razem — potęgą marzeń i marzeń obrazem* t. j. żeś równocześnie *podmiotem* i *przedmiotem* świadomości. Wszystkie dusze indywidualne stały się podobne tobie t. j. jak ty stały się duszami świata i tak *Duch świata*, z nich wszystkich zebrany, powrócił do Absolutu.

Na ten wywód zasadniczej myśli, zawartej w „Synu cieniów“, zgodzić się można, z tą chyba poprawką, że odpowiedniejszym, zdaje się, poglądom Krasieńskiego uważanie „Syna cieniów“ za *człowieka* raczej, niż za *ducha świata*; wszystkie wyrażenia poematu lepiej nawet w ten sposób zrozumieć się dadzą.

Ale co zadziwia, to twierdzenie p. Porębowicza, jakoby w „Synu cieniów“ nie

było wcale „ech panteizmu“. A toż przecie wykład jego znaczenia, podany przez autora, najdowodniej właśnie stwierdza całkiem panteistyczną dążność; jeżeli człowiek, czy duch świata, utożsamia się z Absolutem („tem są na końcu, czem w początku były“) — to już chyba nic innego nie znaczy jak panteistyczne pojmowanie Wszechświata. Jedynie zstąpienie człowieka, czy ducha świata, na ziemię, ucieleśnienie się Idei, wyrażone słowami: „moc go nieznaną z ciemni wyrzuciła“, mogłoby nasuwać niejaki wątpliwości, ale ponieważ wogóle przejście Idei absolutnej w „innobyt“ jest i w filozofii najtwardszym do zgryzienia orzechem, nie możemy się dziwić poecie, iż je zbyt nieokreślonym ogólnikiem.

P. Porębowicz jeszcze dalej przeprowadza analogię „Syna cieniów“ z systemem Hegla, lecz tu wtóżyć mu już nie mogę, chociaż do tego dalszego wywodu autor zdaje się przywiązywać wagę największą. „U Hegla — powiada p. P. — Duch absolutny z jednej strony jest ideą wieczną, rozwijającą się w świecie: jako taki jest *Ojcem*. Jest następnie ideą uświadomioną; jako taki jest *Synem*. Jest nareszcie ideą urzeczywistniającą się w powszechności: jako taki jest *Duchem*. Stąd u Krasieńskiego tryumfalne zakończenie historii Ducha Świata jego *przemianą w Trójcę* o trzech własnościach teologicznych, jakimi są: rozum, miłość, moc.“ Otóż właśnie w poemacie Krasieńskiego jest mowa o Ojcu i Synu, ale o Duchu św. niema wzmianki; końcowy zaś wiersz: „*teraz myśl, Kochaj, stwarzaj*“ nie wyraża bynajmniej własności poszczególnych: Ojca, Syna, Ducha; ale wypowiada trzy różne sposoby objawiania potęgi swej przez jeden jedyny Absolut „Duch ten sam, jeden, na wieki i wszędzie, co *jest* już teraz, — ni był, ani będzie“...

„Snu Cezary“ nie dotyka p. P. w swoim rozbiornie, śpiesząc do rozejrzenia się w nowej trójce, obejmującej pogląd na rozwój dziejów ludzkości. Jako pewne do niej przygotowanie, wspomina o odróżnieniu w człowieku trzech składowych części: *ciała, duszy i ducha*, nazywając to „mniej powszechną tryadą“, bo jak mniema, zjawiającą się tylko u Platończyków i Katasów (bulgarskich Bogumiłów). Zjawiała się ona częściej, bo wyznawali ją gnostycy, Orygenes, św. Augustyn. U nas Aleksander Tyszyński, który na tej tryadzie oparł dwutomowe dzieło: „Pierwsze zasady krytyki powszechnej“ (1870) zestawiał odpowiednie cytaty ze źródeł (na str. 64, 65 tomu I-go) swej książki, udowadniając, że w przyjęciu takiego poglądu niema nic heretyckiego.

Co do podziału dziejów ludzkości na trzy epoki, a szczególnie co do zapowiedzianego przez wieszczę – nadejścia Kościoła św. Jana, zakonu miłości lub Kościoła Ducha św., p. Porębowicz daje bardzo interesujące wyjaśnienia. Wykazuje on mianowicie, że pierwotnym źródłem wiary romantyków w epokę św. Jana, jest dzieło opata Joachima z XII wieku p. t. „Wykład Apokalipsy“ (*Expositio super Apocalypsim*). Znajduje się tu podział historii na 7 epok, usymbolizowanych w 7 pieczęciach Objawienia św. Jana. Epoka szósta zaczęła się jakoby w czasach Joachima. Z epoką siódmą dopełni się Tajemnica Boża i zamknie się historia człowieka, podobnie jak dniem siódmym zamyka się tydzień stworzenia świata. W tej siódmej epoce tłumaczenie literalne Ewangelii zostanie zastąpione wykładem duchowym, wyobrażonym w Apokalipsie tęczą okalającą siódmego anioła; aniołem jest Duch św. lub Inteligencya pełna Ducha św. Epoka ta będzie wyższym stopniem w dziejach świata, ponieważ *Duch*

jest wyższy od *Słowa*, które wcielając się przybrało postać niewolnika. Przyniesie ona pełność łask, będzie okresem wolności i miłości.

Pomijam dalszy rozwój tej teorii aż do społecznych Krasińskiego: Goerresa i Schellinga, od których poeta nasz mógł ją przejąć bezpośrednio. Poprzestanę jeno na przywiedzeniu wskazówki p. Porębowicza, dotyczącej możliwego wpływu powieści *George Sanda*: „La comtesse de Rudolstadt“ (1844) na „Niedokończony poemat“. Są tam opisane i praktyki wolnomularskie i tradycyjnie przechowywane teorie „Ewangelii wiecznej“, t. j. swobodniejszego, śmielszego tłumaczenia zasad chrześcijańskich. Znajduje się tam i owa nieraz szeroko u nas roztrząsana „próba grobu“, jest i „puhar życia“. Ale w tem potrzeba mieć także na pamięci wykazane przez prof. Pinięgo wpływy dramatyka romantycznego, Zacharyasza Wenera.

P. Porębowicz spełnił świetnie zapowiedziane przez siebie zadanie śledzenia pomysłów trójkowych Krasińskiego od form „najdalej dostrzegalnych w literaturze powszechnej“; lecz drugiego zadania, polegającego na tem, żeby wykazać, co w owych pomysłach, „godne stanąć nie tylko *nad swojską*, ale również *nad obcą poezją*“, prawie nie tknął. Końcowych bowiem, entuzjastycznych, lecz ogólnikowych uniesień nad Krasińskim jako nad postacią „w duchowym rozwoju tak skończoną, tak dopowiedzianą, a pośród społecznych pisarzy tak ustopniowaną, że zdumiewać się przychodzi, dlaczego dotąd w dziejach literatury wszech europejskiej srebrna smuga tej idei nie jest wyznaczona“ – za dowód poczytywać niepodobna. W wykładzie krytyka widzieliśmy na każdym niemal kroku wykrywanie podobieństw, pokrewieństw, dalszych

lub bliższych pożyczek, ale uwydatnienia samoistności pomysłów – nie mówię o szczegółach, częstokroć formalnych tylko – dojrzeć nie zdołałem. Samej bowiem idei „ofiar” za taki samodzielny przyczynek nie uważam, gdyż idea ta również nie tylko dawniej, ale i w naszych czasach, i w naszej literaturze nieraz była wygłaszana.

Bądź co bądź, w tem, co p. Porębowicz zrobił, widzę znaczny krok naprzód w wyjaśnieniu twórczości Krasińskiego i w pogłębieniu naszych nad nią studyów. Całość pisana żywo a niekiedy obrazowo.

P. CHMIEŁOWSKI.



LES SOLILOQUES DU PAUVRE.
LES DOLÉANCES PAR JEHAN RICTUS.

Smutny i bladej „une larme noire” o czarnej bardzo śpiczastej brodzie, podobny do upiora, o którym śpiewa, Jehan Rictus w *Cabaret des Quat'* z Arts wypowiada swe solilogi.

Są to skargi ubogich, ma się rozumieć. Nędzarzowi poświęca poeta wieczną swą liłość, wieczną pociechę. Przyszedł on z ulicy. Ulica jest jego domem, i o jej zgrzytach i melodyi, o jej łzach i śmiechu on śpiewa.

Przed oczami naszemi śmieje się procesja uliczników, kwiaciarek, sutenerów, robotników, wydziedziczonych, z których każdy odzywa się swym własnym językiem. Rictus pozwolił się ulicy wygadać. Paryż cały wsłuchany w tę pieśń najpierw się zawstydził, później zgrozą przejął. Wszystkie inne wiersze naraz wyszły blade, jak zmanierowane kłamstwa.

Tak wyglądają kwiaty z papieru wobec płonących róż purpurowych.

Niektórzy poeci rzucili się zajadle na smutnego Jehna, inni wzięli się do naśladownictwa.

Jak wymownie i cierpko kreśli on ból ludzki! Nikt się tym dźwiękom głębokim, słodkim i gwałtownym oprzeć nie zdoła!

„Zdruzgotanym życiem, weteranom cywilizacji, najgorszym wyrzutkom społecznym, Rictus ofiaruje wjatyk słodczy, wino współczucia, komunię łyzy braterskiej” (Tailhade).

Kto chce zajrzeć do piekieł nędzy współczesnej, niech za przewodnika użyje najbardziej żywego z artystów. Nędzarz dość był przez pisarzy wyzyskany, pieśni, romanse, dramaty, roją się na jego skórze, łyzy krokodyle i woda święcona zdobią filantropa-literata.

Rictus jest wcielonym ludem, który śpiewa o nocy wiosennej:

*L'Flamboyant flanche et va s'plumer
Et la première E'toile a brillé
Comme un regard de pauvre fille
Dont l'amour s'rait pas estimé.
J' vas pas pus loin, mon tas chancelle
Mes paturons y sont trop las
C'pendant tout vit, éclate, ruisselle
Ça sent la vierge et le lilas.*

Powoli, upojony wiosną, poeta wpada w szal.

Wyje:

*V'la Lazare qui veut s'couer sa cendre
Et flamber l'Monde à coup de linceul.
La liberté? Ou je vais la prendre?
J'vais être mon bon Guieu moi tout seul!*

W tych czterech wierszach drga cały program zniszczenia, okrzyk zdolny wyrwać

z uspienia gromady burżujów i zniweczyć namaszczonej obłudę uznanych poetów.

Dumny piewca paryskich *out law* w swych wybuchowych strofach zdradza bunt i bóle, zwatpienia i groźby czerni.

L.



JULJANA KLACZKI PISMA POLSKIE W UKŁADZIE I Z OBJAŚNIENIAMI FERDYNANDA HOESICKA.

Czy dyplomata-polityk, może być genialnym pisarzem? Myślę, że nie. Chociaż więc p. Hoesick nie szczędzi Juljanowi Klaczkę najwyższych literackich tytułów — nie przekonują nas bynajmniej *swóim* pietyzmem o *jego* genialności.

Wielki pisarz musi być przedewszystkiem pisarzem szczerym, nie tą szczerością, która polega na wypowiedaniu się nie obłudnem i wyrażaniu ukrytych na dnie duszy uczuć, odrzucaniu etykiety stylowej i t. p., lecz szczerością natury, przemawiającej przez człowieka bezpośrednio i bezwzględnie, a więc bez oglądania się na potężnych tego świata, na ludzi i grupy, rozdające zaszczyty i szczęścia, na społeczeństwo, na oderwane wymagania poprawności, konsekwencji ścisłej a człowiekowi żadnemu niedostępnej. Można *chcieć* być szczerym i posiadać wszystkie dane moralne do tego potrzebne: odwagę, dobrą wolę, rachowanie się jedynie z własnem sumieniem, a mimo to *nie być zdolnym* do takiej szczerości — dla czego? Bo przeszkadzają związki i przyjaźnie ze sferami, urodzonymi w kłamstwie i dla kłamstwa, bo np. wpływy zbyt „politycznego“ i „dyplomatycznego“ otoczenia zanadto słodzą

i dresują duszę, i nawet wtedy jest ona zamknięta na kilka kłódek, kiedy myśli, że otworzyła się światu jak świątynia i pokazała wszystkie swe tajemnice.

Juljan Klaczko jest niewątpliwie osobiistością jedną z najniezwyklejszych, a przecież genialnym nazwać go nie podobna. Właśnie dla tego, że do duszy jego niepodobna zbliżyć się z zupełną ufnością, że w jej głębi, poza ołtarzem, trzeba się domyślać sztuk magicznych, robiących nabożeństwo. Za jego arką przymierza — za dużo przymierza z dworakami i eleganckimi frazeologami, za wiele ciężenia ku tym, którym najbezpieczniej nie ufać nigdy. I to — mimo wszystkie pozory żywiołowości w organizacyi Klaczki, mimo to, że nie jest ani wyszlifowanym, ani do zbytku przyzwoitym. Owszem, umie się gniewać, drwić. Ktoś z chcących się do niego zbliżyć (Andrzej Edward Koźmian) swego czasu, narzekał — prawda, że były to czasy młodości — że on „naród, wszystko i wszystkich potępia“. Umie być namiętym, jak w filipice przeciw Mierosławskiemu, szyderym i prawdopodobnym a nawet brutalnym, jak w ocenianiu Odyńca, którego za strojenie się w cudze pióra nazywa „bezczelnym“; potrafi być europejsko-górnym, śmiałym, jak w przenikaniu i demaskowaniu Bismarka. Wogóle, posiada wszystkie znamiona umysłu silnego, nieprzejednanego, skłonnego do krańcowości i wybuchów, nienawidzącego szowinistycznych próżnostek i *polakeryi*, zdolny jest oburzać się i nienawidzić, nieraz rzuci nawet jowiszowy grom, a nawałą energicznego języka i szarżą świetnych porównań druzgocze i miażdży — a przecież... Nie! naprawdę, wielka to szkoda, że mimo te wszystkie bogactwa zostaje obcym każdemu mocniej bijącemu sercu. I nieprawdą jest, co p. Hoesick cytuje za jakimś bezkrytycznym i bodaj

nieprzytomnym chwalcą *Rzymu i Odrodzenia*, że księga ta „niesie na zachód piękne świadectwo polskiej literaturze, niesie i rozśławia imię polskiego autora, a jednocześnie i polskich czytelników rwie w błękity.“ Do błękitów daleko – bliżej znacznie do wątpliwości, które dzieło to swą starą, nieciekawą formą i treścią w nas budzi.

Kiedy się czyta zebrane przez p. Hoeticską pisma polskie autora „Wieczorów florenckich“, doznaje się szczególnego wrażenia. Są to odkrycia – odkrycia prób znakomitego stylu, którego, przyzwyczajeni do wytwornej, ale zbyt wytwornej francuzczyzny Kłaczkowej – nie spodziewalibyśmy się. Są to rzuty tętniące krwią i absolutnie dalekie od przypuszczanej przed tem „bladoci“, ogromna energia i jędrność i zupełna swoboda subtelnej giętkości języka. Jaka szkoda – powtórzyć trzeba – że ten niezwykły talent, który pojedynczo, w różnych miejscach, rozsypał tyle złotego pyłu wielkiej mądrości politycznej i bystrych sądów estetycznych, w całości, w sumie, został gdzieś na chłodnym uboczku i bez żadnego bodaj wpływu na inteligencję twórczą ogółu!

Zdaje się po prostu, że w duchowej i towarzyskiej atmosferze, którą oddychał – jałowiały żywotne bardzo siły, stawały się siłami przeznaczonymi dla tej właśnie atmosfery, dla tego właśnie środowiska, a więc do niego przystosowanymi. Niekiedy ma się nawet wrażenie o jeden stopień wyższe: że i wobec tego środowiska musiał bywać niezależnym i zgrzytliwym i nie bać się dysonansów, ale niekiedy tylko, i że wogóle nie doszedł do syntezy wewnętrznej, mocnej i dosyć skutecznej – własnych zadatków natury z sugestjami i natchnieniami sfery.

Klaczko jest pod ciężarem innego jeszcze, drugiego arystokratyzmu – historii, za dobrze ją zna; za nadto jest ocytany w tem

wszystkiem, co dotyczy przeszłości, zwłaszcza klasycznej. Śród ludzi – mumij i śród dzieł, nieco podobnych mumiom, zatracił poczucie terażniejszości i zwłaszcza przyszłości. Obstawę przy zarzucie, który uczyniłem mu w swym życiorysie Dantego – że go traktuje jako olbrzymią, ale stylową archaiczną jeno postać, a nie czuje w nim człowieka jutra – prawdziwego geniusza – dla przyszłych pokoleń. Klaczko – chcąc czy nie chcąc – jest *laudator temporis acti*. Mając doskonały polot dla zrozumienia typu prometeuszowego, ostatecznie grzeszy czemś wprost odwrotnem – epimeteizmem (wyrasza przez niego samego używany). Nie rozumie jutra. Stąd też fatalne spudłowanie w sądach o malarstwie polskim. Sprobował wróżyć – i próba prorocza wypadła śmiesznie, bo wbrew przepowiedni – malarstwo polskie przyszło, jest, żyje i żyje mocno. Klaczko okazał się *nie rozumiejącym* sztuki i artyzmu. Jest to sympatyczne, że p. Hoeticska mimo swoje uwielbienie podkreśla tę znamiennej omyłkę.

Nadmierna erudycja i zapatrzenie się w dawne wzory bez ściśle indywidualnego smaku i kryterium – przeważają nad oryginalnością gustów i sądów. Więc Klaczko wyśmienicie objaśnia, interpretuje to, co ma ustalony walor w probierni historii sztuki – ale nowych wartości nie odkrywa, a uznanych nie zmienia.

Nadmiernie oszalałająca pamięć tekstów – paraliżuje w Klaczce zmysł bezpośredni. Pamięć to fenomenalna, zasypująca cytatami, bardzo *à propos*, bardzo zręcznymi i w dobrym guście, ale bardzo irytująca. Ciągłe repetytorium Homera i różnych klasyków. Z tej to rozkoszy cytowania – powstały *Causeries florentines*. Ona też w końcu sprawiła – że pisarz mocny i dosadny stał się, jak powiedziano w jubileuszowym

potwierdzeniu doktoratu przez wszechnicę w Królewcu — przedewszystkiem *scriptor elegantissimus*.

Ale tej charakterystyki dosyć. Chodziło mi w niej głównie o to, ażeby do właściwej miary sprowadzić *geniusza*, ale i ochronić przed bagatelizowaniem jego pisma polskie, rzeczywiście ciekawe i opłacające pracę p. Hoesicka. Rzecz prosta, iż krytyka samych utworów, w książce tej zebranych, (Pierwiosnki poetyckie. Lenora i Ucieczka. W obronie szkoły polskiej w Paryżu. Arty-

kuły w *Wiadomościach Polskich*. Korespondencya Mickiewicza. Notatki z podróży. Eustachy Januskiewicz. O Sienkiewiczu) byłaby opóźniona i bezcelowa — warto ją poznać jako cenne dokumenty, przyczynki do charakterystyki kilku ważniejszych momentów historii i literatury i jako rysy pisarza, który żył w samym wirze światowej polityki i literatury i jest jej okazałem i w dużym stylu odbiciem.

CEZARY JELLENTA.



Kronika Sztuki.

KONKURS IM. HENRYKA SIENKIEWICZA.

Rezultat rozstrzygniętego w d. 12 lutego konkursu dramatycznego imienia Henryka Sienkiewicza przedstawia się ilościowo wcale dodatnio. Zśród obfitego żniwa nadesłanych utworów (z górą 80) wysunęło się na czoło kilka, posiadających zdaniem jury konkursowego trwalszą literacką i sceniczną wartość. W plonie tym wszakże sędziowie nie znaleźli żadnej pracy, któraby, odpowiadając skali ich etycznych i artystycznych poglądów i upodobań, zasługiwała—w myśl warunków konkursu, jako rzecz „bezwzględnie dobra”—na uwieńczenie pierwszą nagrodą (1000 rs.). Wobec tego, postanowiono—co z uznaniem godzi się zaznaczyć—całą sumę, znajdującą się w rozporządzeniu komitetu, rozdzielić między czterech autorów, a mianowicie:

Rubli 400 przyznano p. Tadeuszowi Rittnerowi za czteroaktowy dramat p. t. „Maszyna“, trzysturublowe nagrody zaś otrzymały sztuki: a) „Sprawa Kępiny“ — Edwarda Grabowieckiego; b) „W noc lipcową“ — Bolesława Gorczyńskiego; c) „Mocarz“ — Stanisława Brzozowskiego. Niezależnie od tego wyróżniono utwory: 1) „Ananke“ — Mieczysława Hertza; 2) „Car Dymitr“ — Zerbillo-Wolaski; 3) „Syn“ — Emmy Jeleńskiej; 4) „Spadkobiercy“ — Gryfa; 5) „W odmeście“ — Wład. Palińskiego.

Wszystkie te sztuki wyszły z pod pióra przeważnie młodych i mało jeszcze znanych pisarzy; większość autorów — to debiutanci na niwie dramatopisarskiej. Z wyjątkiem bajki greckiej „Ananke“ i dramatu historycznego „Car Dymitr“, akcja pozostałych utworów rozgrywa się na tle życia współczesnego. „Sprawa Kępiny“ i „W noc lipcową“ są dramatami ludowymi; obie te prace odznaczają się, podobno, dużą prawdą życiową. Jeśli tak jest w istocie, literaturze dramatycznej przybyły dzieła wartościowe. Czas już najwyższy po temu; nieomal bowiem wszystkie utwory sceniczne, gdzie występuje lud, cechuje obrzydliwy i banalny szablon: prawdę psychologiczną zastępuje

ocukrzony frazes teatralny, duszę chłopca imituje niefortunnie ladajaki kostjum i zmanierowany taniec dożynkowy. — Czy i o ile nagrodzone sztuki posiadają istotnie nie efemeryczną wartość — wartość, która ostoi się dniowi jutrzejszemu — pokaże niedaleka przyszłość; tyle już znamy pomimowolnych przecenień i niedocenień sądów konkursowych, tyle opatentowanych i rozreklamowanych dzieł konkursowych pochłonęły lotne piaski niepamięci!... Przyopuszczenia te nasuwają mi losy „Sprawy Kępiny“, jak dotąd, jedynej sztuki nagrodzonej, która ujrzała światło kinkietów; dramat ten, postawiony orzeczeniem sądu konkursowego na drugim miejscu, nie wywarł zbyt dodatniego wrażenia ani na krytyce ani na publiczności. Być może, iż przyczyniło się ku temu w znacznej mierze i samo wykonanie na scenie łódzkiej; z czasów gościny tego teatru w Warszawie, zapamiętaliśmy, iż obok braku rozumnej, świadomej swych celów i środków, reżyseryi—achillesową piętą przedsięwzięcia jest gruba, posilkująca się jedynie czysto zewnętrznymi sztuczka-mi gra aktorów.

Charakterystycznym jest, iż podczas, gdy na poprzednim konkursie dramatycznym imienia Paderewskiego palmę pierwszeństwa w postaci 1-ej i 2-ej nagrody zdobyły poematy sceniczne — reprezentowane przez dekoracyjne, bynajmniej nie czarowne „Zaczarowane koło“ Rydla i raczej wybieloną aniżeli „Białą gołąbkę“ Józefata Nowińskiego — na omawianym konkursie dwa dramaty wierszowane: „Ananke“ i „Car Dymitr“ zyskały jedynie odznaczenia. Dzięki gadatliwości, czy też uprzejmości sędziów konkursowych, wiadomo, iż oba te utwory, zwłaszcza „Ananke“, odznaczają się mnóstwem istotnych zalet artystycznych. „Car Dymitr“ jednak nie odpowiadał warunkom konkursu, „Ananke“ zaś — i tu mimowoli uśmiech przychodzi na usta — przepadła, ponieważ uznano, jako w indywidualnym tym dramacie lka nie dość religijna, czy też nie dość chrześcijańska dusza; trzykrotnie głosowano, czy utworowi temu przyznać pierwszą nagrodę, i za każdym razem duch zdrowego swojskiego utylitaryzmu moralnego zwyciężał... Ewoe rogakowo-celny system ochraniańia zdrowia publicznego!...

Co się tyczy trzech innych sztuk odznaczonych, to, zda się, długiego życia, wróżyć im niepodobna; „zdrowia“, naiwności i ubóstwa może w nich i jest wiele, ale talentu stanowczo mało; są to utwory, które grać można, ale których wystawiać nie warto ani ze względów materyalnych, ani ze względów moralnych... Zdanie to potwierdza wystawiona w Łodzi sztuka p. Pa-lińskiego. Gdy czytaliśmy sprawozdanie o tej naiwnostce, mimowoli nasuwało się nam pytanie, co tu właściwie imituje literaturę? reporterskie paszkwi-larstwo, czy też pozbawiona jądra logicznej myśli humorystyka brukowa?

Konkurs Sienkiewiczowski ciekawy jest jeszcze pod innym względem: oto na jednego z nagrodzonych autorów, p. Stanisława Brzozowskiego, rzuciła się zajadle reporterya, dowodząc mu, iż niema prawa krytykowania nie-taktu literackiego H. Sienkiewicza. Zapewne, psuje to nastrój i mąci słodki sen rodzinny. Niektóre z konkursów warszawskich zdobyły sobie szeroką popularność poza granicami kraju... Można więc żywić nadzieję, iż na przy-szłym konkursie przedsiębrane będą środki ochronne, mające na celu niedo-puszczenie żywiołów niechętnych do nagród i odznaczeń. Kto wie jednakże,

czy w takim razie nie zajdzie potrzeba ogłaszania konkursów na rzeczy odrzucone z konkursu?

A. ŁAWICZ.



WYSTAWA GOYI.

Kiedy u Ropsa zawsze i wszędzie gracya — u Goyi zgrzyt, groteskowość i szyderstwo.

Obadwaj są do siebie podobni w tem, że obadwaj stworzyli swoje osobne, własne światy.

Osobny, indywidualny sposób patrzenia na świat, w sensie filozoficznym, i sposób widzenia, w sensie malarskim—równa się stwarzaniu własnego, osobnego świata.

W takim świecie odrębnym — panuje pewien zasadniczy typ, który się przebija po przez tysiące osób, wyszłych z pod pióra, pędzla lub dłuta artysty. Każdy prawdziwy, wielki twórca stwarza swoją rasę antropologiczną—żyjącą niby w czwartym wymiarze, a więc żyjącą idealnie i przeto wiekuiście. Nie koniecznie musi to być rodzaj albo gatunek wyższy od ziemskiego, doskonalszy (nasuwa się dopełnienie: po platońsku wzorowy); przeciwnie; może też być on brzydszym, gorszym, podlejszym, zarówno jak mocniejszym lub słabszym, ale ma tę przewagę, że żyje na zawsze, że jego wyobrażenny typ nie podlega śmierci. Ma i drugą przewagę, właśnie tę brzydotę; albowiem niczem innym nie jest ona, jak fizygnomią niecodzienną, nieurzędową, *nieklamana* duszy ludzkiej i rodzaju człowieczego. Jest to fizygnomia, którą szarość dnia powszedniego i krótkość naszego wzroku codziennego i obłuda konieczna życia i społeczeństwa — pospołu zakrywają, zapylają i zaciemniają. Jest też często, naodwrot, omgławieniem idealnem i otęczowaniem, onimbowaniem rodzaju ludzkiego—mianowicie bywa to wtedy (Maeterlinck), gdy rzeczywistość sama ma wzrok ordynaryjny, brutalny. I w ten sposób świat figur, stworzony przez twórcę i złożony w jego dziełach, jest w gruncie rzeczy światem naszym, ale dojrzanym objawieniowo z innej strony, od strony istoty, a nie pozorów, od strony głębi a nie z powierzchni. Artysta go takim widzi nie dlatego, że został namaszczoney przez „absolut”, bo ten, zdaje się, nikogo namaszczać nie lubi, lecz że ma dar widzenia rzeczy w niepodległym promieniu swoim, w oświetleniu szczególnem, w słońcu lub mroku swoich uczuć. Ilu twórców—tyle takich oświetleń, tyle takich wyobrażeń globów i rodzajów ludzkich.

W przestworzu sztuki, zaludnionem kilkoma wielkimi rodzajami dusz—przez Danta, Szekspira, Michała Anioła, Lionarda da Vinci, Wagnera, Böcklina, Ropsa, Maeterlincka — rasa stworzona przez Goyę ma swój obręb, jeden z najdziwaczniejszych i najbardziej indywidualnych. Jest to rodzaj człowieka jeden z *najszeptniejszych* dla oka, najbardziej brutalnych i zgrzytliwych dla duszy, najbardziej policzających dla sumienia, najbardziej szyderczych dla—dumy ludzkiej, najbardziej druzgoczących dla — chwały.

Zarówno u Goyi jak u Ropsa, który mu bezwątpienia bardzo dużo zawdzięcza, jest coś złego, krzywego, *lewego* i posępnego, co przenika wszystko, ich koloryt czarno-biały, ich linie, ich z zaświata goryczy i szyderstwa zawiane ślady na twarzach. U Ropsa ten posmak ludzkości — kanalii występuje bądź w twarzach wyranżerowanych lafirynd, kuplerek, prostytutek, kumoszek, jezuitów, różnych *buveuse's d'absynthe* i całej chorobie i „świńskości“ grzechu — bądź znowu w sposób majestatyczny i prawdziwie metafizyczny, w szatanach obsiewających świat spermatozoidami, w pochodniach fallusa, i jego kulcie, bezwzględnie nagim, miażdżąco brutalnym, w djablach, porywających kobietę — czarownicę na sabat. Ale u Ropsa zdarzają się przyspiewy i przydźwięki harmonii w przedziwnym rysunku ciała kobiecego i wogóle w rysunku pięknym i lekkim aż do muzyczności. Jego karykatura nie stoi wykrzywieniem konturów, lecz układem figur i scen. Kult ciała pięknego i rysów pięknych zostaje nienaruszony.

Często też przy całym unikaniu erotyzmu sugestyjnego i pornografii — nie może się im — jak prawdziwy paryżanin, jeżeli nie z krwi, to z ducha — oprzeć.

Często jestto demonizm Berlioza z całym przywiązaniem do logiki i czystych, przejrzystych, łacińskich kształtów — nigdy zbyt mistyczny ani zagadkowy.

Dzięki temu posiada wspaniałość, szerokość polotową wielkich kompozycji wszechświatowych, kosmicznych, tak że w jego szatanie trzeba podziwiać królewskie skrzydła, przepotężne i majestatyczne unoszenie się nad światem, kształty Herkulesa.

Jeśli świat postaci Ropsa stworzony jest i rządzony przez szatana w przymierzu z kobietą — czarownicą i absyntem, — tedy świat Goyi stworzony jest przez małpę w związku z osłem. Sceny z walki byków, okropności wojny, satyry na kler i politykę — wszystko to jest przede wszystkim brzydkie, brzydkie jednakowo, skarykaturowane, przedrzeźnione. Ludzie Goyi to goryle, podziwiałe swą urodę w lustrze. Goya — jest takim lustrem. Same postaci krępe, jakby umyślnie niedorysowane, tak że za mało jest powiedzieć o nich: dosadnie naturalistyczne. Głowy o dziecinnie wprost i po cyrkowemu pokrzywionych i kosmatych czołach, nosach, gębach, podbródkach — fantastycznie przygodne, jakgdyby połączenie człowieczeństwa z potwornością zwierzęcą, figury stłoczone jedna na drugiej, a pod trzecią — kłębowiska ciał ludzkich, sowych, oślich, symboliczne i niezrozumiałe skojarzenie gatunków zoologicznych, aż do tego dochodzące, że są to nieraz jakby żartobliwe ilustracje do bajek lub groteskowych przypowieści dla dzieci; symbolika bezceremonialna — nie szukająca zręczności ani konceptu, brutalnie naiwna. Potrzeba ośmieszyć? — przypina ogromne ośle uszy, obnaża to, co nieprzyzwoite, rozkracza.

Te ruchy wszystkich nawet młodych są ruchami starych bab-zebraček, ohydnych, wstrętnych, — wszystko o liniach takich, jakbyśmy oglądali je w wodzie lub płynie, szczególnie załamującym promienie światła.

Rops jest artystą z ogromnym sentymentem — Goya pozbawionym zupełnie pozornego uczucia. Tamten budzi nastrój grą odcieni czerności, troskliwie kombinuje i układa tony, ażeby budziły pewne uczucie, a jeśli nie

uczucie to usposobienie — ten jest zasadniczo i generalnie oschłym i okrutnym. Pospolicie mówi się o jego satyrze na ciemne moce Hiszpanii, o jego frondzie artystycznej przeciw klechom, wojnie, dynastji, inkwizycyji. Jego olbrzymie cykle, sądząc z treści, zdają się być potwierdzeniem tej anegdoty — mówię anegdoty, albowiem dokumenta biograficzne nie mają dla mnie wobec procesów duszy artysty większego znaczenia nad anegdotę.

Ale w takim razie przyznać trzeba, że z owej tendencyi zbuntowanego teatrem łotrów i zwierzęcości — myśliciela zostały w sztuce jego tylko ślady *przewrotne*. To znaczy, że, niby sam hycel, mówi o nich językiem krew pijącej Hermandady i tak się podszywa pod obojętność i chłód kafa, fanatycznego oprawcy, grabieżcy, łupieżcy, gwałciciela, hiszpana rozmiłowanego w rozpruwaniu brzuchów końskich rogami byków — jakby potrosze był każdym z nich. Rysuje nie żeby wzruszyć lub oburzyć, lecz żeby zademonstrować, tak jakby szakał demonstrował ogryzanie ścierwa braciom szakałom.

Juści jest w tej bezwzględnej przedmiotowości okrutna, straszna ironia — ale jest, rzecz oczywista, i zdolność brodzenia we krwi, przyrodnia Lojoli. Motywy z walki byków płyną może więcej z czysto artystycznej ciekawości i zmysłu obserwacyjnego, niż z jakiegokolwiek krytyki. Są tu wszelkie ciekawe momenty i sceny ze srogiej zabawy. Przeszywania sztyletami i dzidami, branie na rogi, tratowanie kopytami, wszystko to, co widokiem swym pewnie przyprawić by mogło nie hiszpana o mdłości, pozatem cała niewyczerpana kazuistyka starć, zderzeń, rozpędów, ucieczek, skoków gimnastycznych i ciągła, nieskończenie rozmaita artystyczna gra czarną plamą byka na tle powiewnych postaci torreadorów. Możnaby powiedzieć, że Goya postępuje tu tak, jak dzisiejszy rysownik, gdy podpatruje konia w biegu i woltyżerce i robi zdjęcia za pomocą momentalnej fotografii. Czyli że interesuje się obojętnie życiem, ruchem, grupą, linią, plamą.

W okropnościach wojny — tak samo zimny, ale tu wielka ilość spokojnych niekrzyczących scen głodu, żebrania i t. p. (Rok głodu) już świadczy o pewnem założeniu uczuciwem. Podobnie i tytuły, mówiące o bezcelowości mordowania ludzi niewinnych („Dla czego?“, „Co winien?“), napomykają o sercu ludzkim. W fakturze jednak i przedstawieniu rzeczy znowu — cierpienia nie widać, twarze i dusze roli żadnej nie odgrywają — znowu ilustracye, demonstracye, ale bardzo prawdopodobne, że demonstracye z tendencją rzucenia klątwy na wojnę i że dla krótkości, przez pośpiech — artysta podawał tylko sam szkielet scen, sam ich niby kościec, albo sam preparat.

Goyą zachwycać się dosyć trudno — trzeba mieć dla niego najwyższy podziw. To artysta czystej *sztuki*, ale nie czystego *piękna*. Piękno zjawia się jedynie w tajemniczych „Snach“, w dziwnych alegoryach, mało zrozumiałych dla nas ludzi, stojących poza tragikomedją dworu hiszpańskiego i tragikomicznych dziejów państwa, w którym ongi nie zachodziło słońce. W tych wizjach, jak np. w grupie ludzi siedzących na gałęzi — uderza jednak i niepokoi wielkość i rozmach kompozycyji, energia straszna plam, szerokość rylca, i już nie szpetność ale raczej dekoratywność. Albowiem Goya umiał być estetycznym, gdy chciał. Proszę zobaczyć np. ową kobietę, przykładającą lont do armaty i odwróconą do nas plecami, co za wdzięk głowy i ca-

tej postaci! A portrety królowej Maryi Ludwiki i księżęcych przyjaciółek mistrza? Jakie piekło oczów, jaki uroczy i potężny światłocień, jaka lekkość karnacyi! Goya to przecie genialny Donżuan, którego życie długie i bezprzykładnie bogate, przypadło na czas najjaskrawszych dziejów Europy, na koniec osiemnastego i początek dziewiętnastego wieku. Donżuan, jednakowo ciekawy okropności płatanych ciał jak subtelności koronek kobiecych i spódniczek hiszpanek. Odczuwa kokieterę również elegancko i łatwo jak zdradzieckość złych duchów i potworów skrzydlatych, zapelniających niebo czasu wojny i panowania dyabła. Dla oddania lekkości tkaniny czy dla oddania lotu puhacza—ma jednakowo szybkie i ledwie materyalne kreski.

Goya y Lucientes to jeden z tych fenomenalnych artystów—ludzi doby romantycznej, którym wolno było w życiu i w sztuce broić figle szatana, a mimo to być ubóstwianym. Ta dyabelska swawola z boską władzą nad kształtami duchów i ciał złączona—to jego *czarnoksiężstwo*.

Zebraniem i ułożeniem cyklów Goyi, salon Krywulta zaskarbił sobie prawdziwą wdzięczność.

CEZARY JELLENTA.



TEATR.—„ODKUPIENIE“ MACIEJA SZUKIEWICZA.—OSTATNIE „SPOTKANIE“ JANA AUGUSTA KISIELEWSKIEGO.

Obie sztuki o literackim zakroju; bohaterami jednej—malarz i była jego modelka, a drugiej—literat i zmarnowana malarka. Na scenie — stalugi, bleitramy, odznaczenia, nagrody, dysputy artystyczne, cyganerya, knajpa. Okres snobizmu w całej pełni. Jest tylko godne pożałowania, że to ciągle obracanie się w zaklętym kole malarstwa nie nauczyło jednak ani reżyseryi ani autorów — którzy przecież wskazówki swoje dawać musieli — jak wyglądać powinna pracownia malarska i jaki powinien być duch tej pracowni. W *Odkupieniu* — przepych świąteczny, właściwy jedynie malującym religijne panoramy i zgoła nie licujący z pustymi kieszeniami, o których w sztuce mowa. Nadto dziwny jest tam sposób pozowania — modelka siedzi tak doszczętnie zakryta stalugami, jak gdyby chodziło o jej *ukrycie* dla oczów malującego. W *Spotkaniu* znowu kącik w salonie przeznaczony na pracownię nadto już mizerny. Jeżeli w szalonej ongi Julce została chociaż skra zapala dla sztuki — już by sobie warsztat inaczej urządzić musiała, zwłaszcza że męża jej, Rolewskiego, stać było nawet na wachlarze z prawdziwych strusich piór i różne kosztowne upominki.

Nie chodzi o dokładność inscenizacyi — lecz o zachowanie charakteru, bez czego teatr w obecnym wypadku wygląda ze swem bogactwem ogromnie mizernie i nie inteligentnie. Przecież dzisiaj malarzów tak dużo, tak bardzo dużo, że obeznać się z zewnętrznosciami ich życia jest niezmiernie łatwo.

O treści sztuki p. Szukiewicza dałoby się powiedzieć bardzo dużo złego, wolę więc powiedzieć mało i krótko, że jest zupełnie chybiona. Nie można nazwać odkupieniem tego, że człowiek *w chwili pogrzebu* swej żony, którą zabił napadem brutalności, nie chce przyjąć ofiarowanej sobie ręki drugiej kobiety, kobiety rzeczywiście kochanej. Z jego marnego komedyanctwa widać odrazu, że jeśli nie dziś, to jutro pocieszy się, i wtedy wypadnie, że lichota jego duszy otrzyma tak wspaniałą nagrodę, jak gdyby była największą zasługą.

I wogóle nad wyraz przykrem jest jego udawanie skruchy, cierpienia, jego wykręcanie się rozpaczą od pójścia na pogrzeb, jego czulenie się z niemowlęciami, które przynosi na scenę... mamka. A wszystkie niesmaki te potęguje znakomicie chłodna gra p. Żelazowskiego, który jest wogóle artystą chłodnym; w tym razie niepodobna zresztą, ażeby się rozgrzał szeregiem fałszów psychologicznych, którymi autor go omotał.

Tragikomedia w 5 aktach p. Kisielewskiego jest dalszym ciągiem *W sieci*. Zawiera przepyszne momenty i ujawnia wszędzie rękę, od urodzenia pełną, choć robotę brulionową, pełną rzeczy niepotrzebnych.

Scena jest tu gorsza od książki, w której te szamotania się Julii Rolewskiej, zjawienie się Boreńskiego w blasku sławy i gorączce suchot, spotkanie się ich na maskaradzie i zapijanie szampanem nadprzepastnego bólu, drgają żywo, trzęsą się, lkają, pieką czytelnika. Trzebaby gry znakomitej, ażeby sprostać migotliwej fantasmagoryi obrazów i uczuć i nerwowi desperacko-romantycznemu. Na scenie wszystko to wypada tandetnie. Sympatyczna choć nieco chwilami filisterska postawa p. Rolanda, znakomita gra p. Frenkla szczęśliwie ocalają całość od zguby. Zadanie ich byłoby znacznie łatwiejsze, gdyby druga przedstawicielka roli Julii traktowała ją mniej hysterycznie i nie rwała dużych linii smutku i żalu wewnętrznego na drobne zewnętrzne wybuchy i odruchy żony spieszczonej i dosyć przy całej swej gracy i estetyczności — banalnej.

Ostatnie spotkanie — jest rzeczą dowcipu i rzeczywistego, dużego talentu.

ORPION.



GRIEG. — BERLIOZ. — NINA FALIERO. — KS. PEROSI. — KOMZAK. — BREITENBACH. — KS. GRUBERSKI. — NIKISCH. — KONCERT POLSKI W PARYŻU i „MY“ ZAGRANICĄ.

Wyszedł z północy — ztamtąd, z kąd Szekspir brał swoje północne burze, dziewicze bory, odludne wyspy wśród pustych mórz z krain Eddy, z północy natury bogatej w zjawiska, melancholijnej i dzikiej. Brał ztamtąd Walter-Scott; za nim, za Szekspirem, Mendelson w uwerturach „Grota Fingala“, „Hybrydy“, „Cisza morska“ wprowadził owe kraje do muzyki: północne morza, legendy bojów i bohaterów północy. Za Mendelsonem w te same kraje sięgnął Wagner. Grieg wyszedł również ztamtąd. Uwertura, grana na pierwszym jego koncercie w Filharmonii — „W jesieni“ (op. 11) ma reminiscen-

scencye północnych uwertur Mendelzona. Ale jest w niej już Grieg, jego północ, jego pieśń ludowa z Norwegii, jej zwroty, owe dziwne, pachnące harmonje, po których go poznać można odrazu. Wyszedł może z twórczości Mendelzona, jak wyszedł z niej Wagner; jest jedynym prawdziwym uczniem tego ostatniego, nie będąc jego naśladowcą; otarł się o romantyzm Schumana, o subtelność i wytworność Szopena; zna muzykę klasyczną (Holberg's Suite). Mimo to zachował swoją indywidualność, biorąc od poprzedników tylko kulturę. Nie jest geniuszem, obejmującym ludzkość całą, jak Beethoven. Jest artystą, bardem swojego kraju, natury, wśród której się urodził, z którą jest związany rasowo; natura ta jest piękna, on potrafił ją wyrazić, dał ludziom to, co kraj jego posiadał najpiękniejszego; nie wykreślił nowych dróg dla samej sztuki, dał tylko pewną ilość dzieł, świeżych, czystych, przemawiających językiem, który nigdy nie przestanie być zrozumiałym, dopóki ludzie będą wrażliwi na pieśń, na baśń i legendy, na melancholję jesieni i szumu fal i wiatrów, na ciszę śnieżnych, mroźnych dni, na rozkosze wiosny po długiej zimie, na uroki mgły, nagie skaliste góry, zapadające w morza, na całą ową północ, w której natura surowsza, dziksza przemawia językiem prostszym, mającym więcej tchnień pierwotnych, żywiołowych, niż łatwiejsza, kulturalna natura umiarkowana. Grieg wyraził swój kraj i człowieka, który w nim żyje. Wyraził zarazem siebie, bo żadna z jego melodyi „ludowych“ nie jest wzięta od ludu, lecz tak jak u Szopena—skomponowana, wysnuta z siebie. Grieg jest artystą „nacyonalnym“ w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu — to jest takim, który do skarbnicy ogólnoludzkiej wprowadza tylko to, co jest wielkiego, wiecznego, charakterystycznego, prawdziwie pięknego w jego ojczyźnie, pod jego niebem. Każda rasa, każdy kąt ziemi, każdy okres historii, jak każdy zakątek duszy, ma swoje uroki: kto je potrafi odczuć, wydobyć i wyrazić w formach sztuki—ten pracuje... nie wiem dla kogo? dla ludzi? Nie — wolę powiedzieć dla tej *Sztuki*, która wydaje mi się trwalszą, większą, niż sam człowiek, w której zamknęło się już tyle, że stworzyło już świat wielki odrębny, że w nim sam człowiek pojedynczy wydaje się mały.

Grieg jest jednym z tych rzadkich ludzi, który nie sięgnął nigdy po nic po nad siły, nie chciał wydawać się większym, nie robił wielkości; jest bardzo określony w swojej muzyce, i dla tego od samego początku postawiono go na właściwym miejscu. Jest to człowiek wierzący — niema w nim łamania się około odwiecznych zagadek, myśli, bytu; sprawy te dla niego są załatwiane przez religię; Grieg ma dla wiary pietyzm, tworzy hymny, które nie uderzają w niebo, lecz wznoszą się jak kadzidło ofiarne (Poznanie kraju). Niema w nim prometeizmu, zagadek ducha, tragedyi, gorczy: obrazy natury rodzinnej, pełne poezyi, skupienia, legendy, postaci fantastyczne mitologii północnej, czasami zabarwione humorem jowialnym, tańce charakterystyczne ludowe, pieśni pełne oryginalnej barwy i nastroju, wreszcie zawierające te same pierwiastki kompozycyi bez określonego tytułu (Lyrische stücke, Sonaty, kwartety, koncerty, suity, humoreski etc.) malujące też same obrazy muzyką oryginalną, zasłuchaną w siebie — w piękną, wykwintną robotę, w owe barwne, dziwnie dźwięczące akordy, śliczne, świeże modulacje, charakterystyczne tematy, których tak pełno u Griega.

On sam, mały, siwy staruszek z rozwianymi włosami dyrygował własnymi utworami na ostatnich dwóch koncertach. W twarzy jego czuć coś z mazurskiego chłopca — może to przypadek, a może na dnie tego podobieństwa leży zagadka przedhistoryczna całej północy, objętej niegdyś przez jedną wielką, północną cywilizację, której szczątkami — pokrewieństwo naszej mitologii ze skandynawską, naszej pieśni ludowej z pieśnią, która odzywa się u Griega czemś tak podobnym do polskich pieśni ludowych północnych, jak gdyby powstały one gdzieś na Kujawach lub pośród jezior mazurskich, a nie nad brzegami Atlantyku. Kilka jego pieśni odśpiewała śpiewaczka duńska Ida Ekman. — Głos jej i emisja przypominają bardzo Czosnowską, śpiewaczkę — mówiąc nawiasem — zmarnowaną bezlitośnie przez naszą krytykę i nasze stosunki.

Koncert fortepianowy (op. 16) z towarzyszeniem orkiestry, pod dyrekcją autora grał Raul Pugno i odegrał go ślicznie. Francuzka elegancja bardzo szczęśliwie łączy się u niego z uczuciem; technika palcowa czysta, pełna finezyi; ton, uderzenie piękne; swoboda, jasność, równowaga bez ciężkości, pedanteryi. Byłby doskonałym wykonawcą Szopena, gdyby urodził się Polakiem i gdyby mógł odczuć, co jest w Szopenie właściwie. Kadencja w pierwszej części koncertu była najpiękniejszym miejscem całego wykonania, jako skończony popis wirtuozostwa w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu: długi frazes kadencji wyszedł z fortepianu czysty w harmonii i rysunku, lekko, wypowiedziany ze swobodą, ślicznie. *Adagio* było wyśpiewane, *Allegro marcato* zagrane z elegancją brawurą. Całość w interpretacji może za bardzo przypominała koncerty Szopena — nie tyle w treści ile co się tyczy formy. To może jedyny zarzut, który mu zrobić można — że trochę za mało było w Griegu północy. Po za tem Pugno — jest jednym z muzyków, którego słuchać można długo; zawsze stoi on wysoko po nad ogółem wirtuozów, jest jednym z tych, którzy biorą prawdziwą sztuką.



Grieg należy do grupy artystów, w których podstawą we wszystkich kompozycjach jest przedewszystkiem uczucie, rodzące się w głębi, rozwijające tam wszystkie swoje barwy i zapachy, lubiące ciszę, skłonne do kontemplacji, marzycielskie, uzewnętrzniające się mało. Typem tej grupy jest człowiek, który siedzi i marzy: w duszy jego rozwijają się ogromne obrazy — on sam, twarz jego, oczy, usta mogą nie wyrażać nic: duch od nich odbiegł, i pozabawił je wyrazu. Taki Bach stoi tu na czele, tu należą w znacznej części Schuman, Händel, wogóle przeważnie cała muzyka z pierwiastkiem germańskości i protestantyzmu. Wyszła ona z muzyki kościelnej, z chorału, i na zawsze pozostał w niej pierwiastek wewnętrznego nastroju modlitwy, jej wzruszenia, powagi, silnego skupienia życia *wewnętrznego* duszy obok *zewnątrznej* prostoty, surowości protestanckiej lub wspaniałej ciszy wielkich starców kościołów katolickich. Wszystko tam dąży w kierunku od zewnątrz do głębi, aby tam rozwinąć się dopiero w całej pełni, na tle we-

wewnętrznego wzruszenia, czy niem jest modlitwa, czy miłość, zachwyt, czy ukojenie; czy przedmiotem jest obraz natury, czy myśl, czy obraz człowieka, jego życia. Takim jest Bach w swoich kompozycjach bez tytułu (Inwencye, Fugi, Preludya, Toccaty, Suity, Sonaty) w oratoryach; takim jest Schuman, Beethoven, Mozart, Händel etc. — zamknięci w sobie, których muzyka gra przedewszystkiem w nich samych, w ich głębi.

H. Berlioz należy do grupy artystów wprost przeciwnych, o typie południowym — a głównie łacińskim. Ci muszą wszystko uzewnętrzniać, wymagają gestów; taniec, balet, pantomina, ogromne dekoracje, maszynerye teatralne, tłumy uczestników, różnobarwność instrumentów charakterystycznych i ogromna, zmysłowa wyobraźnia, wymagająca akcji, ruchu, uzewnętrzniania się dosadnego, charakterystycznego — jest podstawą ich twórczości. Typowym przedstawicielem takiej muzyki jest Berlioz a z nim cała grupa kompozytorów, przeważnie francuzów i włochów. Jest to muzyka nawskroś świecka, która wyszła z przedstawień, z teatru, z pantomin i baletów, urządzanych na festynach dworskich: ma cechy wspaniałości zewnętrznych wirtuozostwa obok, niestety, pewnej pustki w głębi.

Wagner potrafił połączyć: niemiecką wewnętrzną Schumanów, Beethovenów z obrazowością i wielkością zewnętrzną włochów i francuzów (współczesnych mu Spontinich, Meyerbeerów, etc.).

U Berlioza znać też same tendencje połączenia ale, niestety, nie tak zrealizowane jak u Wagnera. W ostatnio wystawionem w Filharmonii „Potępieniu Fausta“ Berlioza znać je: temat niemiecki, filozoficzny, wewnętrzny, tragedia uczucia i ducha—Faust; forma — oratorium, wzięta od Bachów, Händlów. Czuć i francuskie tradycje muzyki, francuski duch, temperament południowy, tradycje teatru, wystawności, gestu, dążenie do wyrażenia się dosadnie. Niestety Berlioz nie był tak wielkim jak Wagner, ani francuska muzyka nie stała na takiej wysokości jak niemiecka: pierwiastek wewnętrzny jest zawsze wyższy niż zewnętrzny. Berlioz tam, gdzie chce być spokojnym, lirycznym, komponuje ładnie ale bezmelodyjnie, oddaje pejzaż, nastrój wiernie, instrumentacją trafną ale nie daje wiele nowego—czuć tam tradycje klasyków—poprzedników. Berlioz w melodye, tematy nadzwyczaj jest ubogi, do muzyki nie wprowadził nowych form harmonii jak Wagner, Szopen, Grieg, ani specjalnego zapachu. Nastrojów takich, jakie czuć u Schumana np. w Lotosblume, Mondnacht, w Fantazyi (op. 17) część I, w XI Etiudzie, w Warum etc., w Nokturnach Szopena, we wstępie do Tristana i Isoldy etc. — u Berlioza prawie że niema. Dla tego też w ustępach spokojnych, lirycznych, subiektywnych jest on poprawny, inteligentny, dobrze zrobiony—ale brak mu głębszego wewnętrznego wzruszenia.

Ale tam gdzie potrzeba poruszyć, mieszać z sobą ziemię, niebo i piekło, gdzie trzeba wielkich, szerokich gwałtownych gestów, ruchu, krzyku, tytanicznych wysiłków, łamania się fizycznego, gdzie trzeba malować kataklizmy, rozhukane żywioły wprowadzić w chaotyczny ruch masy, w szalony taniec, w gwar wojny, roztoczyć wspaniałą pantominową apoteozę, na wielkiej scenie z tłumami barwnych kostymów, światel i dekoracji—tam Berlioz, na podobieństwo pokrewnych mu Delacroix i V. Hugo, jest w swoim żywiole, tworzy, zdobywa się na olbrzymie obrazy, na potęgę.

Znany „Marsz Rakoczego“ wojowniczy, dziki, mieniący się jaskrawymi barwami, oraz szalone, rozhukane, dyabelskie „Pandemonium“, są najlepszymi, najbardziej berliozowskimi ustępami w „Potępieniu Fausta“. Oparte są one na zewnętrznych pierwiastkach muzyki francuskiej: na *rytmie* bardzo często tancernym: piękny taniec Sylfów w 2-gim obrazie, również menuet ogników w obrazie 3-m, który w „Pandemonium“ staje się wściekłym, dyabelskim akompanjamentem do wycia potępieńców. W muzyce czuć ruch tych tłumów, przeciągających z wyciem przez piekielne otchłanie. Barwna, plastyczna, często dzika, gwałtowna instrumentacja, wreszcie kolosalne skoki w melodyi, w której decymy i większe odstępy powtarzają się tak często jak u innych kwarty, kwinty, stanowią główne narzędzia sztuki Berlioza. Delacroix, V. Hugo i Berlioz to przedstawiciele francuskiego romantyzmu — pokrewne dusze; wnieśli oni do sztuki bardzo wiele nowego, ale głównie co się tyczy formy zewnętrznej. Równoczesne pogłębienie i treści przypadło w udziale innym. Delacroix brał wielkie tematy: ale tylko kolor i technika są jego zasługą; V. Hugo brał jeszcze większe, olbrzymie, wyolbrzymiał je: wspaniała styl pisarski to to, co mu poczytuję za główną zasługę; treść jest naiwna i nieoryginalna.

Berlioz również brał wielkie tematy: rozwinięcie barwności i instrumentacji, wprowadzenie nowych rytmów i śmiałość w używaniu niezwykłych interwałów—to jego innowacje. Treść jego kompozycji, ich strona wewnętrzna—to *program*: nowość, która potychczas zdaje się więcej daleko przyniosła szkody muzyce, niż pożytku.

♫ ♫ ♫ ♫ ♫ ♫ ♫ ♫ ♫ ♫ ♫ ♫ ♫ ♫ ♫ ♫ ♫ ♫

„Potępienie Fausta“ było wystawione starannie—tyle tylko na korzyść dyrekcyi można było powiedzieć. Ustępy orkiestrowe ograne—„Marsz Rakoczego“ i „Pandemonium“ wyszły naturalnie najlepiej. Chóry sprawiały się dobrze. Niestety obsady dwóch głównych postaci: Fausta i Mefistofelesa były bardzo słabe. Obaj panowie, francuzi, podobno specjaliści od występów estradowych w większych kompozycjach, mieli głosy z natury nieszczerne, do tego zniszczone, przykre. Naturalnie, wobec tak niewdzięcznego instrumentu w gardle trudno coś mówić o indywidualnościach artystycznych obu śpiewaków: robili to, co im głos robić pozwolił—a ten, niestety, pozwalał na nie wiele. Za to trzecia główna postać—Małgorzaty, w osobie p. Niny Faliero—Dalcroze, miała doskonałą przedstawicielkę. Słyszałem ją oprócz tego na osobnym koncercie: śpiewała Mozarta (arye z Wesela Figara), Schuberta (Die Junge Nonne), bergeretkę z XVIII wieku i inne. Śliczny głos, równy, pełny, bez żadnych przydźwięków, łatwo naginający się do tego, co śpiewaczka chce nim wyrazić, najzupełniej naturalny, jak mowa; niezwykła muzykalność i wyrobienie, piękność zewnętrzna a nadewszystko sympatyczność całej natury artystycznej śpiewaczki—złożyły się przede wszystkim na bardzo pociągającą Małgorzatę, a następnie przyjemnie było ją słuchać—jej Mozarta, szeroko, epicznie traktowaną pieśń Schuberta lub

lekką piosenkę z epoki pasterek w jedwabiach, krynolinach, wysokich pantofelkach z czerwonymi obcasami, pasących baranki... na posadzkach w Trianon lub Wersalu.



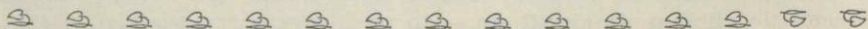
Dzięki stworzeniu chórów, w krótkim czasie dobrze wyszkolonych przez H. Opieńskiego, Filharmonja może obecnie wystawiać kompozycje chóralne. Było ich kilka, w ich liczbie oratorium „Mojżesz“ ks. Perosiego oraz „Kantata“ ks. Gruberskiego do wiersza Leona XIII na powitanie nowego roku.

„Mojżesz“—to utwór więcej inteligencji muzycznej, szkoły, wyrobienia naturalnie z dodaniem talentu, aniżeli natchnionego uczucia, wielkiej wyobraźni lub wielkiej idei twórczej. Sama postać główna, wódz, prawodawca, przez którego usta przemawia Bóg, groźny, nieublagany Bóg starego zakonu—w oratorium wyszedł słabo, blade, sentymentalny pasterz, ojciec rodziny, zwierający się przed żoną o posłannictwie włożonem na niego przez samego Boga w cudownem objawieniu. Ten, w krzaku ognistym, chociaż głosem potrójnym (partya Jehowy śpiewana jest przez trzech basów) odbywa się jednak bez potęgi, mówi za długo, w zdaniach muzycznych bardzo mało charakterystycznych. Wogóle żadna z postaci oratorium nie jest scharakteryzowaną muzycznie, chociaż są między niemi różnice—Mojżesz, Aron, Sefora, Jehowa, Faraon, wreszcie Żydzi i Egipcyanie—bardzo mało odróżnieni od siebie muzyką. W całym nastroju nie ma ani Biblii, ani Wschodu. Jedyne może silniejszy efekt—to zatopienie Faraona—oparty jednak na kotłach, talerzach etc. i fortissimo. Po za tem charakterystyczniejsze ustępy,—tam, gdzie autorowi trzeba było wyraźniejszej barwy—przypominają Wagnera, Berlioza i innych. Pomimo tego kompozycya jest miła, słucha się przyjemnie, pisana z myślą o kościele—o kościele dzisiejszym—pełnym eleganckiej, świątecznej publiczności, dla której nastrój Bacha byłby niezrozumiałym, a w oratorium np. Mendelsoana, za bardzo przypominał by operę. Ks. Perosi opery—pięknych melodyi, arii, ani zbytniego realizmu w rodzaju np. Straussa, najwidoczniej nie chciał, unikając ich, starając się przeciwnie o powagę, spokój, miły nastrój. Że przy tem założeniu nie mógł dać głębi nabożeństwa np. Mozarta to już wina jego skromniejszego talentu. Dał kompozycje, która nikogo głębiej nie poruszy, będzie stanowić sobie zawsze przyjazną dekorację nabożeństw uroczystych, wykonywaną z powodzeniem przez kościelne kapele, kościelne chóry i solistów. Do muzyki nowego nie wprowadzi nic. Jest to utwór napisany na ten, co dziś w muzyce wielkiej zrobiono jako taki stoi w rzędzie utworów Mascagniego, Leoncavalla—wszyscy oni do Wagnerów, Berliozów, Schumanów etc. stoją w takim stosunku, jak dawniejsi ich poprzednicy—rozmaici Belliniowie, Donizettiowie etc., do Mozarta, Webera, Glucka, Beethovena. Ks. Perosi, Mascagni, Leoncavallo, Bellini, Donizetti etc. — to popularyzatorzy wielkiej muzyki —

przerabiający ją na użytek zwykły, dla szerokiej publiczności. To jest ich stanowisko i ich znaczenie.

Kantata ks. Gruberskiego niestety i tych zalet nie posiada. Nie jest dość popularna dla mas, bo zawiera za dużo muzycznej erudycji; skutkiem tego i dla znających się nie przedstawia nic nowego. Składa się z niepowiązanych z sobą fragmentów. Najlepsze są ustępy chóralne. W wielu miejscach za bardzo jednak schodzi do zwykłej, banalnej muzyki kościelnej, za bardzo trąci przygrywkami, pisaniami dla organistów. Nadto bardzo luźno łączy się z treścią tekstu. Np. co do rozdziału głosów, nie wiadomo czemu jedne miejsca śpiewane są solo (baryton), inne w duecie (tenor baryton), lub chórem. Tak np. pierwsze wiersze—rodzaj ogólnego wstępu (stoczył się w wieczność sławny wiek, który z zapalem uprawiał sztuk tak wiele etc.) śpiewa tenor, podczas gdy następny wstęp, w którym przemawia poeta od siebie (ja zaś na to myśl zwracam....) śpiewa nie jeden głos, lecz przeciwnie, chór męzki, kiedy właściwie lepiej mogło być odwrotnie. W każdym razie dla czego tak jest nie wiadomo—całość kompozycji owego rozdziału partyi pomiędzy głosy nie tłumaczy wcale. Równie nic nie mówiącym była modlitwa „Domine salvum fac“ na chór męzki z towarzyszeniem organu.

Równocześnie z ks. Gruberskim koncertował na organach F. J. Breitenbach—organista z Lucerny—podobno wielki mistrz. Niestety z gry jego bardzo tego nie widać, a z kompozycji (Fantazyja pasterska—naśladowanie burzy) zupełnie, wcale nie. Jest to trywialny, głupi utwór, który tak z poważnego instrumentu jak organy stara się robić narzędzie do bawienia publiczności wątpliwym naśladowaniem odgłosów burzy. Wielka fantazyja i fuga (g mol) Bacha, cudowna kompozycja, w interpretacji Breitenbacha wyszła nieszczególnie: pierwsza część (fantazyji) zagrana była za teatralnie, za błyskotliwie, z popisami—druga część (fuga) nie miała wielkiej, poważnej płynności, porwana była rejestrami, niezręcznie zmienianymi, pedały spóźniały się, górne głosy przez cały ciąg zagłuszały dwa dolne. Cały ten koncert ocalił nadspodziewanie K. Komzak. Wykonawca walców, figlarz, wystąpił w następstwie chorego p. Prohazki jako dyrektor poważnej muzyki i nadzwyczajnie dobrze poprowadził „Cud wielkopiątkowy“ z Parsiwala—jedną z piękniejszych i trudniejszych do wykonania partyi orkiestrowych Wagnera. Doskonale poprowadził również koncert organowy z towarzyszeniem orkiestry Rheinbergera (op. 137). Ruchy ma bardzo muzykalne, panuje nad orkiestrą, umie z nią robić co chce. W orkiestrze podobno mówiono, że po Nikischu, jest to najlepszy dyrektor, jakiego dotychczas mieli. Bardzo być może—sądząc z jego występu: jest jakaś świeżość, którą on w grę wkrada, życie—nie walcowy lub mazurowy rozmach—ale życie. Jest to przymiot rzadki—daleko rzadszy aniżeli doskonałość wykonania. Gdyby Komzaka można było zaangażować na letni sezon, zamiast zeszlórocznych Helmesbergerów, muzykalniejsza publiczność nie stroniła by tak od Doliny szwajcarskiej, jak to się działo zeszłego lata. Ale to rzecz dyrekcyi.

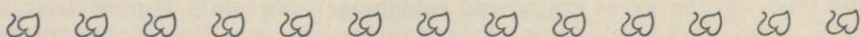


Prawie na zakończenie obecnego sezonu zjechał Nikisch—i to właśnie stało się niedobrze, bo skutkiem tego dyrygował on znacznie lepiej aniżeli mogła grać orkiestra; ruchy jego pałeczki znaczyły intencje, niestety wykonywane tylko zgruba przez grających: subtelności pozostały w powietrzu; odczuli je tylko ci ze słuchaczy, którzy są na nie wrażliwi. Orkiestra była zmęczona i nerwowo i fizycznie: nie dziwnego—prawie co dzień trzy godziny, próby męczące, a wreszcie częste zmiany programów, dyrekcyi, konieczność przystosowywania się do rozmaitych poziomów, rozmaitych rodzajów muzyki, począwszy od walców, do rozmaitych wirtuozów. Wszystko to może znużyć pod koniec sezonu. Nikisch wymaga wiele: wielkiej czujności; zgrania się z nim i z sobą. Na ostatnim koncercie znać było, że mu orkiestra nie odpowiadała, tak jak było potrzeba, że grał on nie na swoim instrumencie. Pomimo tego, wykazał wysokie zalety jako kapelmistrz.

Jest on istotnie wyjątkowo obdarzony przez naturę, bardzo wszechstronnie pod względem muzycznym, jako wykonawca: jego poczucia pozwalają mu na rozumienie i odczucie szeroko różnych indywidualności muzycznych; specjalny dar ekspresyjny—owe odczucia całkowicie wyrazić w ruchach. Są one nadzwyczajnie zrozumiałe, i dla tego Nikisch łatwo panuje nad orkiestrą i nad wrażliwymi słuchaczami. Jego dyrekcyjja—to nie odmierzanie taktu, wskazywanie wyjścia instrumentów, oznaczanie temp, crescendo, mocy etc. Nikisch ruchami pałeczki i rąk wygrywa wszystko, w sposób nadzwyczaj jasny i zrozumiały. Jest on w nieustannj łączności z grającym—gra na nich: on jeden w liczbie bardzo niewielu, może powiedzieć, że orkiestra jest jego instrumentem, że on gra na nich: on jeden w liczbie bardzo niewielu, może powiedzieć, że orkiestra jest jego instrumentem, że gra na niej, nią powoduje, nie orkiestra nim, jak to się często zdarza innym.

Grał „Eroikę“ Bethowena, oraz Wagnera: uwertur z Latającego Holendra, „Szmer lasu“ z Zygfyryda; „Wstęp i zakończenie“ z „Tristana i Izoldy“ wreszcie „wstęp“ ze „Spiewaków z Norymbergii“. [Tempa zawsze nadzwyczaj trafne, prawdziwe, takie jak być powinny, każda kompozycyja właściwie pojęta i oddana — „Eroica“ klasycznie, Wagner tak, jak on tego pragnął; każda myśl muzyczna wydobyta czy to we frazowaniu, czy w harmonii, czy w instrumentacyi; orkiestra wyzyskana w całej jej skali siły i barwy, efekty wystopniowane od pianissima, do ogromnej siły w forte, każdy instrument zużytkowany, nie nie pozostaje nie wydobytem, nie pokazanem. Pojedynczy występ takiego wzorowego dyrektora, jak Nikisch, ma zapewne znaczenie niewielkie, tem bardziej, że nie mając orkiestry własnej, nie mógł zrealizować wszystkich swoich intencji. Ale znaczenie jego okazuje się dopiero wtedy, jego wpływ na rozwój muzyki, na umuzykalnienie publiczności zjawia się w całej pełni dopiero wówczas, kiedy występuje on, działa stale. Pod jego dyrekcyję najtrudniejsze, najzawilsze kompozycyje stają się przystępniejsze, zrozumialsze, nie dla tego, aby je popularyzował, ale dla tego, że je oddaje jasno, czysto. Gdyby wszyscy wykonawcy byli tacy jak on, Wagner i wielu innych nie potrzebowali by tak długiego czasu, aby ich rozumiano i oceniano właściwie: taki np. „Szmer lasu“ który w złej dyrekcyi wydałby się dziwactwem, pod jego batutą staje się świeżym, pięknym obra-

zem natury tem, czem on był istotnie w wyobraźni Wagnera, wtedy, kiedy ten go tworzył.



Zagranica przysyła nam swoje znakomitości. Cudowna wszechrozumiałość muzyki, łatwość, z jaką przeniesć ją można, sprawia to, że jedynie w muzyce dziś jesteśmy na poziomie zachodu, znamy twórczość muzyczną wszystkich czasów i krajów. Architektura nie rusza się z miejsca, malarstwo, rzeźba przechowuje się w murach: trzeba jeździć po świecie, aby je obejrzeć. Literatura musi być tłumaczona. Jedynie muzyka dla wszystkich ludzi jest jedna, w niej żyje się życiem wszystkich, którzy muzykę tworzą albo lubią. W muzyce twórczość swojska nie ma żadnych przeszkód, aby rozejść się po całym świecie. Szopen znany jest i przyjęty wszędzie. Inni kompozytorzy nasi? Gdyby byli tej miary, co Szopen, nie potrzeba by było ich obwozić po świecie i upominać się o uznanie: wystarczyło by wydać ich dzieła: świat trafił by do nich i grywał by wszędzie. Dla tego też sama idea urządzenia koncertu polskiego w Paryżu była z gruntu fałszywą. Nadto reprezentację muzyki naszej zagranicą wzięli na siebie jak zwykle niepowołani, którym chodziło nie tyle o muzykę, o pokazanie twórczości naszej zagranicą, ale o własne interesy, o reklamę dla siebie. Toż samo było z wystawami malarskimi—z malarstwem, z owym popisem podczas ostatniej wszechświatowej w Paryżu, który naraził nas tylko na kpiny, tak jak i ostatni koncert polski.

Paryż jest istotnie ciągle jeszcze miejscem, wszechświatowego popisu narodów, terenem emulacji i walki o stanowisko w pracy cywilizacyjnej wszystkich. Pracujemy i my, mamy pewne zasługi, mamy talenty duże, mamy sztukę, mamy jeżeli nie coś, z czem można by popisać się, to chociaż pokazać. Ale to musi być wybrane i pokazane właściwie, to co istotnie mamy najlepszego. Ostatnie czasy—skutkiem właśnie podobnych niefortunnych występów, dzięki właśnie podobnym „gorliwym“ protektorom i „reprezentantom“ naszej sztuki—bardzo dużo złego zrobiły dla nas zagranicą, u obcych. Sprawozdania z ostatniego koncertu przykro było czytać—tak nas potraktowano—lekceważąco, podkpiwając sobie właśnie z tego, o co nam najbardziej chodzić by mogło. Jest to bardzo zły objaw; z niechętnych, z nieprzyjaciół można być dumnym: „wielu przeciwników, wiele honoru“. Ale z lekceważenia? Całe szczęście, że ono w całości należy się właściwie nie społeczeństwu a tylko tym „przyjaciółom“ jego, którzy tak godnie reprezentują je zagranicą.

F. JABŁCZYŃSKI.



Przegląd miesięczny.

GŁOSY PRASY O NAJWYŻSZYM MANIFEŚCIE.

Zapowiedziane artykuły „St.-Piet. Wied.“ zjawily się w № 57 i 58, a w nich p. Milutin zastanawia się nad doniosłością artykułu Manifestu o tolerancyi religijnej.

„Sława niech będzie prawdzie słów Monarszych, które przypomnialy, że przykazania, dotyczące tolerancyi religijnej, zawarte są w kardynalnych prawach państwa i które nakazały ściśle stosowanie się do nich w przyszłości. Niech będzie sława mądrości Monarchy, który w przykazaniach tych widzi podstawy do troski o utrwaleniu prawdy na Ziemi Rosyjskiej.“

Przypomnienie to było nieodzownem — zdaniem „St.-Piet. Wied.“ — bowiem praktyka odstąpiła od przykazań, danych w prawie zasadniczem, a interpretując je niewłaściwie, była w niezgodzie z duchem tolerancyi, który tchnie z każdego wyrazu, zawartego w art. 44 i 45 praw kardynalnych państwa.

W innym artykule p. Stołypin zastanawia się nad tymi wyrazami Manifestu, które mówią „o niepokoju i wrzeniu, opartych na zasadach, obcych życiu rosyjskiemu.“

„Manifest — mówi p. Stołypin — jasno i wyraźnie rozróżnia dwa pojęcia: „plany, wrogie porządkowi państwowemu“ i „przejęcie się zasadami, obcemi życiu rosyjskiemu.“ Najszkodliwsiemi krzewicielami pierwszych planów są ci, którzy demoralizują lud prosty. Inteligencya i młodzież zbrojne są w bardziej ugruntowane zasady, oraz w podstawy krytycyzmu. I jedno i drugie stanowi broń, skuteczną przeciwko działaniom lub wpływowi szkodliwych agitatorów. Demonstracye tej nielicznej grupy nie grożą Rosyi, bowiem cały arsenał tej grupy polega na bezsilnej frondzie, a w najgorszym tylko razie na odosobnionych przestępstwach. Z ludem jest inaczej. Nie zdając sobie jasno sprawy z przyczyn, które zachwiały jego dobrobytem eko-

nomicznym, on łatwo daje się sprowadzić na manowce. Dla tych, którzy bałamuca owych małych, niemasz usprawiedliwienia, a ich wartość moralna ujawnia się sama przez się.“

Co się tyczy „zasad, obcych życiu rosyjskiemu,“ to są niemi te, na których powstała większość państw zagranicznych.

„Rosya, która powstała samobytnie, nie potrzebuje przejmować instytucji, obcych jej duchowi, i nie wypływających logicznie z warunków jej wzrostu i rozwoju. Dobrodziejstwa swobody obywatelskiej, pomocy wzajemnej, poszanowania praw słabych i tryumf legalności nad samowolą, nie tylko nie są sprzeczne z Samowładztwem, lecz zawierają się w pojęciu Samowładztwa, jako żywioły jego rozwoju. Mówiąc o tem, niepodobna pominąć despotyzmu poglądów: To nader smutny czynnik życia naszego, ujawniający się we wszystkich obozach kultury naszej, a od despotyzmu tego nie są wolni i ci, którzy, nie wiedzieć dlaczego, przyswoili sobie miano obrońców („ochranitielej“) porządku państwowego. A obrońcy ci błędzą, gdy myślą, że nie przeszkadzają pracy nad poprawą dobrobytu państwa. Oni drogą podejrzeń, rzucanych tu lub owdzie, starają się zabrukać każdą inicjatywę społeczną, zaś w spokojnej i owocnej pracy ziemstw starają się wynaleźć nieistniejący tam zgoła pierwiastek antypaństwowy. Jedną z najciemniejszych stron „wrzenia“ jest to, że w takich epokach wydostają się na wierzch pochlebcy i amatorzy frazesu, teroryzujący pracowników skromnych, a oddanych pracy dla ogółu. Oto w jaki sposób owi pochlebcy i faryzeusze szkodzą pracy twórczej najlepszych żywiołów ojczyzny.“

W te słowa interpretuje p. Stołypin:

„przepełnione smutkiem wyrazy Manifestu o tem, że niepokój i wrzenie podnieca umysły i odciąga je od pracy produkcyjnej dla dobra ojczyzny.“

Ks. Meszczeriskij nazywa w „Grażdaninie“ Najwyższy Manifest „świętem liberalizmu i wolności.“

„Święcę je — pisze książę-redaktor — kiedy czytam słowa Cesarskie o wolności wszystkich wyznań — w tym zakresie, w którym nie robi ona zamachu na prawa Kościoła przodującego, gdyż mówię sobie, że od tej chwili kaprys urzędnika nie będzie regulatorem wolności wyznania, potwierdzonej przez Monarchę.

„Święcę tę wolność w tych słowach Manifestu, które tak dawno potrzebną i tak dawno pożądaną reformę zarządu gubernialnego i powiatowego opiera na przekonaniu, że zostanie ona opartą na harmonijnem zespoleniu swobody miejscowej działalności z zarządzeniami rządowemi.

„Święcąc tę wolność, jestem uprawniony z tego zespolenia wyciągnąć wniosek, że z nastaniem w wykonaniu woli Monarszej chwili, kiedy działalności miejscowej pod ochroną silnej władzy, odpowiedzialnej wobec Cesarza, dana będzie możność bezpośredniego zaspokajania narodowych potrzeb życiowych, nadejdzie koniec zgubnej dla życia i dla Samowładztwa centralizacji.

„Święcę tę swobodę dlatego, że z woli Monarchy nadchodzi chwila, kiedy sprawy, decydujące o rzeczach małych lub dużych, losy wsi i całej jej ludności będą ostatecznie rozstrzygane nie w departamentach petersburskich, lecz na miejscu, t. j. tam, gdzie od każdej właściwości, od wszelkiego

warunku lokalnego zależy zastosowanie tego lub innego środka, stosownie lub niestosownie do potrzeby.

„Nakoniec, święcę tę wolność dlatego, że słowo Cesarskie Samowładcy stawia życie państwa i każdego ze swych wiernych poddanych pod ochroną i opieką tych trzech sił: miary, prawa i władzy, których połączenie daje każdemu rękojmię, że bezkarnie nie będą naruszone podstawowe prawa jego sumienia, indywidualności i własności.“



AKADEMIA UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE.

Akademia Umiejętności przesyła nam w dalszym ciągu, z prośbą o ogłoszenie, następujące Sprawozdanie.

Dnia 26 lutego 1903 r. odbyło się posiedzenie Komisji do badania historii sztuki w Polsce pod przewodnictwem prof. Maryana Sokołowskiego.

Prof. Dr. Jerzy hr. Mycielski streścił dłuższą swą pracę p. t.: „Inwentarz artystyczny zamku w Wiśniczu z r. 1661.“ Opiera się ona na nieznanym dotąd rękopisie Biblioteki w Suchej, który mieści w sobie „Regestr rzeczy po Szwedach i ucieczkach pozostałych p. wojewody krakowskiego.“ Był to Aleksander Lubomirski, starszy brat marszałka w. kor. Jerzego ożeniony z kanclerzanką Teklą Teresą Ossolińską. Bogactwo dzieł sztuki, przemysłu artystycznego, sreber i klejnotów, które w wieku XVII zamek wiśnicki wypełniały, jest zupełnie wyjątkowem. Na czele stoi wspaniała galerya obrazów, zebrana po ojcu Stanisławie Lubomirskim, po teściu Jerzym Ossolińskim i jego żonie, wreszcie składająca się z własnych wojewody dzieł sztuki. Podaną jest treść każdego obrazu, a często i malarz, jego twórca. Naprzód są tam dwa wyjątkowej wagi artystyczne klejnoty: „Anioł z Tobiaszem“ Rafaela i „Madonna z Dzieciątkiem“ Albrechta Dürera, oba dotąd badaczom sztuki nieznanne. Z obrazów mistrzów włoskich wymienione są utwory Tytcyana, Veronesa, Bassana, Gwida Reniego, Guercina, Domenichina, Albana, Schidona, Bernarda Strozzi, z których największa część niezawodnie od samych mistrzów między r. 1620 a 1650 nabytą została; z obrazów hiszpańskich jest kilka Ribery; z flamandzkich nazwani jedynie Paweł Bril i Daniel Seghers, ale obok tych jest flamandzkich i holenderskich obrazów mnóstwo: krajobrazy, sceny rodzajowe, wojskowe, polowania, martwe natury i t. d. ogółem biorąc znacznie nawet więcej, niż obrazów włoskich. Ciekawy dla stosunków Lubomirskich i Ossolińskiego z zagranicą jest spis portretów: królów, książąt krwi, wielkich panów i dam w Polsce, Niemczech, Francyi, Flandryi, Wenecyi, Florencyi, Mantuy; nadto portrety Lubomirskich, malowane w Wenecyi przez Mikołaja Renieri i w Gdańsku przez Daniela Schulza. Po tej najbogatszej galeryi obrazów, jakiej równa w Polsce w tym czasie znaną dotąd nie była, następuje długi spis innych przedmiotów; naprzód niezliczone obicia i kobierce, aksamitne, adamaszkowe, *cuir de Cordoue*, namioty; dalek stoliki i szkatuły z *pietra-dura*, hebanu, indyjskie, szyldkretowe i burszty-

nowe; zwierciadła weneckie, zegary, figury z bursztynu, ze srebra i z kości słoniowej, krzesła rzeźbione i kanapy, relikwiarze, drobne zabawki pokojowe, ogromne mnóstwo naczyń złotych i srebrnych, cała gotowalnia damska i przybory kapliczne, kryształy bogato rżnięte, różańce, namiot wojenny, rzędy kapiące od złota i drogich kamieni, rzędziki kozackie i niemieckie siodła, czapraki, chorągwie, strzelby ozdobne, karety, szory, w końcu najbogatsze a niezliczone klejnoty z pereł, dyamentów i rubinów, równe wprost jakiemuś królewskiemu skarbcowi. Cały ten obszerny inwentarz jest bardzo cennym historycznym dokumentem, świadczącym o wyjątkowej artystycznej kulturze oraz o bogactwie Lubomirskich w wieku XVII, nadto zaś dającym wyobrażenie, jak wyglądał wewnątrz w tym czasie opustoszały dziś zamek w Wiśniczu.

P. Zubrzycki streścił następnie drugą część swej pracy o zabytkach miasta Krosna. Kościół OO. Franciszkanów, który referent opisał, zawiera szereg pięknych pomników. Są to nagrobki: Jadwigi Firlejowej, Jędrzejowskich, zwłaszcza zaś grobowiec hetmana Kamienieckiego, dłuta Padovan'a. W kaplicy Oświęcimów, do której prowadzi portal z czarnego marmuru o bardzo szlachetnym rysunku, nęcą oko stiuki oraz portrety Stanisława i Anny Oświęcimów, niepośledniego pędzla. Z zabytków artystycznego ślusarstwa zachowały się interesujące szczegóły na drzwiach zakrystyi, na kracie w skrzydle drzwi głównych oraz na kracie portalu kaplicy Oświęcimów. Referent przedstawił dalej szkic rzutu poziomego, oraz szereg tablic, odtwarzających z rozmaitych stron dzisiejszy stan ruin zamku w Odrzykoniu. Zamek ten miał dawniej kaplicę z zachowanymi po dziś dzień drzwiami ostrołukowymi. Obramienia kamienne okien wykazują wiele cech, wspólnych szkole krakowskiej.

W dyskusji nad referatem p. Zubrzyckiego, zauważył prof. Dr. hr. Mycielski, że Stanisław Oświęcim w Dyaryuszu swoim opowiada o budowie kaplicy i o architekcie Włochu, nie wspomina natomiast o portretach rodzinnych. Portrety Stanisława i Anny Oświęcimów są, zdaniem prof. Mycielskiego, zapewne dziełami Jana Triciusa, kształcącego się kosztem Firlejów, sąsiadów Odrzykonia, we Flandryi.

P. Tomkowicz podniósł, że sztukaterye kaplicy Oświęcimów są niezawodnie dziełem Succatori'ego, twórcy stiuków kościoła OO. Kamedułów na Bielanych, są one bowiem tylko wariantem pierwszych.

Z kolei referował p. Tomkowicz o nieznanym dotąd „widoku kościoła i klasztoru na Skalce.“ Jest to drzeworyt na karcie tytułowej druku z roku 1672, opisującego dysputę *de jure et justitia*, odbywającą się w murach klasztornych na Skalce. Przedstawia on widok kościoła gotyckiego i to dość wielkiego. W XIV w. była to budowa jednonawowa, w XV w., dostawiono nawy boczne. Obok kościoła stał dom połączony z nim gankiem, otoczony, jak nie mniej i sam kościół, murem fortecznym. W tym kształcie średnio-wiecznym odtwarzają kościół tryptyki z Pławna i Wieniawy oraz drzeworyt w „Przyjacielu ludu” z r. 1838. Około r. 1643 powstało klasztorne studjum teologiczne z fundacji Elżbiety Boguszcówny, w którym odbywała się wspomniana dysputa, w drugiej połowie zaś XVII wieku zbudowano klasztor

z czterema narożnymi wieżami, uwzględniony po raz pierwszy na omawianym drzeworycie.

P. Cercha zwrócił w dalszym ciągu uwagę na rysunek Wojczyńskiego z zaginionego pomnika Orlików, dłuta Canevesi'ego, znajdującego się niegdyś w kościele OO. Dominikanów w Krakowie.

Przewodniczący zakomunikował wreszcie udzieloną mu przez p. Ludwika Námenyi z Budapesztu wiadomość o nieznanym dotąd malarzu-Polaku Médiczky, pozostającym w służbie Rakoczego.



MISCELLANEA.

HISTORYE NATURALNE.

ŁOWY.

Wyskakuje raniutko z łóżka i wybiera się na polowanie wtedy tylko, kiedy umysł jego jasny, serce czyste a ciało lekkie jak odzienie powiewne. Nie zabiera zapasów. Napije się powietrza świeżego po drodze i wchłonie zdrowe tchnienia.

Broń zostawia w domu, dość mu oczu otwartych. Będą mu sięcią, w której obrazu uwięzną same.

Pierwszy wpada w niewolę obraz drogi, obnażający swe kości—krzemki, koleje — żyły popękane, pomiędzy płotami z morw i prunelek.

Następnie bierze się obraz rzeki. Bieleje ona na wygięciach i drzemie pod pieszczotą wierzb.

Kiedy się w niej ryba brzuchem obróci, połyskuje jak gdyby w nią wrzucono srebrną monetę; podczas drobnego deszczyku dostaje gęziej skórki.

Następnie myśliwy zdejmuje obraz zbóż ruchliwych, koniczyn smacznych i łąk strumykami obrabianych. Chwyta w lot jaskółkę i szczygła.

Potem wchodzi do lasu. Nie znał dotychczas wrażliwości swych zmysłów. Przesiąknięty woniami, nie traci ani jednego głuchego szmeru, i nerwy jego, chcąc czuć z drzewami, wiążą się z nerwami liści.

Wkrótce, wibrując aż do osłabienia, doznaje zbyt wiele, coś go rozsada i zdjęty lękiem opuszcza las i z oddali śledzi wracających do wsi robotników.

Za lasem, spogląda przez chwilę, aż do bólu oczu, w słońce, które się kładzie, rozrzucając tu i owdzie po sklepieniu swe świetlane szaty i obłoki barwiste.

Wreszcie powróciwszy z pełną głową do domu, gasi światło i długo przed zaśnięciem, z lubością liczy swe obrazki.

Posłuszne, odradzają się na rozkaz jego wspomnienia. Każdy, poruszając się, budzi następny. Rzesza ich migotliwa wzrasta, a wszystkie, niby kuropatwy gonione i rozłączone w ciągu dnia, wieczorem, zdala od niebezpieczeństwa, w rowie nad miedzą, śpiewem przywołują się wzajemnie.

ROPUCHA.

Urodzona z kamienia, żyje pod kamieniem i w nim sobie grób wyłobie.

Odwiedzam ją często, i za każdym razem, unosząc kamień, obawiam się zarówno zobaczyć ją, jak nie zastać jej.

Jest.

Ukryta w tem schronieniu suchem, porządnem, ciasnem, właścicielka wypełnia je całkowicie, napęczniała jak worek skapca.

Zniewolona deszczem, wychodzi przeciw mnie.

Po kilku susach, zatrzymuje się, stając na udach i patrząc na mnie zaczerwienionymi oczami.

Choć niesprawiedliwy świat uważa ją za trędowatą, ja bez lęku przykucam obok niej i do jej ropuszego przybliżam swe ludzkie oblicze.

Następnie opanuję resztę wstrętu i popieszczę cię własną ręką, ropucho!

W życiu wypadnie połknąć niejedną, od której większe mdłości biorą.

Wczoraj przecież okazałem brak taktu. Burzyła się i pocila, a wszystkie brodawki pękały.

— Oj ty niebogo, — rzekłem, — nie chciałbym ci zrobić przykrości, ale Boże mój, jakaś ty obmierzła!

Otworzyła swą jamę bezzębną noworodka, o gorącym tchu, i odparła lekkim akcentem angielskim:

— A pen?

INDYCZKA.

Przechadza się nadęta po podwórzu, jak gdyby żyła pod „ancien régime.“

Inne ptactwo grzebie i dziobie po całych dniach, co napotka. Ona zaś przerwy między biesiadami, poświęca troszec o swą powierzchowność. Każde jej piórko wykrochmalone, końce skrzydeł zamiatają ziemię, znacząc drogę, po której stąpa. Tędy przechodziła, nie tamtędy.

Odyma się tak, że nigdy własnych łap nie widzi.

Nie podejrzewa nikogo, i zaledwie się zbliżę, wyobraża sobie, że zamierzam cześć jej złożyć.

I już belkoce z pychy.

— Szlachetna indyczko! — przemawiam — gdybyś była gęsią, osławilibym cię własnym twem piórem, jak to uczynił Buffon. Lecz jesteś tylko indyczką.

Musiałem ją urazić, albowiem krew uderzyła jej do głowy. Pełne złości grono zwiesza jej się u dzioba. Dostała ataku nerwowego. I ha-

łaśliwie roztwierając swój ogoniasty wachlarz, stara Kornacka pokazuje mi plecy.

GOŁĘBIE.

Czy nad domem hałasują, jak bęben przygłuszony;
 Czy, wychodząc z cienia, przewracając koziołka, błyskając w słońcu,
 do cienia wracają;
 Czy mieniają się ich szyja zamigoce i zgaśnie niby opal na palcu;
 Czy zasypiają wieczorem w lesie, tak przytulone do siebie na naj-
 wyższej gałęzi dębu, że o mało nie urwie się pod ciężarem tych owoców
 malowanych;
 Czy tych dwoje zamienia frenetyczne powitania i nagłym konwulsyj-
 nym uściskiem się złączy;
 Lub też czy tamten powraca z listem z drogi, i mknie jak myśl odda-
 lonej kochanki;
 Wszystkie te gołębie, zrazu takie zabawne, nudzą w końcu.
 Na miejscu utrzymać się nie mogą, wędrówki ich nie kształcą.
 Pozostają głuptaskami przez całe życie.
 I nieznośną wreszcie jest ta ich mania dziedziczna, żeby mieć usta-
 wicznie w gardziółku coś, co nie chce przejść.

ŚWINIA.

Mrukliwa i poufała, jak gdybyśmy się razem paśli, wścibiasz nos swój
 wszędzie i chodzisz nim omal tyle co nogami.
 Pod uszami z liści buraczanych ukrywasz oczki podobne do czarnych
 porzeczek.
 Jesteś brzuchata i przypominasz dużą jagodę agrestu. Jak ona pokryta
 jesteś długimi włoskami, takąż masz skórę jasną i ogonek zakręcony.
 Złośliwi zowią cię brudną świnią.
 Utrzymują, że jeśli ty się niczem nie brzydzisz, to za to wszyscy tobą
 się brzydzą, i że przepadasz za pomyjami.
 Ale to oszczerstwo.
 Niech ci uszoruja, a będziesz dobrze wyglądała.
 Zaniedbujesz się z ich winy.
 Jak ci pościela, tak śpisz, a niechlujstwo jest dopiero drugą twą naturą.

GĄSIENICA.

Wyłazi z kępki trawy, w której się ukrywała podczas upału. Prze-
 chodzi w poprzek aleję ogrodową, falując. Lęka się zatrzymać na drodze,
 i przez chwilę ma się za straconą w śladzie stopy ogrodnika.
 Przybywszy do truskawek, odpoczywa, podnosi nos na prawo i lewo,
 węszy, następnie rusza dalej, pod liśćmi, po liściach, wie teraz, dokąd dąży.
 Cóż za piękna gąsienica, tłusta, kosmata, wypchana, brunatna w złote
 centki, o czarnych oczach.

Kierowana węchem, otrząsa się i marszczy jak gęsta brew.

U krzewu róży zatrzymuje się.

Delikatnemi agrafkami maca chropowatą korę, kołysze główką nowonarodzonego szczeniaka i zaczyna się gramolić.

Teraz powiedzielibyście, że każdorazową długość drogi przelyka z trudnością.

Na samym wierzchu krzewu rozkwita róża o cerze niewinnej dziewczki. Szczodrze szafując zapachem sama się nim upaja. Ufa całemu światu. Pozwala łązić po swej łodyce pierwszej lepszej gąsienicy. Przyjmuje ją jak gościniec.

I w przecuciu chłodnej nocki rada jest, że jej szyję boa otoczy.

PAW.

Dzisiaj ożeni się niezawodnie.

Miało to być wczoraj. Ubrany odświętnie, był gotów zupełnie. Czekał tylko na pannę młodą. Nie przybyła. Zjawi się niebawem.

Pyszny, jak księżę indyjski, przechadza się, obnosząc drogocenne swe podarki. Miłość ożywia blask jego barw, czubek na głowie drży niby lira.

Panny młodej nie widać.

Wstępuje na dach i patrzy ku słońcu. Rzuca swój dyabelski okrzyk: „Leon, Leon!”

Tak nazywa swą narzeczoną.

Nikt nie przybywa i nikt mu nie odpowiada. Ptactwo domowe nawet głowy nie podnosi. Już mają dość podziwiania go.

Schodzi znów na dziedziniec, tak pewny swej urody, że nawet niezdolny do urazy.

Ślub odbędzie się jutro.

Nie wiedząc, co począć z resztą dnia, zmierza ku pałacowi.

Stapa po schodach krokiem uroczystym, jak po stopniach świątyni.

Unosi ogoniastą szatę, pełną oczu, które się od niej oderwać nie bily w stanie.

I odbywa jeneralną próbę jutrzejszej ceremonii.

ŁABĘDŹ.

Niby statek biały, sunie po sadzawce od obłoku do obłoku. Puszystych obłoków bowiem, powstających, kłębiących się i ginących na wodzie pożąda on jedynie. Zmierza ku jednemu z nich i zanurza nagle swą szyję w śnieg odzianą.

Po chwili, niby ramię kobiety z rękawa, szyja wychyla się z wody.

Nic nie ma.

Spogląda: obłoki spłoszone znikły.

Na krótko tylko uspakaja się, wytrzeźwiony. Wkrótce obłoki pojawiają się znów, i w oddali, gdzie falowania gasną, nowy obłoczek się rodzi.

Leciuchno, na swej puchowej poduszce, łabędź wiosłuje i zbliża się.

Łowiąc próżne odbicia, wyczerpuje swe siły i umrze może, nie zdobywszy ani kawałka obłoku.

Ale co mówię?

Pograżając się w wodzie, za każdym razem grzebie dziobem w żywnym błocie dna i wyciąga robaka.

I tyje jak gęś.

JULES RENARD.

Tłóm. E. L.



WALKA Z ODSZCZEPIEŃSTWEM I SEKCIARSTWEM.

„Gazeta Polska“ (№ 73) podaje za n-rem 42 „Prawit. Wiest.“ z dnia 7 marca co następuje:

„Zadanie wewnętrznej działalności cerkwi prawosławnej polega z jednej strony na bliższym zapoznaniu się z obecnym stanem odszczepieństwa rosyjskiego (*roskoł*) i sekciarstwa we wszelkich jego różnorodnych przejawach, a z drugiej na obmyślaniu i stosowaniu środków do walki ze zwolennikami obu rodzajów odszczepieństwa religijnego i błędzenia, będących wewnętrznymi wrogami cerkwi. Troska o uchronienie prawdziwych wyznawców cerkwi Chrystusowej od odszczepieństwa i sekciarstwa i o szybkie zwrócenie na drogę zbawienia błędzących jej synów, stanowiło zawsze jedno z ważniejszych zadań wyższego zarządu cerkwią rosyjską Świątobliwego synodu, władz dyecezyalnych i duchowieństwa parafialnego. Stan odszczepieństwa rosyjskiego i sekciarstwa, jako też walka z niemi naszej „misji wewnętrznej“, według najpoddańszego sprawozdania przedstawia się jak następuje:

„Liczba zwolenników odszczepieństwa w najwięcej zarażonych przez nie dyecezyach, w roku sprawozdawczym da się określić cyframi w tysiącach okrągłych: w dyecezyi donieckiej 118,000, w twerskiej 94,000, wiackiej 91,000, orenburskiej 87,000, połockiej 85,000, samarskiej 75,000, niżnonowgorodzkiej 74,000, czernihowskiej 72,000, saratowskiej 69,000, permskiej 66,000, litewskiej 52,000, kałuskiej 45,000, zabajkalskiej 42,000, i pskowskiej 36,000.

„Żywotność i trwałość tak poważnego zjawiska historycznego w cerkiewnym życiu rosyjskiem, jak odszczepieństwo, według sprawozdania, warunkuje się obecnie następującymi główniejszemi przyczynami: 1) stanem materialnym „roskolników“, pozwalającym im wybierać na stanowiska publiczne swych zwolenników i trzymać masy w ścisłym posłuszeństwie, nie dopuszczając do przechodzenia na prawosławie nawet osób nie sprzyjających „roskołowi“; 2) osiedlaniem się „roskolników“ w oddzielnych od prawosławnych i często znacznych grupach, gdzie pierwsi posiadają zupełną możność niezawierania stosunków z prawosławnymi i pielęgnowania w sferach swych fanatycznej nienawiści do cerkwi prawosławnej, dochodzącej często do zezwierzecenia, i 3) pewnemi udzielonemi „roskolnikom“ ulgami, tłómaczonemi

przez nich jako opiekowanie się nimi ze strony władzy rządowej, jak np.: zwolnienie od podatków i opłat na utrzymanie duchowieństwa prawosławnego i zezwolenie „roskolnikom”, zwłaszcza sekcje austriackiej, na obracanie budynków mieszkalnych na domy modlitwy i odprawianie w nich nabożeństw, co prowadzi do fałszywego przedstawiania w oczach ludności równouprawnienia domów modlitwy „roskolników” ze świątyniami prawosławnymi.

„Roskoł” rosyjski dzieli się na 3 główne kategorie: popowszczyzną, bieglipopowszczyzną i bezpopowszczyzną. Szczególną uwagę zwraca sprawozdanie na sektę kategorii pierwszej, nazywającej się kapłaństwem austriackim, albo białokrynickim; jest to przeważająca z powodu swej liczebności sekta w „roskole” i dlatego więcej niż inne przynosi szkody cerkwi prawosławnej. Posiadając z pozoru zewnętrznego taką samą, jak cerkiew prawosławna, hierarchię o trzech godnościach i tajemnice, obszerne modlitewnie, przyozdabiane z wielką wytwornością i z wewnętrznego urządzenia bardzo podobne do świątyni prawosławnych, sekta austriacka stanowi wielkie zgorzenie dla prawosławnych.

„Mówiąc o stanie racjonalistyczno-mistycznego sekciarstwa w Rosyi — pisze dalej „Prawit. Wiest.” — sprawozdanie podaje szczegółową charakterystykę oddawna już istniejących sekt tego rodzaju, wyjaśnia obecny ich stosunek względem cerkwi prawosławnej i określa stopień szkodliwości ich pod względem religijno-moralnym i politycznym; do takich sekt należą: duchoborcy, malowańcy, mołokanie, chłystowie, szelaputowie i jehowiści, z których ostatnia uznana została w r. 1899 przez św. Synod za szczególnie szkodliwą pod względem religijnym i państwowym. Główną zaś uwagę zwraca sprawozdanie na Sztundę, jako sektę najwięcej niebezpieczną pod względem religijnym i państwowym, a następnie podaje ciekawe szczegóły o dwóch sektach nowszych — mormonów i Czurykowa.

„Niezmierznie szkodliwy charakter fałszywej nauki sztundyizmu okazał się zupełnie wyraźnie. Wychodząc z zasady protestantyzmu, że rozgrzeszenie człowieka dokonywa się za pomocą wiary i bezpośredniego zwrócenia się myślą do Chrystusa, sztundyści nie uznają Cerkwi, Tajemnic św. i wszelkich obrzędów Cerkwi Prawosławnej, uważając za wielki grzech odwiedzenie świątyni Pańskich, cześć dla Matki Boskiej i wszystkich świętych, krzyża Zbawiciela, obrazów i relikwii. Nienawiść sztundystów do Prawosławia nie ma granic, i wyraża się niekiedy w otwartem bluźnierstwie przeciw temu, co jest tak drogim dla serca każdego istotnie prawosławnego chrześcijanina.

„Skoro sztundysta zaprzecza poszanowania dla obrazów — mówi misionarz dycezyi donieckiej — to wówczas nietylko usuwa je ze swego domu, lecz otwarcie je bezcześci: rąbie, pali i wrzuca do miejsc nieczystych”. Współczesny sztundyzm, według sprawozdania, dochodzi już do najordynarniejszego, często materialistycznego zaprzeczenia całego chrześcijaństwa. W dycezyi donieckiej, podczas nauki misionarza prawosławnego, jeden ze sztundystów na zapytanie o zmartwychwstaniu dusz, wypowiedział takie przekonanie: „religia jest wymysłem popów dla oszukania chłopów; nic podobnego nie będzie; zdechniesz i tylko na mogile twej trawa wyrośnie.”

„Dysząc nienawiścią ku prawosławiu, fałszywa nauka sztundystów

zwraca się też przeciw panującemu ustrojowi życia rosyjskiego, głosząc zasady szkodliwego charakteru socjalistycznego. Sztundyści odznaczają się niezwykle zamięłowaniem do prozelityzmu i posiadają doskonale zorganizowaną misję."

"Propaganda sztundyzmu, kierowana przez jej przewódców i inteligentnych zwolenników idei tołstojowskich, działa głównie za pośrednictwem tajnych rękopiśmiennych i drukowanych wydań zagranicznych, w których religijno-socjalne przekonania sztundy systematyzują się i warunkują w duchu i kierunku szkodliwym zarówno dla panującej Cerkwi, jak i dla władzy państwowej."

"Werbując wyznawców swych wśród ludności prawosławnej głównie w guberniach południowych, sztunda szeroko szerzy się w dyecyzyach: je-katerynosławskiej, kijowskiej, oraz w guberniach: chersońskiej, moskiewskiej, orłowskiej, rizańskiej, smoleńskiej, władwostockiej i omskiej. Charkowska jednota sztundystyczna zaczyna ostatnimi czasy zyskiwać względem innych środowisk sztundy południowo-rosyjskiej charakter przewodni."

"Stosunkowo niedawno w granicach gubernii samarskiej i orenburskiej zjawił się mormonizm. Przystąpienie do sekty dokonywa się przed obrazem za pomocą przysięgi i przyrzeczenia zachowania tajemnicy sekty, nieposłuszeństwa względem ojca i matki i spełniania tylko poleceń „żywego boga." Mormonowie odznaczają się fanatyzmem i zezwierzęceniem. Sprawozdanie zaznacza samobójstwo z pobudek religijnych całej rodziny mormonów, którego dokonano w r. 1899 we wsi Daniłowce, w gub. samarskiej.

"Główniejszymi środkami, jakie stosowała misja wewnętrzna w walce z „roskołem" i sektantyzmem, były następujące: utworzenie misji przeciw odszczepieństwu i sekciarstwu, okręgowych i cerkiewnych bibliotek misyjnych, zakładanie przy klasztorach i bractwach składów obrazów i książek, wystawne odprawianie nabożeństw ze śpiewami, zwiększenie liczby szkół cerkiewno-parafialnych i pilne zbieranie wiadomości o „roskolnikach" i sekciarzach.

"Dodać należy na zakończenie, że odszczepieństwo religijne w jednych miejscowościach Państwa, pod wpływem systematycznie stosowanych środków przeciwdziałania religijno-moralnego, znacznie osłabło i straciło pierwotny swój charakter uporczywy, gdy w drugich pod działaniem propagandy i innych przyczyn wzmacnia się i rozognia. Jakie były rezultaty działalności misji wewnętrznej w walce z odszczepieństwem i sekciarstwem, przekonać się można dokładnie z faktu, że w roku sprawozdawczym w całej Rosyi przeszło z „roskołu" na prawosławie 10,160 osób, z których 7,587 bezwarunkowo, 2,583 zaś na zasadach starowierstwa."



KONKURS LITERACKI IM. FRANCISZKA KOCHMANA.

Galicyski wydział krajowy rozpisuje konkurs z terminem po d. 31-szy grudnia r. b. na dwa premia z fund. Fr. Kochmana (2,000 i 1,000 koron) dla

dwu dzieł w języku polskim i wzywa wszystkich literatów polskich, bez różnicy w jakim kraju żyją, ażeby w powyższym terminie dzieła swoje, o ile je uważają za godne ubiegania się o te premia, przesłali do Lwowa pod adresem wydziału krajowego.

W myśl statutu fundacyi, mogą być dopuszczone do konkursu dzieła autorów polskich w języku polskim, z wyjątkiem jedynie dzieł treści religijnej i teologicznej, wydawnictwa zaś materyałów historycznych lub innych, bibliograficzne i t. p. tylko wtedy, jeżeli im towarzyszy samodzielne oryginalne dzieło autora. Także utwory autorów już zmarłych mogą się ubiegać o premium konkursowe, jednakże z zastrzeżeniem, jeżeli te są dzieła drukowane już za życia autora, to im tylko w ciągu trzech pierwszych lat od jego zgonu prawo do konkursu służy. Jeżeli zaś są to prace jeszcze nieogłoszone drukiem, to przyznana im nagroda przedewszystkiem na wydrukowanie dzieła użyta być powinna. O pracach autorów jeszcze żyjących samo się rozumie, że jedynie książki, drukiem już ogłoszone, mają prawo do konkursu. Dawniejsze jednak wydawnictwa, niż z r. 1892, czy ich autorowie żyją lub nie, nie mogą, według postanowień statutu, być dopuszczone do konkursu.

Komisję konkursową stanowią: dr. Wereszczyński (przewodniczący), prof. Roszkowski, dr. Ćwikliński, prof. Dybowski, prof. Kubała, Wł. Łoziński, rektor Małecki, poseł Tad. Pilat, prof. Radziszewski i prof. Tad. Wojciechowski.

Jakkolwiek komisji konkursowej służy prawo nagradzania i takich dzieł, które na konkurs nie zostały nadesłane, wzywa się jednakże wszystkich autorów polskich, którzy prawo i widoki do osiągnięcia nagrody mieć sądzą, aby nie omieszkali wziąć udziału w konkursie, komisya bowiem nie bierze na siebie odpowiedzialności za możliwe przeoczenie dzieła godnego nagrody, a nienadesłanego do ocenienia.



KONKURS.

Wydział Towarzystwa „Polska sztuka stosowana“ w Krakowie ogłasza konkurs na projekt domu o charakterze polskim. Dom ma być przeznaczony na szkołę wiejską, ochronę i mieszkanie dla dwóch nauczycielek. Parter ma obejmować: sień przeznaczoną na rozbieralnię dla 100 dzieci, salę szkolną na 50 dzieci, salę ochrony na 50 dzieci, salę pauzową na 100 dzieci i ubikacje na umywalnię i ustępy. Na piętrze mieścić się mają: dwa pokoje sypialne, nie komunikujące się ze sobą, jeden bawialny, kuchnia ze spiżarnią, pokój dla służącej i ustęp. Nagroda konkursowa wynosi 600 koron. Nagrodzony projekt staje się własnością Tow. W razie, gdyby wymagane były do wykonania rysunki szczegółów budowy w naturalnej wielkości, autor projektu nagrodzonego obowiązany jest wykonać je za dodatkową cenę 200 koron. Tow. ma prawo pierwszeństwa w nabywaniu innych prac, na

konkurs nadesłanych. Tow. pośredniczy w sprzedaży prac konkursowych. Termin nadsyłania prac pod adresem Tow. (Wolska l. 14, w Krakowie) upływa dnia 20 czerwca 1903 roku.



ODEZWA.

Dla uczczenia pamięci Antoniego Gustawa Bema pp. Stefan Żeromski i Ignacy Chrzanowski podjęli wydanie wyboru jego najcenniejszych studyów i szkiców literackich. Chcąc unormować nakład tego dzieła (przeszło 30 arkuszy druku), które pragną wydać bardzo starannie, zwracają się do uczniów ś. p. Bema, jako też do osób, którym dzieje literatury ojczyźnej nie są obojętne, aby zechcieli wziąć udział w przedpłacie. Lista przedpłacicieli zostanie ogłoszona na końcu książki. Przedpłatę (rb. 3) przyjmuje Księgarnia naukowa, Krucza 44.

Na wybór pism złożą się studia następujące: Grzegorz z Sanoka. — Śmielsze przebłyski humoru satyrycznego w literaturze stąpolskiej. — Wizerunek Reja. — St. Trembecki. — Obywatel Polski z doby romantycznej. — B. Zaleski. — Echa mesyanistyczne w literaturze polskiej. — A. Towsiański. — A. Bełcikowski. — A. Asnyk. — A. Pług. — E. Orzeszkowa.



BIBLIOGRAFIA.

KSIĄŻKI I WYDAWNICTWA NADEŚLANE.

W. M. Kozłowski. „Z haseł umysłowości współczesnej.“ Szkice publicystyczne. Kraków. Wydawnictwo „Poglądu na świat.“ Skład główny w księgarni Gebethnera i Sp. 1902 r.

Dr. Maks Gumplowicz. „Die Quellen des Balduin Gallus.“ Eine quellen-kritische Studie. Insbruck. 1902.

Aleksander Kraushar. „Barss.“ Palestrant Warszawski, jego misya polityczna we Francyi. (1793–1800). Ze źródeł archiwalnych. Lwów. 1903 r. Nakład Przewodnika Naukowego i Literackiego.

W. Wundt. „Wstęp do filozofii.“ Przełożył z niemieckiego W. M. Kozłowski. Wydawnictwo „Przeglądu filozoficznego.“ Warszawa. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

E. Abramowski. „Dusza i Ciało“ (prawo współrzędności psychofizyologicznej rozpatrywane ze stanowiska teoryi poznania i biologii). Wydawnictwo „Przeglądu filozoficznego.“ Skład główny w księgarni Naukowej. 1903 r.

Stanisław Krzemiński. „Polemika z Profesorem uniwersytetu Lwowskiego p. Szymonem Askenazym.“ Warszawa, 1903 r.

Szymon Askenazy. „Dwa stulecia XVIII i XIX.“ Wydanie drugie. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków. G. Gebethner i S-ka. 1903 r.

Szymon Askenazy. „Wczasy Historyczne.“ Wydanie drugie. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków. G. Gebethner i S-ka. 1903 r.

Belaryusz. „Nasze rachunki i syonizm.“ Głos na czasie. Warszawa. Teodor Paprocki i S-ka. 1903 r.

Biblioteka Samokształcenia. Jan Scherr. „Rok 1848“. Dramat dziejowy. Tom II, cz. I.

Juliusz Słowacki. „Samuel Zborowski.“ Dramat w 5 aktach. Wydanie z autografu ze wstępem i objaśnieniami W. Biegeleisena. Jan Fiszer. Warszawa. 1903 r.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer. „Na skalnem Podhalu.“ Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków. G. Gebethner i S-ka. 1903 r.

Leopold Staff. „Dzień duszy.“ Lwów. Księgarnia Polska. Warszawa. E. Wende i S-ka. MCMIII.

Stefan Gacki. „Rozdźwięki.“ Warszawa. Jan Fiszer. 1903 r.

Emma Jeleńska. „Z miłości.“ Powieść. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków. G. Gebethner i S-ka.

Cecylia Walewska. „Autor.“ Powieść współczesna. Warszawa. Stefan Demby. Odbito w drukarni Narodowej w Krakowie. 1903 r.

Henryk Sienkiewicz. „Krzyżacy“ cz. I, II, III, IV. Warszawa. Bezpłatny dodatek dla prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego.“

Wilhelm Feldman. „Współczesna literatura polska (1880–1901).“ Warszawa. MCMIII. Nakładem Jana Fiszera.

Wiktorya Przeradzka. „Fragment.“ Nakład Feliksa Przeradzkiego. Warszawa. 1903-

Hall-Caine. „Izrael (Kozioł ofiarny)“. Przekład z angielskiego Maryi Feldmano. woj. Warszawa. Nakład Hieronima Cohna. 1903.

Sprawozdanie Komisji budżetowej Król. Stoł. miasta Lwowa. O budżecie gminy na rok 1903. Nakładem gminy miasta Lwowa.

Józef Nawrocki. „Strofy“. Lwów. Księgarnia polska (B. Połonieckiego) 1903.

CZASOPISMA ARTYSTYCZNE I NAUKOWE.

Chimera. Zeszyt 13. (Lipiec 1902). Cypryan Norwid „Milczenie.“ Kazimiera Zawistowska „Wybór utworów.“ Marya Komornicka „Biesy.“ Tadeusz Miciński „W mroku gwiazd.“ J. P. Jacobsen „Wybór utworów.“ Jadwiga Marcinowska „W głębi.“ Juliusz Zeyer „Dom pod tonącą gwiazdą.“ Giovanni Pascoli „Nieśmiertelność,“ „Felicitas,“ „Księga.“ Ernest Hello „Wiek i człowiek.“ Jan Lemański „Sąsiedzi“ (Bajeczka). — Kronika miesięczna. — „Pokłon trzech Króli“ — obraz szkoły cechowej krakowskiej z początku XV wieku. Rysunki Aubrey Beardsley'a, Edwarda Okunia, Korina i Hokusai. Inicjały Franciszka Wojtali i Maryana Wawrzenieckiego. Rysunek okładowy Józefa Mehoffera.

Przegląd Filozoficzny. Warszawa. Zeszyt I — 1903 r. Treść: Dr. J. Kodis „Kilka uwag o możebności psychologicznego prawa czasu“. Dr. J. Łukaszewicz „Indukcja jako inwersja dedukcji.“ Prof. Dr. P. Chmielowski „Przyczynek do życiorysu i działalności Józefa Gołuchowskiego.“ Przegląd krytyczny. Przegląd nauk poszczególnych. Autoreferty. Sprawozdania. Bibliografia i t. d.

La Revue. (Ancienne „Revue des Revues,“ Directeur-Rédacteur en Chef: Jean Finot) № 7. — 1 Avril 1903. Anatole Leroy-Beaulieu „Le Manifeste de l'Empereur Nicolas II.“ Cervantés „Les Veyeurs“. Prof. Angelo Mosso „L'Education physique dans les universités“. Emile Faguet „En relisant Werther“. Camille Mauclair „La musique française récente“. Abel Hermant „Confession d'un homme d'aujourd'hui“. Henry Páris „Le Proletariat artistique

en Allemagne". G. Savitch. „Watts (10 gravures)". – „Le Mouvement littéraire en France". Hayashi „La littérature pessimiste du Japon d'aujourd'hui". Gabriel Trarieux „Le Théâtre et la vie". Paul Sauday „Revue musicale".

La Revue № 8. – 15 Avril. Maurice Bouchor „A la Recherche d'un Juste". Sir Charles Dilke et Amiral Sir E. Freemantle. „La Défense de l'Empire" „L'Armée navale". Dr. J. Faure. „L'Ame du Chirurgien". Cervantès „Les Romances (Comédie inédite)". H. Gayet „Le Char de Guerre de Thotmès IV". Gustave Kahn „Les oeuvres posthumes de Paul Verlaine". Paul Verlaine „Poèmes inédits". M-me Rémusat „Le Théâtre Danois". Georges Pellissier „Henri de Régnier et son oeuvre". A. Le Mée „Sur les Communications interplanétaires". H. L. A. Blanchon „Le Parfum des Fleurs". Chronique artistique et littéraire. Analyse des Revues. Caricatures Politiques (11 gravures).

Mercure de France. Mars, 1903. (Directeur Alfred Vallette). Henri Dagan „Léon Tolstoï et le Néo-Christianisme". Albert Mockel „La Délivrance," poème. Andréieff (Z. Jelenkowska et Fagus trad.). „Une Victime de Nietzsche nouvelle". Jean Serc „Les deux Courants du Catholicisme: II Orthodoxes ou Schismatiques". Alain Morsang et Jean Beslière „La Mouette", roman. Revue du mois.

Mercure de France. Avril, 1903. H. G. Wells (Henry D. Davray trad.) „L'Amour . M Lewisham" roman. Sybil O'Santry „Poèmes et Sonnets". Georges Palante „Le Bovarysme: une moderne philosophie de l'illusion". R. de Bury „Les grands succès de théâtre au XVII siècle". Sébastien-Charles Leconte. „La tentation de l'homme", poèmes. Léon Leclère „Les Industries d'Art et les Bibliothèques d'Art industriel à Paris". Archag Tchobanian „Chants populaires arméniens". Alain Morsang et Jean Beslière „La Mouette", roman. Revue du mois.

The Studio. February 16, 1903 zawiera między innymi: „Mr. Frank Brangwyn's Landscapes and still-life" – Selwym Image, (z ilustracyami). 2) A Young Sculptor: Mr. Reginald F. Wells and his rustic art. (z ilustracyami). 3) The new solid oil-colours: interview with Mr. J. F. Raffaëlli (z ilustracyami). 4) The arts and crafts exhibition at the new gallery. First notice. (z ilustracyami).

Moderni Revue za marzec 1903 zawiera: Jaroslav Hilbert „Ustavně nebo samovládne?" Victor Dyck, Jiří Karásek ze Lvovic „Nová česká poesie". Miloš Marten „Nová česká prosa". F. X. Hodáč „Narodní divadlo". Glossy. Victor Dyck „Scéna z české komedie". Joséphin Péladan „Citové zasněžení". Edvard Klas „O těžkém srdci paní Iridy".

Moderni Revue za kwiecień 1903 zawiera między innymi: Jiří Karásek ze Lvovic „Dramatická dynamika". Alfred de Vigny „Posledni noc práce" (přeložila Marie Kalašova). Miloš Marten „Dramata S. Przybyszewského". Ladislav Pfuster „Umělecky imperialisismus". Joséphin Péladan „Citové zasněžení".

Cesky Casopis Historycky za kwiecień, maj, czerwiec 1903 zawiera między innymi: Jos. Pekař „Nejstarší kronika česká". Václ. Novotny: Ad. Bachmanna „Geschichte Böhmens". Jar. Fikrle „Cechové na koncilu kostnickém". Jos. Truhlář „Paběrky z rukopisu Klemen-

inských".

Hlidka za marzec 1903 zawiera między innymi: Dr. Fr. Botek „Na hrobě Flaviu". Jan Oliva „Jak zjednodušily a prohloubily vyučování theologické?" Dr. Fr. Botek „Sym-

bolismus Chamituv a tabulka sipparská“. H. Dlouhy „Moderní mystik“. Dr. Jaroslav Stastny „Josefa Františka Smetany korrespondence“. Lev Solc „O Gunduličově „Osmanu“. František Dohnal „Maurice Maeterlinck a poslední díla jeho“. Alfons Žák „Doplňky diplomatáře moravského“. Fr. Snopek „K opravám diplomatáře moravského“.

Hlidka za kwiecień 1903 zawiera: Jan Oliva „Jak zjednodušiti a prohloubiti vyučování theologické?“ Dr. Fr. Botek „Na hrobě Flaviu“. H. Dlouhy „Moderní mystik“. Aug. Vrzal „Maxim Gorky“. Lev Solc „O Gunduličově „Osmanu“. Dr. Jaroslav Stastny „Josefa Františka Smetany korrespondence“. Dr. Alois Musil „Bible nebo Babel?“ Fr. Snopek „K opravám diplomatáře moravského“.

